

Pisać

rozmowy o książkach

Justyna Bednarek
Paweł Beręsewicz
Jerzy W. Borejsza
Natalia Budzyńska
Wojciech Chmielewski
Hubert Klimko-Dobrzaniecki
Agnieszka Frączek
Barbara Gawryluk
Wacław Holewiński
Joanna Kuciel-Frydryszak
Cezary Łazarewicz
Nina Majewska-Brown
Anna Milewska
Katarzyna Miller
Krystyna Mirek
Renata Piątkowska
Małgorzata Rejmer
Małgorzata Strzałkowska
Justyna Suhecka
Mariusz Urbanek
Wojciech Wiślak
Marcin Wilk
Janusz Leon Wiśniewski
Miroslaw Wlekły

Pisać

rozmowy o książkach

Copyright © by Biblioteka Analiz Sp. z o.o., 2020

Wybór i redakcja merytoryczna tekstów do publikacji: Piotr Dobrołęcki

Opracowanie i redakcja tekstów: Ewa Tenderenda-Ożóg

Redakcja techniczna i korekta: Joanna Ożóg

Zdjęcie na okładce: Pixabay

Projekt okładki i wnętrza, skład: TYPO 2 Jolanta Ugorowska

Warszawa, 2020

Wydanie I

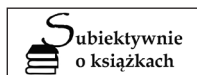
ISBN 978-83-956056-7-3



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury
w ramach programu „Kultura w sieci”

Patroni medialni:



Wydawca:

Biblioteka Słów

www.biblioteka-slow.pl

www.rynek-ksiazki.pl

[Facebook.com/bibliotekaanaliz](https://www.facebook.com/bibliotekaanaliz)

[Facebook.com/WydawnictwoBibliotekaSlow](https://www.facebook.com/WydawnictwoBibliotekaSlow)

Spis treści

Kilka słów wstępu	9
Poetka z nieprawego łoża	
Rozmowa z Joanną Kuciel-Frydryszak	11
Jak wyparował Hel	
Rozmowa z Darią Czarnecką	14
Skąpy satrapa	
Rozmowa z Piotrem Gajdzińskim	16
Tłumaczka Temidy	
Rozmowa z Magdą Louis	21
Bramy raj u Jerzego Andrzejewskiego	
Rozmowa z Anną Synoradzką-Demadre	23
Jej „zakład” był zjawiskiem w Warszawie...	
Rozmowa z Wacławem Holewińskim	25
Obrazy prowokacji	
Rozmowa z Dorotą Hartwich	30
Sprawa Gorgonowej	
Rozmowa z Cezarym Łazarewiczem	35
Piękna Pani	
Rozmowa z Elżbietą Jodko-Kulą	37
Piłka upolityczniona	
Rozmowa ze Zbigniewem Rokitą	40
Kobiety z za krat	
Rozmowa z Ewą Ornacką	43
Łobuzeria upolityczniona	
Rozmowa z Piotrem Ambroziewiczem	45
Obrazki z alkowy	
Rozmowa z Małgorzatą Czyżyńską	48
Niedoszły noblista	
Rozmowa z Mariuszem Urbankiem	51
Podlasie – moja mała ojczyzna	
Rozmowa z Janem Krzysztofem Piaseckim	53
Służba duszą i ciałem	
Rozmowa z Joanną Kuciel-Frydryszak	57

Rycerze błękitnego krzyża	
Rozmowa z Beatą Sabałą-Zielińską	60
Najważniejsze jest uznanie Czytelników	
Rozmowa z Renatą Piątkowską	62
Zamknięte akta Sigurimi	
Rozmowa z Małgorzatą Rejmer	69
Korona albo śmierć!	
Rozmowa z Violetą Wiernicką	72
Ślady Sigalina	
Rozmowa z Andrzejem Skalmowskim	74
Słowiańska Mama Gęś	
Rozmowa z Małgorzatą Strzałkowską i Adamem Pękalskim	76
Beręsinho – specjalista od języka	
Rozmowa z Pawłem Beręsewiczem	78
Na południe od 38. równoleżnika	
Rozmowa z Marcinem Jacoby	80
Nazywam się ŻYCIE	
Rozmowa z Andrzejem Jankowskim	82
Południowy Pacyfik z bezludną wyspą	
Rozmowa z Danielem Wyszogrodzkiem	85
Chmielewska w spodniach	
Rozmowa z Grzegorzem Kalinowskim	88
Dziecko Czytelnika w świecie wydawców	
Rozmowa z prof. Jerzym W. Borejszą	90
Pisane w Pradze	
Rozmowa z Mariuszem Suroszem	96
Wymarła stolica	
Rozmowa z Marcinem Ludwickim	99
Śmiech ciężko wypracowany	
Rozmowa z Marcinem Wilkiem	101
Kurort z morza	
Rozmowa z Anną Tomiak	103
Historie i postaci mało znane	
Rozmowa z Krzysztofem Janem Drozdowskim	105
Lubię „unieśmiertelnić” fajne kawałki życia	
Rozmowa z Justyną Bednarek	111

Niedoszły noblista	
Rozmowa z Anną Mateją	117
Gwiazda Dawida na Syberii	
Rozmowa z Agatą Maksimowską	119
Dla niektórych wciąż jest bohaterem	
Rozmowa z Joanną Szyndler	122
Żałować trzeba tylko za grzechy	
Rozmowa z Anną Milewską	128
Szlakiem Ordonki	
Rozmowa z Anną Mieszkowską	133
Czarna owca w mundurze SS	
Rozmowa z Natalią Budzyńską	137
Pan Kuleczka to mój dobry znajomy	
Rozmowa z Wojciechem Widłakiem	140
Życie w rytmie mexicany	
Rozmowa z Andrzejem Zbrożkiem	146
King bez tajemnic	
Rozmowa z Robertem Ziębińskim	150
Dalej jadę z tym koksem...	
Rozmowa z Wojciechem Chmielewskim	152
Skrzydlate słowa nieśmiertelności	
Rozmowa z Rafałem Dajborem	159
Z boisk do celi	
Rozmowa z Piotrem Dobrowolskim	162
Komputery, Tesla i odlot w Nepalu	
Rozmowa z Marcinem Koziółem	164
Przeprowadzka pod lufami	
Rozmowa z Krzysztofem Potaczałą	169
Ja się nie tylko literaturą zajmuję. Jeżdżę na rowerze	
Rozmowa z Hubertem Klimko-Dobrzanieckim	171
Opowieści otaczają nas jak powietrze	
Rozmowa z Krystyną Mirek	174
Dwa pegazy i rozbrykane wiersze	
Rozmowa z Agnieszką Frączek	178
Nieproszony Pan A.	
Rozmowa z Anną Sakowicz	184

Piórkiem i pędzlem	
Rozmowa z Barbarą Gawryluk	187
Zabójca ochotnik	
Rozmowa z Cezarym Łazarewiczem	190
Reportaż to umiejętność opowiadania prawdziwych historii	
Rozmowa z Mirosławem Wlekiem	192
O dwóch takich, co budowali kolej	
Rozmowa z Ewą Małkowską-Bieniek	196
Trzy stolice	
Rozmowa z Piotrem Szarotą	199
Zygmunt Nowakowski – czas powrotu	
Rozmowa z Pawłem Chojnackim	201
Przezroczysta ponemieckość	
Rozmowa z Karoliną Kuszyk	208
Piosenki pod specjalnym nadzorem	
Rozmowa z Bartoszem Żurawieckim	214
Od krosna do komputera	
Rozmowa z Dominikiem Rutkowskim	218
Aura „Tajemnicy z Auschwitz”	
Rozmowa z Niną Majewską-Brown	220
Dzielmy się uczuciami	
Rozmowa z Katarzyną Miller	223
Hollywood na wodzie pisany	
Rozmowa z Maciejem Bernatt-Reszczyńskim	226
Między Dniestrem a Prutem	
Rozmowa z Kamilem Całusem	229
Uznany za winnego	
Rozmowa z Jarosławem Molendą	232
Miłość w czasie pandemii	
Rozmowa z Januszem Leonem Wiśniewskim	235
Polityka to niezła komedia	
Rozmowa z Alkiem Rogozińskim	238
Pszczoly i ludzie	
Rozmowa z Arturem Boratczukiem	242
Młodzi mają Power	
Rozmowa z Justyną Suhecką	245

Kilka słów wstępu

Prezentujemy Państwu zbiór rozmów ze współczesnymi polskimi autorami. Wywiady były pierwotnie zamieszczone w „Magazynie Literackim KSIĄŻKI”, ukazały się na łamach miesięcznika w latach 2018-2020. W zbiorze znalazły się rozmowy z twórcami różnych gatunków literackich – od prozy, przez reportaże, po książkę dla dzieci. Autorzy opowiadają o swojej twórczości, warsztacie literackim, inspiracjach. Część rozmów toczy się wokół głośnych tytułów, które znalazły się w ostatnich latach na listach bestsellerów, z niektórymi autorami – czasami twórcami jednej książki – zetkniecie się Państwo po raz pierwszy. Mamy nadzieję, że nasza publikacja zachęci Państwa do bliższej znajomości przynajmniej z niektórymi bohaterami tego zbioru.

Poetka z nieprawego łoża

ROZMOWA Z JOANNĄ KUCIEL-FRYDRYSZAK

– Czemu Kazimiera Iłakowiczówna tak długo maskowała sekret dotyczący swego ojca i dlaczego fałszowała datę urodzenia?

– Swoje pochodzenie odczuwała jako piętno, zdawała sobie sprawę, że będąc nieślubnym dzieckiem, narażona jest na społeczne odrzucenie. Jej ojcem był Klemens Zan (syn Tomasza „Promienistego”), który miał swoją rodzinę, a z matką Kazimierzy dwoje dzieci, prowadził więc podwójne życie. W końcu XIX wieku był to oczywisty skandal, a dzieci z takiego nieformalnego związku nazywano bękartami. Odczuwała to zresztą boleśnie jako przybrana córka Zofii Buyno z Plater-Zyberków, do której trafiła na wychowanie po śmierci matki, zmarłej bardzo młodo na gruźlicę. Cześć rodziny Platerów jej z tego powodu nie akceptowała. Tak przynajmniej twierdziła siostra Iły, Barbara. Ich matka, aby je ochronić przed społecznym napiętnowaniem, już w akcie chrztu zataiła prawdę i podała fałszywe nazwiska ich rodziców. Obie zostały „przypisane” do dwóch różnych rodzin, spokrewnionych z matką. To wszystko rzuciło się cieniem na dalsze życie Iłakowiczówny. Jeśli chodzi o datę urodzenia, nie udało mi się ustalić powodu tej korekty, domyślam się jedynie, że była to chęć „odmłodzenia się” o kilka lat, nierzadka ówczesnie praktyka wśród pań. Dokumenty Iłakowiczówny z lat szkolnych i studenckich wskazują, że urodziła się w roku 1889. Potem podawała, że przyszła na świat trzy lata później.

– Napomyka pani o próbie samobójczej swej bohaterki.

– Mogła to być raczej młodzieńcza próba szantażu emocjonalnego, ale niewątpliwie okres dojrzewania przeżyła wyjątkowo burzliwie. Te kilka lat od momentu, gdy dowiedziała się od nauczycielki w szkole Cecylii Plater-Zyberk przy ulicy Pięknej w Warszawie o swym pochodzeniu, były okresem psychicznego kryzysu. Zofia Buyno wysłała nawet kilkunastoletnią podopieczną



do ośrodka wychowawczego w Rydzie, a potem do Tyrolu do sanatorium „dla poratowania nerwów”.

– Nie wyszła za mąż z braku kandydatów? Była emancypantką, względnie sufrażystką?

– Nie odrzucała małżeństwa, aby być kobietą wyzwoloną i z pewnością nie brakowało jej adoratorów. Moim zdaniem bardzo wcześnie uznała, że nie nadaje się do życia rodzinnego, jej samotnicza natura w połączeniu z traumą sieroctwa najprawdopodobniej uniemożliwiły bliskość, jak i miłosny związek. Sympatyzowała z brytyjskimi sufrażystkami, gdy przebywała w Londynie, a ich akcje były wówczas bardzo spektakularne. W Polsce nie zaangażowała się w ruch feministek, lecz sympatyzowała z nim i żyła jak emancypantka. Chętnie zresztą rywalizowała z mężczyznami, choć miała pośród nich wielu przyjaciół.

– Do polityki miała podobny stosunek jak do rękawiczek?

– Sympatia dla socjalizmu ukształtowała się pod wpływem środowisk, z którymi się spotykała między innymi we Fryburgu, dokąd jeździła za młodu. Jako dojrzała kobieta uważała się za konserwatystkę, sądzę jednak, że ów konserwatyzm dotyczył przede wszystkim sfery obyczajowej.

– Najdramatyczniejszy epizod życiowy poetki miał chyba miejsca w Zachęcie.

– Znalazła się tam, kiedy do Gabriela Narutowicza strzelał Eligiusz Niewiadomski. Ponieważ miała doświadczenie pielęgniarskie z okresu I wojny światowej, pospieszyła prezydentowi z pomocą. Rany okazały się jednak śmiertelne, zamknęła Narutowiczowi oczy. Była wstrząśnięta, ale jak wspominała, modliła się potem i za ofiarę, i za mordercę.

– Religijna stała się dopiero po wyzdrowieniu z czerwonki?

– Była religijna już w dzieciństwie. Miała, można powiedzieć, mistyczny charakter, lubiła kościoły, modlitwę, obrzędowość religijną. Potem, gdy będąc nastolatką zbuntowała się przeciwko hrabinie Buyno, odwróciła się też od religii. Pisała, że na froncie I wojny światowej podczas choroby nawróciła się, ale w istocie „powróciła” do siebie.

– Po II wojnie światowej – spędzonej w Klużu – nie myślała o emigracji?

– Od pierwszej chwili, gdy tylko znalazła się w Rumunii we wrześniu 1939 roku, czekała na powrót do Polski. Gdy przyjechała, w grudniu 1947 roku, nie bardzo rozumiała, że wróciła do ojczyzny odmienionej. Usiłowała nawet zatrudnić się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w którym pracowała od 1935 roku. Oczywiście bezskutecznie.

– Jak układały się jej relacje z władzą ludową?

– Początkowo uchodziła za persona non grata, gdyż pamiętano jej związek z sanacją. Pomoc Juliana Tuwima i prawdopodobnie Jarosława Iwaszkiewicza nie zdała się na wiele. Ani pracy, ani mieszkania w Warszawie nie znalazła, toteż wyjechała do Poznania. Do połowy lat pięćdziesiątych nie publikowano jej utworów. Potem się to zmieniło, chociaż cenzura pilnie analizowała, czy jej twórczość nie uderza w Związek Radziecki albo nie gloryfikuje Józefa Piłsudskiego. Uroczna wspomnieniowa książka, reminiscencje z lat przedwojennych pt. „Trazymeński zając”, została zatrzymana, choć fragmenty były drukowane w prasie i czytane w radiu.

– Poza wierszami o Katyniu i Poznaniu 1956 coś jeszcze z jej spuścizny przetrwa?

– Wciąż wydawany i czytany jest przekład „Anny Kareniny” Lwa Tołstoja, uznawany za kongenialny. Sądzę, że długo jeszcze nikt lepiej od niej nie przetłumaczy tej powieści. Żyć także będą, jak sądzą, „Wiersze dziecięce”, przede wszystkim dzięki kompozycjom Karola Szymanowskiego oraz Witolda Lutosławskiego.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 1/2018/

Jak wyparował Hel

ROZMOWA Z DARIĄ CZARNECKĄ

– Za czarną legendę Stanisława Gustawa Jastera odpowiada Aleksander Kunicki?

– Aleksander Kunicki ps. „Rayski” w czasie okupacji był szefem wywiadu i kontrwywiadu kilku oddziałów AK, m.in. „OSY”-„KOSY 30” i „Parasola”. To on odpowiadał za zorganizowanie jednej z najbardziej znanych akcji polskiego ruchu oporu, jakim była Akcja „Kutschera” w Warszawie. Zastrzelono wtedy dowódcę SS i policji dystryktu warszawskiego Franza Kutschere. Także nieudaną akcją „Koppe”, czyli próbę likwidacji Wyższego Dowódcy SS i Policji Wilhelma Koppego, pod względem wywiadowczym przygotowywał Kunicki. Nie wiemy, dlaczego w swoich wspomnieniach „Cichy front” umieścił rozdział, w którym kategorycznie oskarżył o zdradę Stanisława Gustawa Jastera. Chcę wierzyć, że być może była to przepustka cenzorska, fragment umieszczony, żeby peerelowska cenzura przepuściła całość książki. Ale faktem jest, że to właśnie ta książka wywołała gorący spór o winę bądź niewinność „Hela”.



– „W życiorysie Rayskiego znajduje się kilka niejednoznacznych epizodów”. Co pani ma na myśli?

– Są to głównie sprawy, na które zwracają mi uwagę czytelnicy podczas spotkań lub które niejako przy okazji wyszły w trakcie analizy dokumentów archiwalnych (zasób ITS Bad Arolsen i spuścizna Kunickiego w Archiwum Akt Nowych). Pomimo swojej ucieczki z robót przymusowych w Rzeszy Kunicki nie figurował na listach poszukiwanych. Po wyzwoleniu Bielska (dzisiaj Bielsko-Biała) otrzymał od sowieckiej komendy przepustkę z prośbą, aby wszystkie władze cywilne i wojskowe okazały mu pomoc.

Pomimo stalinowskiego wyroku śmierci (zamienionego dzięki wstawieniu ppłk. Jana Mazurkiewicza ps. „Radosław” na więzienie) był bardzo aktywnym działaczem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Wydawał nawet zaświadczenia o przynależności do „Parasola” (niektórzy twierdzą,

że również osobom wcale nie związanym z oddziałem), od czego odciął się dowódca – płk Adam Borys ps. „Pług”. Tych doniesień nigdy dokładnie nie analizowałam, bo nie ma to związku ze Staszkiem Jasterem. Wiele uwag co do przedstawionych w książce „Cichy front” wspomnień Kunickiego miał prof. Tomasz Strzembosz, który dał temu wyraz w napisanej przez siebie recenzji.

– Istnieje kilka hipotez dotyczących okoliczności śmierci bohatera książki...

– Jest wersja, którą znamy z „Cichego frontu”, czyli wykonanie wyroku przez AK. Jest też zbliżona opcja, że była to likwidacja prewencyjna, chociaż taka forma i tak musiała zostać w późniejszym okresie przekształcona w wyrok sądu podziemnego. Ale pojawiła się też hipoteza, do której ja najbardziej się skłaniam, a więc ta, w której „Hel” ginie z rąk Niemców. Świadczy za tym kilka dokumentów policji niemieckiej, jak raport o rozbięciu organizacji wschodniej „Wachlarz” oraz nakaz usunięcia Jastera z list poszukiwanych.

– Przeczesala pani krajowe archiwa, a może rozwiązania zagadki należy szukać w sejfach niemieckich?

– Prowadziłam kwerendę w zasobie ITS Bad Arolsen, z której dostałam bardzo ciekawe dokumenty policyjne (jak choćby Meldeblatty, w których jest mowa o bohaterze książki). Bundesarchiv właśnie kończą okres porządkowania akt po scaleniu państwa niemieckiego. Jako archiwista wiem, że wszystko jest możliwe i być może jakiś bardzo ważny dla nas dokument leży w kącie jakiegoś archiwum.

– Odnalezienie szczątek „Hela” jest jeszcze realne?

– Według mnie nie, bo nie wiadomo przecież, gdzie i w jakich okolicznościach zginął. Ale ponieważ wyrostek robaczkowy Jastera przechowała jego narzęczona Anna Danuta Sławińska, wciąż pozostaje możliwość weryfikacji kodu DNA.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 2/2018/

Skąpy satrapa

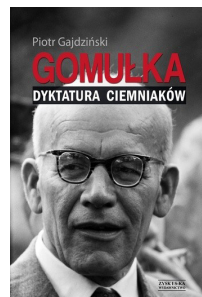
ROZMOWA Z PIOTREM GAJDZIŃSKIM

– Gdyby nie czystki komunistów polskich w Związku Sowieckim, Władysław Gomułka pozostałby postacią anonimową?

– Tego potwierdzić nie sposób. Ale szanse Gomułki na tak spektakularny awans, który stał się jego udziałem w latach 1943-1944, byłyby znikome. Przed wojną był bardziej działaczem związkowym niż politycznym, mało w Warszawie znanym, nie bardzo wśród najważniejszych komunistów ustosunkowanym. Owszem, odbył szkolenie w sowieckiej „Leninowce”, gdzie nauczono go zasad konspiracji, ale od tego do wielkiej kariery było jeszcze daleko. Ruch komunistyczny w Polsce dysponował wówczas ludźmi ważniejszymi, dużo bardziej od niego zasłużonymi i bardziej sprawdzonymi, a co najważniejsze – lepiej widzianymi przez Moskwę. Gdy jednak większość z nich została później aresztowana i zamordowana, przed Gomułką otworzyły się drzwi do władzy. Nie ma w tym zresztą niczego nadzwyczajnego. Gdyby nie czystki wśród „starych” bolszewików, Leonid Breżniew też zapewne nigdy tak szybko by nie awansował i nie zasiadł na Kremlu. Co ciekawe, sam Gomułka o mało nie trafił w młyny sowieckiej „sprawiedliwości”, bo już w latach dwudziestych zastanawiał się nad ucieczką do Związku Sowieckiego. Radził się w tej sprawie postać Niezależnej Partii Chłopskiej Alfreda Fiderkiewicza, który wybił mu ten pomysł z głowy, tłumacząc, że Polacy przekraczający sowiecką granicę są zatrzymywani i trafiają do obozów karnych. Tow. „Wiesław” się wystraszył i został w Polsce. Później trafił wprawdzie za swoją działalność komunistyczną za kratki, lecz sanacyjne więzienia w porównaniu z sowieckimi gułagami były sanatoriami.

– Liderem Polskiej Partii Robotniczej stał się przypadkowo?

– Awans zawdzięczał słabości komunistycznego podziemia. W Peerelu karmiono nas opowieściami o jego potędze i bohaterskich czynach Gwardii Ludowej oraz Armii Ludowej, ale to oczywista nieprawda. Owa konspiracja



była słabo uzbrojona, niezborna i niezdiscyplinowana, a jej walka ograniczała się właściwie do wydawania, w znikomym zresztą nakładzie, kilku pism i odezw z napaściami na rząd londyński oraz Armię Krajową. Gomułka zdawał sobie sprawę z tej słabości, czego świadectwem są jego pamiętniki pisane w latach siedemdziesiątych. Ale gdyby nie te liche struktury okupacyjne, „Wiesław” nie miałby szans na objęcie przywództwa PPR-u. Przede wszystkim dlatego, że dotychczasowi szefowie tej partii byli mianowani przez Moskwę. Gomułka sowieckiego „imprimatur” nie miał, bo partia utraciła radiowy kontakt z Moskwą i nie można było się porozumieć z Georgijem Dymitrowem, szefem Międzynarodówki Komunistycznej, który z ramienia Stalina nadzorował komunistyczne podziemie w krajach okupowanych przez Niemcy. Polscy komuniści wyszli więc trochę przed szereg, co było dla nich niezwykle. Po aresztowaniu Pawła Findera przez Niemców Moskwa wysłała zresztą do Polski jego następcę, Barucha Cukiera vel Witolda Kolskiego, ale zginął on podczas lądowania. Gomułka był jedynym – poza Mieczysławem Rakowskim, ale to już się działo w zupełnie innych okolicznościach – szefem partii polskich komunistów, który objął stanowisko bez wyraźnego wskazania Kremla. I to dwukrotnie, bo podobnie było w 1956 roku.

– Czemu nie pokajał się latem roku 1948, gdy oskarżono go o „prawicowe odchylenie”?

– To skomplikowane. Tak do końca tego nie wiemy, bo Gomułka nie opisał tego w swoich „Pamiętnikach”. Być może czuł się wypalony, może jego wiara w komunizm znowu osłabła? Mówię „znowu”, bo doświadczył tego również podczas pobytu we Lwowie w pierwszych wojennych latach, gdzie na własnej skórze poznał oportunizm sowieckich funkcjonariuszy partii, widział potęgującą się nędzę mieszkańców, a potem dowiedział się, że uciekające przed Niemcami NKWD wymordowało przebywających w celach więźniów. W 1948 roku bez wątplenia widział, że sprawy w Polsce idą w złym kierunku, że stalinowska obręcz coraz bardziej się zaciska. Wcześniej karnie wykonywał rozkazy Kremla, w najmniejszym stopniu nie kontestował decyzji Moskwy. Ale może rozumiał, że to jest droga donikąd, gdy Stalin coraz mocniej zaczął naciskać na kolektywizację? Gomułka bardzo krytycznie oceniał kolektywizację dokonaną w Związku Sowieckim i jej skutki. Uważał, że w Polsce będzie podobnie, a odbieranie ziemi chłopom doprowadzi do jeszcze większej, czytaj

całkowitej, alienacji „władzy ludowej”. To był zresztą jeden z wielkich momentów Gomułki. Stalin chciał bowiem, aby pozostał on w składzie Biura Politycznego, choć już nie na jego czele, proponował też „Wiesławowi” tekę wicepremiera i ministra Ziem Odzyskanych. Rozmowa odbywała się na Kremlu, przy współudziale Berii. Gdy Gomułka propozycję Stalina odrzucił, Beria warknął, że „Stalinowi się nie odmawia”. Ale Gomułka pozostał przy swoim, co naprawdę wymagało wielkiej odwagi.

– Z czego wynikał entuzjazm, jaki ogarnął gros Polaków po objęciu przez tow. „Wiesława” władzy w październiku 1956 roku? Zapomniano o jego roli w „instalowaniu komuny”?

– Nie, nie zapomniano, lecz w Polsce wypalił się już wówczas mit generała Władysława Andersa, który miał przybyć do Polski na białym koniu, aby wyzwolić nas z sowieckiego jarzma. To był jeden z tych niewielu momentów polskiej historii, gdy zachowywaliśmy się bardzo racjonalnie. Gomułka stwarzał nadzieję, że Polska się zmieni, że będzie inna, mniej sowiecka. Oczywiście, pokochaliśmy go wówczas za to, że siedział w stalinowskim więzieniu, za stwierdzenie, że robotniczy protest w Poznaniu w czerwcu 1956 roku był słuszny, za odesłanie do Moskwy marszałka Konstantego Rokossowskiego, który był symbolem sowieckiej dominacji nad Polską. Polacy uwierzyli, że Gomułka chce Polskę zdemokratyzować, że wraz z jego powrotem do kraju stalinizm, ta „epoka błazeństwa namaszczonego”, odchodzi w niebyt. Nawet niektórzy księża nazywali Gomułkę „Władysławem IV”, a po słynnych rozmowach z Nikitą Chruszczowem w Belwederze w październiku 1956 roku Maria Dąbrowska zapisała w swoich „Dziennikach”: „Jest coś imponującego w wytrzymaniu tej sceny przez steraną ofiarę systemu, jaką jest Gomułka. Jest też coś imponującego w fakcie, że to robotnik polski pierwszy po hrabim Andrzeju Zamojskim powiedział: Allez-vous en [wynoście się]”. Notabene, podczas tych rozmów Gomułka skrzyczał Wiaczesława Mołotowa, że on, który w 1939 roku nazwał Polskę „bękartem Europy”, ma czelność do tej Polski przyjeżdżać i Polaków pouczać.

– Oszczędność, by nie rzec skąpstwo, była główną cechą jego charakteru?

– Ważną, ale nie najważniejszą. Tą był autorytaryzm. Gomułka uważał, że najlepiej zna się na gospodarce i najlepiej rozumie polski interes narodowy.

To, w połączeniu z panującym w Polsce systemem, doprowadziło najpierw do Marca 1968 roku, następnie do interwencji w Czechosłowacji, a wreszcie do Grudnia 1970. Nie ma w tym zresztą niczego nadzwyczajnego, wszyscy władcy absolutni mają tę cechę.

– Jak to możliwe, że rządził aż 14 lat?

– Gdyby w Polsce obowiązywał system demokratyczny, z pewnością straciłby władzę już po czterech latach. Ale nie obowiązywał. A w partii cieszył się dużym autorytetem. W Moskwie niespecjalnie go wprawdzie lubiano, ale towarzyszył mu nimb człowieka, który postawił się Stalinowi. Dla Chruszczowa było to ważne, bo on sam Stalinowi nigdy się nie stawiał. Dla Breżniewa mniej, ale gdy ten objął władzę w 1964 roku, był nie dość silny, aby móc coś z Gomułką zrobić. Nie lubił go wprawdzie, bo „Wiesław” często go pouczał, a nawet karcił. Kiedyś powiedział mu, że „nie ma głowy do polityki”! Gensekowi! Na to żaden inny polski komunista sobie po wojnie nie mógł pozwolić. Później Gomułka zaskarbił sobie wdzięczność Breżniewa bezwzględnym poparciem dla interwencji w Czechosłowacji, co było dla niego ważne, bo gdyby Czechosłowacja wyszła z obozu moskiewskiego, Breżniew z pewnością zostałby przez aparat KPZR pozbawiony władzy. Ale pod koniec lat sześćdziesiątych sytuacja się zmieniła, Moskwa upatrzyła sobie Gierka jako następcę Gomułki. I zadbała o to, aby nim został.

– Dlaczego nie namaścił sukcesora?

– A zna pan satrapę, który wyznacza następcę? Po pierwsze, delfin jest niebezpieczny, bo cały aparat władzy nastawia się na niego i niejako marginalizuje dotychczasowego, ale już odchodzącego wodza. Po drugie, każdy despota, Gomułka nie był tu wyjątkiem, uważa, że wraz z jego odejściem wszystko się zawali. To powoduje, że musi pozostawać przy władzy. Pod koniec lat sześćdziesiątych „Wiesław” wprawdzie rozmyślał o oddaniu władzy, ale w bliżej nieokreślonej przyszłości.

– In plus ocenia pan jedynie jego pracę w Ministerstwie Ziemi Odzyskanych...

– Nie tylko, choć moim zdaniem to było jego największe dzieło. Pozytywnie oceniam też rok 1956, gdy Gomułka zachował się bardzo realistycznie.

Sowiecka interwencja nad Wisłą wisiła wówczas na włosku, czy może nawet do pewnego stopnia się rozpoczęła, bo przecież jednostki Armii Czerwonej i Wojska Polskiego w październiku maszerowały już na Warszawę. Gomułka umiał się z tym uporać, choć to nie tylko jego zasługa, a przede wszystkim Edwarda Ochaba, twardego komunisty, który skłonił Pekin, aby zaprotestował w Moskwie przeciwko interwencji. Ale Gomułka potrafił wówczas skanalizować społeczne nastroje, w Polsce niemal nie było antyradzieckich wystąpień, które mogły się stać pretekstem do interwencji, nie wysunął też, jak Imre Nagy na Węgrzech, projektu wyjścia Polski z Układu Warszawskiego, co z pewnością skończyłoby się sowiecką interwencją. Dobrze oceniam też podpisanie układu z Niemcami, co później pozwoliło Gierkowi prowadzić bardziej otwartą politykę wobec Zachodu i przyczyniło się do obniżenia napięcia w Europie. Choć można się zastanawiać, czy do tego układu nie mogło dojść nieco wcześniej.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 2/2018/

Tłumaczka Temidy

ROZMOWA Z MAGDĄ LOUIS

– **Brytyjski wymiar sprawiedliwości nie miał nic przeciwko, aby opisała pani jego funkcjonowanie?**

– Brytyjski wymiar sprawiedliwości prawdopodobnie nie pamięta mojego istnienia... A gdyby nawet, to myślę, że byliby zadowoleni, bo przecież stawiam ten system za wzór. Staralam się jednocześnie pokazać, jaką drogą szedł, jak się „naprawiał”, wyciągając wnioski po spektakularnych porażkach i co najważniejsze, jak „zmądrzał”, ucząc się na własnych błędach. Błędach, w których nie tkwił uparcie przez dziesięciolecia, choć żadnej z reform nie wprowadzano w trybie natychmiastowym. Temat jest na czasie, w Polsce mówi się bardzo dużo o reformie systemu sądownictwa, na razie obserwujemy zmiany personalne, ciekawi mnie, jaki będzie drugi krok? Od Anglików warto się uczyć, mają kilkadziesiąt lat doświadczeń w tym sektorze.



– **Jak to się stało, że pracowała pani w Albionie jako tłumacz sądowo-policyjny?**

– Zdobyłam odpowiednie kwalifikacje, dyplom tłumacza w służbie publicznej ze specjalizacją prawo angielskie. Zapotrzebowanie było ogromne na takie usługi, gdyż po 2004 roku Polacy przybywali do Anglii w dziesiątkach tysięcy. Wybrałam tą pracę bez świadomości, z czym się będę mierzyć, jak większość obywateli trzymałam się z daleka od problemów z prawem, a potem nagle wpadłam w sam środek, bez taryfy ulgowej. Policja i sądy nie były w stanie procedować bez obecności tłumacza, a tam liczą się godziny, więc telefon nie przestawał dzwonić i to też było dla mnie zaskoczeniem, nie musiałam się martwić o pracę, było jej w nadmiarze. Przyjmowałam po kilka zleceń dziennie, lata 2007-2011 to były po prostu żniwa. Potem tłumaczy przybyło, pojawiła się konkurencja, ale i tak pracowałam w pełnym wymiarze godzin.

– Zaskoczyła i przerażyła mnie informacja, że w więzieniach Wielkiej Brytanii przebywa ok. 10 tys. Polaków...

– Liczba ta byłaby o wiele wyższa, gdyby nie fakt, że od kilku lat Anglicy odsyłają wielu skazanych do Polski. Teoretycznie osoby, które dostały wyrok ponad dwóch lat więzienia, są wysyłane do Polski, żeby tą karę odsiedzieć, żeby się angielski podatek nie denerwował. Ludzie przywieźli do Anglii swoje polskie problemy, może marzyli, że wyjazd je rozwiąże, ale tak się nie stało. Na Wyspy przyjechała też spora grupa osób, które po prostu uciekły przed polskim wymiarem sprawiedliwości, niektórzy skutecznie się ukryli, inni kontynuowali życie przestępcy, jeszcze inni uciekając przed czymś stosunkowo „lekkim”, popadli w wielkie kłopoty, przeliczone potem na lata odsiadki.

– Brytyjczycy skuteczniej od nas walczą z przestępczością?

– System jest sprawniejszy, więc pewnie tak, ale „mundurów” wciąż za mało na ulicach, przestępczość nie spada, więc problem nadal istnieje. Powstała w Anglii policja prywatna, może to jest jakiś pomysł? Anglicy bardzo surowo karzą za jazdę pod wpływem alkoholu, przemoc wobec kobiet, kradzieże sklepowe. Przekaz jest jasny: wyrok sądu to świętość, nie można go zignorować, za lekceważenie kara często jest większa niż za samo przestępstwo! Z reguły werdykt jest prawomocny, apelacje zdarzają się rzadko.

– Niektóre z reportaży wydają się świetnym materiałem filmowym...

– Czekam na propozycję! Mogę napisać scenariusz. Powszechnie znaną prawdą jest, że najlepsze pisze życie. Rolą pisarza jest słuchać i obserwować, miałam taką pracę, dostarczyła mi wszystkiego, co potrzebne do stworzenia mocnych historii.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

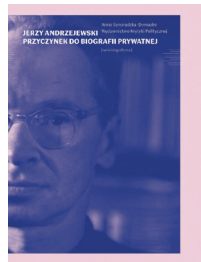
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 3/2018/

Bramy raju Jerzego Andrzejewskiego

ROZMOWA Z ANNĄ SYNORADZKĄ-DEMADRE

– Kto był największą miłością w życiu Jerzego Andrzejewskiego?

– On sam pisał, parokrotnie, że był nią poeta Krzysztof Kamil Baczyński, którego poznał we wrześniu 1941 roku. Jako pierwszy z pisarzy starszego pokolenia rozpoznał natychmiast wielki talent artystyczny młodego człowieka, o czym bez zwłoki powiadomił listownie znanego już krytyka Kazimierza Wykę. Właśnie Wyka opublikuje następnie bardzo wnikliwy esej o twórczości Baczyńskiego, „List do Jana Bugaja”, co było momentem przełomowym dla literackiej kariery bohatera tej rozprawy – momentem konsekracji, uznania. W grudniu 1941 roku Andrzejewski napisał opowiadanie „Przed sądem” zadedykowane Baczyńskiemu. Również Baczyński zadedykował kilka wierszy Andrzejewskiemu. Jednak pod koniec 1941 roku poeta zaręczył się z przyszłą żoną, Barbarą, zaś kilka tygodni potem Andrzejewski poprosił o rękę swoją przyszłą drugą żonę. Być może właśnie dlatego, że związek dwóch twórców był w tej sytuacji raczej miłosną przyjaźnią, relacją z poważnymi ograniczeniami, zapisał się szczególnie w pamięci Andrzejewskiego jako coś wyjątkowego, najpiękniejszego.



– Jak radził sobie ze swą dwoistą naturą? Bo chyba był biseksualny...

– Trudno na to odpowiedzieć w kilku słowach. Stąd moja książka o życiu osobistym pisarza ma aż 700 stron. Staram się unikać streszczenia tego w jakichś prostych formułach. Oczywiście, pogodzenie tożsamości homoseksualnej z potrzebą założenia rodziny nie było łatwe ani dla pisarza, ani dla jego bliskich. Musiało powodować cierpienie.

– Drugie małżeństwo Andrzejewskiego przetrwało ponad pół wieku, ponieważ połowica tolerowała zdrady męża?

– Nie wiem, czy można w tej skomplikowanej sytuacji mówić o „zdradach”. Maria Abgarowicz-Andrzejewska najpewniej wiedziała od początku

o podwójnej, jak pan to ujął, naturze Jerzego. Pisarz jej nie oszukał. Myślę, że sądziła, iż może go kochać pomimo złożoności jego potrzeb. W takiej postawie w każdym razie wytrwała, będąc dla męża bardzo ważnym oparciem.

– Trampolinę literackiej kariery Marka Hłaski stanowiło łóżko autora „Ładu serca”?

– Nie. Hłasko zdobył uznanie na kilka miesięcy zanim poznał Andrzejewskiego, publikacją debiutanckiego opowiadania „Baza Sokołowska”. Po niej został zaproszony na zjazd młodych pisarzy w Domu Pracy Twórczej Związku Literatów Polskich w Oborach pod Warszawą. Tam zawarł szereg ważnych dla siebie znajomości w środowisku literackim, między innymi z pisarzem i krytykiem Wilhelmem Machem. To za pośrednictwem Macha spotkał następnie Andrzejewskiego. Co do „łóżka”: osobiście nie mam bynajmniej pewności, że doszło do relacji seksualnych pomiędzy Andrzejewskim i Hłaską. Wiadomo, że w momencie, gdy Andrzejewski, po dość długim czasie, wyznał młodszemu przyjacielowi swoje uczucia, Hłasko wybył na długo z Warszawy, zaszywając się na Mazurach. Stamtąd wysłał list dowodzący, że na deklarację Andrzejewskiego nie może odpowiedzieć wzajemnością. Odtąd ich relacja się rozluźniła.

– Z czego wynikał alkoholizm pisarza?

– Nie wiem, czy kiedykolwiek można stwierdzić, co zdecydowało, że jakaś osoba ulega uzależnieniu. Wiktor Osiatyński pisał w swojej książce, o ile pamiętam, że jego zdaniem – a zagadnieniem głęboko się interesował – istnieją po prostu ludzie mający wrodzoną skłonność do wejścia w chorobę alkoholową, podczas gdy innym ona nie grozi. Można zauważyć, że wielu artystów nadużywa alkoholu, ale przecież alkoholików można znaleźć w każdej grupie zawodowej i w każdej warstwie społecznej. Przyczyny alkoholizmu Andrzejewskiego nie są zatem możliwe do określenia. Da się jedynie opowiedzieć, jakim był alkoholikiem: na przykład, że pił okresami, ale potrafił także narzucić sobie dyscyplinę abstynencji. Pisał bez alkoholu. Pił wtedy, gdy z jakichś powodów rezygnował z narzucenia sobie rygoru pozostania w trzeźwości. „Odpuszczał” sobie. Próbował się leczyć, aby w trzeźwości móc trwać stale lub aby móc posiadać kontrolę nad konsumpcją, lecz bezskutecznie.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 3/2018/

Jej „zakład” był zjawiskiem w Warszawie...

ROZMOWA Z WACŁAWEM HOLEWIŃSKIM

– **Nie możesz uciec od polskiej historii...**

– A dlaczego miałbym uciekać? Jestem w niej nieuleczalnie zakochany.

– **Kanwą dla twojej nowej książki stało się autentyczne wydarzenie – w maju 1905 roku najpierw Żydzi, a później również Polacy zaczęli palić domy schadzek i lin czować pracujące tam dziewczyny.**

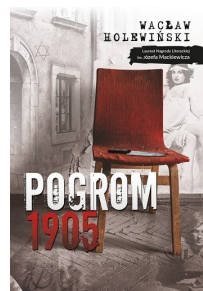
– Parę lat temu gdzieś o tym przeczytałem. Pomyślałem, że takie wydarzenia nie biorą się znikąd. Że muszą mieć jakiś podtekst, dynamikę, że zawsze coś z czegoś wynika. Wydało mi się interesujące, że w mieście, w którym działała Ochrań, byli kozacy, wojsko, policja, nikt się temu przez kilka dni nie przeciwstawił.

– **Stawiasz tezę, że te wydarzenia były inspirowane przez Ochrań. Masz na to dowody?**

– Nikt ich nie ma, ale to bardzo prawdopodobne. Taką opinię głosi zresztą wielu historyków. Dla porządku muszę powiedzieć, że istnieje też i taka wersja, że były to porachunki świata przestępczego.

– **Generał Andriej Margrafski, szef Ochrań, był spiritus movens tego pogromu?**

– Margrafski to arcyciekawa postać. W Warszawie rezydował od 1883 roku, najpierw jako lejbgwardzista, potem starszy adiutant Zarządu Warszawskiego Okręgu Żandarmerii, a od 1905 roku szef tajnej policji. Jestem przekonany, że maczał palce w opisywanym przeze mnie zdarzeniu. Będę o nim zresztą pisał także w drugim tomie.



– **Twoi bohaterowie są reprezentantami różnych stanów i narodowości: Żydzi, Polacy, Rosjanie, politycy, dziennikarze, alfonsi, agenci Ochrony, prostytutki... Czy są oni odbiciem twojego spojrzenia na Warszawę tamtych czasów – podzieloną, nierówną pod względem praw?**

– Przede wszystkim trzeba podkreślić, że Warszawa bardzo szybko ulegała rusyfikacji. Obowiązywały dwujęzyczne szyldy, wyższe stanowiska zajmowali albo Rosjanie, albo ci, którzy wyrzekli się polskości. I w tym 1905 roku nagle wszystko zaczęło się odwracać. Na strzały kozaków do demonstrantów po raz pierwszy od Powstania Styczniowego odpowiedziano strzałami, przełamano strach i chęć ugodowego współistnienia. W styczniu w starciach z kozakami zginęło około stu osób, w maju kolejne trzydzieści dwie. Ale przecież to nie znaczy, że nie było ludzi, którzy widzieli inną drogę zdobywania czy budowania niepodległości niż kolejne powstanie zbrojne.

– **Ale czy 1905 rok to nie było właśnie kolejne polskie powstanie?**

– Nie wiem, chyba to dosyć śmiałe założenie. Faktem jednak jest, że w Królestwie Polskim strzelano wówczas każdego dnia, że było bardzo wiele ofiar, że bezwzględność i okrucieństwo rosyjskiego zaborcy były znacznie większe niż w zaborze pruskim czy austriackim. Jest też coś jeszcze. Mam wrażenie graniczące z pewnością, że gdy zapytasz o 1905 rok, dziewięćdziesiąt dziewięć procent naszych rodaków szeroko otworzy usta, a potem powie, że... nic nie wie.

– **Wróćmy do twojej książki. Pomieszałeś postaci autentyczne ze zmyślonymi...**

– To przywilej prozaika. Ale ogromnie dużo tu ludzi, którzy żyli w Warszawie, mają swoje w niej miejsce, chodzili ulicami, którymi i nam zdarza się chodzić. I choć nie wszyscy byli na czołówkach gazet, to łatwo w różnych spisach sprawdzić, że to dzięki takim postaciom miasto właśnie tak wyglądało, że żyło swoim życiem, że to oni nadawali mu niepowtarzalny charakter.

– **Wszystkich ich polubiłeś?**

– No nie, to zupełnie niemożliwe. Generał-gubernator Konstantin Maksymowicz był postacią żalną, ale bandzior-policjant Wiktor Grün, o którym bardzo trudno zdobyć wiadomości, był fascynującą figurą.

– A Franciszka Szlimakowska, królowa warszawskich lupanarów?

– Ona i jej „zakład” byli zjawiskiem w Warszawie. Pięćdziesiąt dziewczyn, przepiękny lokal z marmurowymi schodami, dwie orkiestry, najlepsze trunki. To nie był zwykły dom publiczny. Tam się załatwiała interesy, tańczyło, wdychało się zapach Europy. Może wyda się to dziwne, ale do tego przybytku przychodziły damy z dobrego towarzystwa, aby podziwiać wystrój wnętrza, ubiory pracujących tam kobiet, zjeżdżali oficerowie z całej guberni, przemysłowcy, kupcy.

– To był najważniejszy „lokal” tego typu w Warszawie?

– Nie tylko w Warszawie. Jego sława sięgała daleko poza granice Królestwa Polskiego. Budził zgorszenie, ale i podziw dla talentów Szlimakowskiej. Pamiętaj, że kobiet uprawiających nierząd było w Warszawie, ale i innych miastach guberni, ogromnie dużo. Podaję zresztą te liczby w książce. Bo to czas wielkich przekształceń, migracji ludności, biedy, poszukiwania szans i możliwości przetrwania. I większość z nich pracowała w strasznych warunkach. Często były wykorzystywane przez sutenerów, bite, odbierano im cały zarobek. Zdarzało się też, że porywano tak zwane porządne kobiety. Niektóre wywożono za ocean, inne trafiały do warszawskich burdeli.

– Jeden z bohaterów twojej książki ma do czynienia z taką dziewczyną...

– No tak, bo chciałem też takie sytuacje pokazać. Wiesz, Warszawa to był niesamowity tygiel. Rewolucja, strzelanie, ciemne interesy, panoszenie się Rosjan, fortuny, które powstawały nie wiadomo dlaczego, filantropia, wielkie budowy, mosty, parki, wystawy. Minęło ledwie sto lat z małym okładem, a my nic o tych czasach już nie wiemy. Mnie to zadziwia, bo to ledwie trzy, cztery pokolenia. Mój dziadek miał wówczas dziesięć lat, mieszkał w Warszawie, dotykał tego. Bardzo żałuję, że go nie znałem, że nie mogłem z nim o tym porozmawiać. Z drugiej strony dla tamtych ludzi minęło ledwie czterdzieści lat od Powstania Styczniowego.

– „Pogrom 1905” jest inny od twoich wcześniejszych powieści. Ma aż jedenaścioro głównych bohaterów...

– I kilkudziesięciu pobocznych. Tak, to prawda. Opowiadam losy ludzi, miasta, wydobywam zdarzenia, w których każdy z nich miał szansę uczestniczyć.

Te losy się zapętłają, zachodzą na siebie, krzyżują. Nie ma jakiejś jednej centralnej postaci.

– Lubisz Prusa?

– Lubię i domyślam się, o co chcesz zapytać.

– O „Kroniki tygodniowe”. Inspirowały cię?

– Nie ośmieliłbym się szukać paraleli. Nie, nie inspirowały mnie, czytałem je kilkadziesiąt lat temu. Ale chciałem uchwycić puls ówczesnej Warszawy. Dla mnie bardzo ważny jest szczegół, zawsze na tym buduję wiarygodność opowiadanych historii...

– Chciałam cię właśnie o to zapytać. O wiarygodność...

– Czasami myślę, że gdyby nie komputer, internet, nigdy bym nie został pisarzem. Na szczęście spora część prasy z tamtego okresu jest zdigitalizowana, można do niej sięgnąć, skonfrontować nasze wyobrażenia z opisami świadków epoki. Bo nawet jak wymyślasz, tworzysz fikcyjną postać, to przecież umieszczasz ją w świecie, który istniał. Strasznie mnie irytują pisarze, którzy uważają, że czytelnik przełknie każdą bzdurę. Nie, czytelnik to nasz najważniejszy recenzent. Ja bardzo szybko piszę, ale wcześniej miesiącami zbieram materiały, robię notatki. Znajduję jakąś informację, sprawdzam, wychodzą mi nowe rzeczy, znów sprawdzam, pojawiają się kolejne zdarzenia, postaci, przerabiam je dziesiątki razy.

– Ale w którymś momencie jednak zaczynasz pisać...

– No tak. Bo przecież nie jestem archiwistą, badaczem szczegółu. W którymś momencie trzeba sobie powiedzieć, że wiem na tyle dużo, że mogę już pisać. Choć i w trakcie pisania potrafię się cofnąć, bo gdzieś wygrzebałem kolejną informację.

– Zastosowałeś w swojej nowej powieści pewnego rodzaju dychotomię: z jednej strony Rosjanie obserwują Polaków, ale trochę czują się jak w oblężonej twierdzy; z drugiej Polacy patrzą na Rosjan i choć są od nich uzależnieni, często idą jakby w poprzek planów zaborcy. Te światy, mimo że często się przecinają, nie przylegają do siebie.

– Są jeszcze Żydzi, którzy niekoniecznie się asymilują, tworzą swoistą enklawę w mieście. Ale tak, masz rację, kapitan Konstantin Andriejewicz Jurin, jego żona Nastasja Filipowna, Andriej Margrafski, Konstantin Maksymowicz, z drugiej strony doktor Jakób [pisownia oryginalna] Goldenberg, dziennikarz Wawrzyniec Olkusi, zaplątany w historię Marcjusz Kudelka, Franciszka Szlimakowska, Yvette, dziewczyna z jej lokalu. Zastanawiam się, trochę wybiegając w przyszłość, do drugiego i trzeciego tomu „Pogromu”, co musiałoby się stać, aby te światy się złąły.

– A nie złąły się? W 1914 roku warszawiaci mówili o Rosjanach „nasi”.

– To prawda. Ale mam wrażenie, że 1905 rok, jak wcześniej Powstanie Styczniowe, budował tożsamość narodową Polaków. Że bez niego, bez rewolucji, ale też późniejszych strasznych represji, które zastosował następca Maksymowicza, kolejny generał-gubernator Skalon, tych setek powieszonych, proces zlewania się, rusyfikacji byłby znacznie intensywniejszy, znacznie szybszy. Doceniając ideę pracy organicznej, mam też poczucie, że wszystkie te nasze zrywy narodowe były po coś, że przybliżały nas do odzyskania niepodległości. Pamiętaj, że 1905 rok dał Polakom ogromnie dużo, że to wówczas na przykład dopuszczono naukę w szkołach po polsku, że zaistniała możliwość tworzenia różnych organizacji społecznych, powstały związki zawodowe. Tego by nie było bez ofiar.

– Po raz pierwszy jasno deklarujesz, że powieść będzie miała ciąg dalszy.

– Tak, niebawem zacznę pisać drugi tom „Pogromu”. Tym razem z datą 1906. Będzie też tom trzeci z datą 1907. Trochę się śmieję, że napiszę tę trylogię po to, aby przestano mnie kojarzyć tylko z Żołnierzami Wyklętymi. Swoją drogą to dla mnie zadziwiające, że jestem autorem dziesięciu książek, jedna trzecia z nich poświęcona była temu tematowi, ale przyłgnął do mnie bardzo mocno, inne gdzieś zniknęły, zeszyły na plan dalszy. Ale wracając do twojego pytania – w drugim tomie zajmę się eskalacją przemocy instytucjonalnej. Bo wtedy naprawdę wieszano bez opamiętania, bez wyroków sądowych, na podstawie decyzji administracyjnych. To był rzeczywisty pogrom.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA WÓJCIK

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 4/2018/

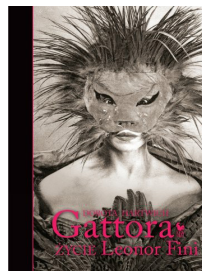
Obrazy prowokacji

ROZMOWA Z DOROTĄ HARTWICH

– Ekstrawagancję Leonor Fini wyniosła z domu?

– Gdyby Leonor usłyszała Pana pytanie, prawdopodobnie zareagowałaby zgryźliwą ironią. Bo ekstrawagancja jest cechą bardzo wyróżniającą, występującą rzadko, czymś niecodziennym, rodzajem przywileju, formą wybieraną od święta. Dla Fini była jednym z bazowych składników jej osobowości. Nie znosiła naturalności i spontaniczności. Wychowywała się w Trieście, tam dorastała, w otoczeniu matki, babki, ciotek i wuja Ernesta Brauna. To był dom przesiąknięty kobiecą energią, zarówno matka, jak i babka – Dalmatyńska – były silnymi osobowościami. Ciotki należały do kobiet wyemancypowanych. Matka nie dała się zdominować mężowi Herminio Fini, który zabrał ją do Argentyny, by tam zamknąć w wielkiej hacjendzie i trzymać jak swą własność. Uciekła od niego z córką, wsiadła na statek i wróciła do Włoch, mimo jego gróźb i szantażu. Wybrała niezależność. Myślę, że dla Leonor to był mocny grunt, na którym wyrastała – w poczuciu pełnej niezależności, w totalnej niezgodzie na jakąkolwiek formę opresji, wykluczenia, ograniczenia wolności.

Z drugiej strony mała Leonor wiedziała, że jest przedmiotem walki pomiędzy rodzicami, tematem dyskusji i kontraktów prawniczych, obiektem sporów adwokatów. Czuła się bohaterką już jako dziecko. Jako kilkuletnia dziewczynka zachowywała się arogancko, odrzucała autorytety, piła z nauczycieli. To wszystko jakoś jej uchodziło, mimo bardzo surowego wuja, u którego mieszkała. Wybaczano jej te dziecięce fanaberie może właśnie dlatego, że była jedyną córeczką skrzywdzonej matki, trzeba ją było szczególnie chronić, zwłaszcza że co jakiś czas krążyły pogłoski o tym, że ojciec ma zamiar porwać córkę. Na to, jak kształtowała się jej osobowość, miał też wpływ sam Triest – miasto wielokulturowe, o splątanych wątkach: łacińskim, germańskim, słowiańskim i żydowskim, i wielogłosowe, z Włochami, Austriakami i Niemcami, Słoweńcami i Chorwatami, Turkami, Grekami, Żydami. W takim otoczeniu łatwiej wyrastać bez kompleksów, zachować otwartą głowę.



No i trzeba wspomnieć o gościach w domu rodzinnym Leonor – często gościli tam artyści, choćby James Joyce i Rainer Maria Rilke. Siadywała z nimi przy jednym stole.

– Przystankami na jej życiowym szlaku byli mężczyźni nietuzinkowi, żadnego z nich jednak nie poślubiła. Z racji dezaprobaty dla małżeństwa, czy też macierzyństwa?

– Kochała mężczyzn o nieokreślonej do końca tożsamości płciowej, o androgenicznych twarzach i posturze. Lubiła pierwiastek kobiecy w mężczyznach i pierwiastek męski w kobietach. Kochała tych, którzy byli niejednoznaczni seksualnie. Sama zresztą wokół siebie tworzyła aurę niejednoznaczności. Lubiła homoseksualistów. Kiedy mówiła „ciocia”, to niemal zawsze z czułością. A formuła małżeństwa nie odpowiadała jej w najmniejszym calu, na ślub zdecydowała się tylko raz, z Federico Venezianim, prawdopodobnie zresztą tylko po to, by mu pomóc w zdobyciu wiz przejazdowych i pobytowych w czasie wojny. Małżeństwo szybko się skończyło, bo Leonor zakochała się w Stanislao Leprim, niespełnionym artyście, który pod jej wpływem rzucił karierę w dyplomacji i poświęcił się malarstwu. Większość życia spędziła w otoczeniu kilku mężczyzn jednocześnie, ideałem był duży dom, z pracownikami dla niej i jej mężczyzn, z których jeden był bardziej przyjacielem, drugi kochankiem. No i oczywiście z kotami. Z kolei macierzyństwo instynktownie budziło w niej odrazę, nie tylko jego fizyczna strona... Uważała, że to rodzaj tchórzostwa, ucieczki przed tym, co naprawdę ważne.

– Henriego Cartiera-Bressona poznała, gdy dopiero raczkował w fotografii...

– Spotkali się w cukierni, spontanicznie zaczęli ze sobą rozmawiać. Cartier-Bresson od razu dostrzegł w Leonor żywe zainteresowanie obrazami – ona malowała, jego pasją była fotografia. Wyjął swój notatnik, do którego powklejał swoje zdjęcia z wypraw do Afryki i wcześniejsze, pokazywał Leonor, komentował, nasłuchiwał, co powie. Przedstawił jej swojego przyjaciela z lat szkolnych, André Pieyre de Mandiarguesa. Dla Leonor to był przełom, zakochała się w André, spędzali sporo czasu we troje. Cartier-Bresson fotografował ich razem, fotografował Leonor, w prowokacyjnych pozach, kreowanych, czasem psychodelicznych sytuacjach. Wykonał też kilka jej aktów. Wśród

nich jest fotografia, która dziś uchodzi za jeden z najwybitniejszych, a zarazem najbardziej erotycznych aktów w jego długoletniej światowej karierze. Podobno przez to – uznane za zbyt śmiało – zdjęcie Carier-Bresson miał kłopoty w Stanach. Sporo podróżowali we troje po Włoszech, razem byli w kilku krajach Europy. Wtedy mocno zgrzytało między Leonor a Cartier-Bressonem, on też uwielbiał prowokować, bywał złośliwy, ona nie pozostawała mu dłużna, atmosfera bywała napięta. W jednym z wywiadów udzielonych kilkadziesiąt lat później stwierdził, że do dziś nosi ślady po tej znajomości – widoczne na ciele blizny po paznokciach Gattory.

– Christian Dior do mody dotarł przez plastikę. Z pomocą Gattory?

– Artyści inspirowali Diora. Nie wiadomo, jak potoczyłaby się jego kariera, czy w ogóle związałby się z modą, jaki styl by wylansował, gdyby nie poznał grona artystów Paryża przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, wśród nich Fini. Miał być dyplomata, tak wyobrażali sobie jego karierę jego rodzice, ale wolał nocne włóczęgi z cyganerią. O Leonor dowiedział się od Maxa Jacoba, który opowiadał mu o jej obrazach. Dior od razu zareagował entuzjastycznie, zapragnął zobaczyć je na własne oczy, a potem zaproponował Leonor udział w wystawie zbiorowej, a następnie ekspozycję indywidualną. Prowadził wtedy z Jeanem Bonjeanem galerię w Paryżu. Osobiście wybierał obrazy Leonor na wernisaż. Najbardziej podobały mu się te z motywem kobiet – nieco przerośniętych, jakby zdeformowanych, z atrybutami zarówno mitologicznych bogiń, jak i dzikich, nieokiełzanych, zwierzęcych natur; wyposażonych w rogi, ogony, pazury.

– Dla Paula Éluarda stała się poetyckim natchnieniem?

– Nie znosiła podziału świata sztuki na artystów, zazwyczaj mężczyzn, i ich kobiece natchnienia. Na myśl o tym, że miałaby być czyjaś muza, dostawała gęsiej skórki. Poznała Éluarda, kiedy ten był już w związku z Nusch, ale jeszcze kochał Galę, która zostawiła go dla Salvadora Dalego. Leonor zaintrygowała go nie tylko poprzez to, co robiła w sztuce, zaimponowała mu wiedzą, obyciem i inteligencją. Opowiadała mu o swoich germańskich fascynacjach – niemieckim malarstwie i literaturze romantycznej. Był zachwycony. Mieli podobne podejście do związków – łączyło ich upodobanie wolności, sprzeciw wobec zawłaszczania kogokolwiek. Leonor lubiła

w Éluardzie jego opiekuńczość, on trochę jej „matkował” jako artystce, opowiadał marszandom, kuratorom i krytykom o jej obrazach, zabiegał o jej popularność. Zadedykował jej wiersz, potem ona zilustrowała jego rękopis.

– „Im więcej o niej myślę, tym bardziej zapominam o diable” – pisał Max Ernst.

– To zdanie świadczy o ich zażyłości i bliskości. Dla wielu była schronieniem, był i taki czas, kiedy Ernst znajdował w niej otuchę. Fascynowała go uroda, przez krótki czas byli kochankami, ale była zbyt niezależna, by wejść w długotrwały związek z kilkanaście lat starszym mężczyzną, który wciąż nawiązuje nowe relacje z kolejnymi kobietami. Niewątpliwie wzajemnie się inspirowali w swojej twórczości. Ona podglądała jego nowatorskie techniki, on z pasją zanurzał się w jej oniryczne światy.

– Czym zaimponował jej Jean Genet?

– Oboje lubili to, co mroczne i zakazane. Jako młoda dziewczyna, będąc w Nowym Jorku, zapuszczała się w miejskie zaułki, aby oglądać tych, których odrzuciło społeczeństwo, ludzi zdeformowanych, dziwolągów i freaków. Geneta poznała później, w 1947 roku, w jednym z nocnych lokali w piętnastej dzielnicy Paryża. Zaczęli razem pracować – projektowała kostiumy do baletu według jego libretta, ilustrowała mu teksty. Napisał do niej długi list, opublikowany potem w formie utworu literackiego, w którym dogłębnie analizuje jej sztukę i osobowość. Ich przyjaźń nie przetrwała jednak długo, Leonor akceptowała jego skłonności do występku, ale odrzuciła go, kiedy dopuścił się oszustwa. U nikogo nie tolerowała kłamstwa.

– W jakich okolicznościach wpadła w oko kamery Federica Felliniego?

– Pierwszy raz spotkali się w Rzymie, jeszcze w czasie II wojny światowej. Potem Fellini odwiedził ją kilka razy w Paryżu. Projektowała dla niego (m.in. kostiumy do jednej sceny w „Osiem i pół”). Miała też swój udział w powstaniu scenariusza „Słodkiego życia”; była prototypem postaci piątej kobiety głównego bohatera, mieszkającej w wieży tajemniczej pisarki. Ostatecznie jednak reżyser zrezygnował z tej postaci, bo poróżnił się z aktorką, która miała ją zagrać.

– **Nieodłączny element jej CV stanowiły prowokacje.**

– Od ich opisów roi się we wspomnieniach, jakie o Leonor pozostawili jej znajomi i przyjaciele. Przoduje w nich Julien Levy, nowojorski galerzysta, który o wielu artystach tworzył legendy. Wspomina na przykład o żyletkach, które Leonor miała powtykać w poręczce, by poranił sobie dłonie jej gość, który miał ją odwiedzić, a wcześniej czymś się jej naraził. Kiedy krwawił, miała go wyzwąć za to, że miał czelność przychodzić do niej ubrudzony krwią. Na pierwsze spotkanie z surrealistami założyła kardynalskie pończochy. Levy opisuje też wizytę u niej, kiedy przyjęła go w specjalnie pociętej i porozdzieranej sukni, która kusząco odsłaniała jej uda i piersi.

– **Menage a trois to właściwe określenie dla – excusez le mot – stosunków Fini ze Stanisłao Lepri i Konstantym Jeleńskim?**

– Żyli we troje pod jednym dachem ponad trzydzieści lat. Nie byli spokrewnieni, a jednak, kiedy czytam ich korespondencje, mam wrażenie, że byli zrobieni z jednej tkanki, stanowili jeden organizm. Pisali do siebie setki listów, kiedy któreś z trojga wyjeżdżało, czasem po kilka dziennie! Szalenie się kochali, mimo romansów Leonor, mrocznych związków homoseksualnych, które miewał Kot Jeleński, czasem zupełnie odrębnego życia, które wiódł Stanisłao. Byli dla siebie wszystkim. Nie byłoby malarza Lepri bez Leonor, nie wiadomo czy Jeleński porzuciłby bez niej posady urzędnicze, poświęcając się literaturze, co przyniosło odkrycie dla świata Gombrowicza i Miłosza. Czy Fini, w głębi duszy – jak widział ją Konstanty – bezbronna i wrażliwa mała dziewczynka z Triestu, wytrwałaby bez nich, w swoim wyrazistym i niepowtarzalnym stylu, jako jedna z najbardziej płodnych artystek XX wieku? Uparcie przy sztaludze, do ostatnich dni 89-letniego życia...

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 4/2018/

Sprawa Gorgonowej

ROZMOWA Z CEZARYM ŁAZAREWICZEM

– Bardziej prawdopodobne jest ustalenie sprawcy zabójstwa Lusi Zarembianki, czy też rozszyfrowanie losów Rity Gorgonowej po 3 września 1939 roku, kiedy opuściła celę?

– Jedno i drugie jest dzisiaj bardzo trudne, bo od jej wyjścia z więzienia minęło osiemdziesiąt lat, a od jej procesu jeszcze więcej. Na szczęście jest tak wyrazistą postacią, że wszędzie, gdzie się pojawiła, zostawał jakiś ślad w pamięci. Poszukiwania Gorgonowej to jak podążanie za zjawą – nigdy nie wiadomo, czy to prawda, czy fantasmagorie. Dlatego o jej dalszych losach pisałem tylko wtedy, gdy potwierdzały się w kilku niezależnych źródłach.



– Kilka lat temu głośno było o rewizji najstrawniejszego procesu II RP...

– To tylko teoretycznie jest realne. Musiałyby się znaleźć mocne dowody jej niewinności. Coś, co nie budzi żadnych wątpliwości. A jak coś takiego znaleźć po prawie dziewięćdziesięciu latach? Wszystko, co nam pozostało, to akta sprawy, które są wertowane dokładnie od dziesiątków lat przez biegłych sądowych, studentów prawa, medyków sądowych, kryminologów. Gdyby coś w nich znaleźli, na pewno byśmy się o tym dowiedzieli. Nie zachował się najważniejszy dowód w sprawie, czyli futro Rity Gorgon. Przed wojną biegli odkryli na nim ślady krwi Lusi Zarembianki, co było ważnym dowodem przeciwko Gorgonowej. Ale nie zdołali przekonać sądu, że to wiarygodny dowód. Kryminalistyka była wtedy w powijakach. Biegli mogli jedynie określić grupę krwi na badanym dowodzie. Dziś z łatwością ustaliliby DNA i nie byłoby żadnych wątpliwości. Wprawdzie zachował się dżagan, którym prawdopodobnie zabito Zarembiankę, ale nie ma na nim żadnych śladów biologicznych.

– W cieniu ofiary i skazanej pozostają Henryk Zaremba i jego syn Stanisław. Co się z nimi stało?

– Henryk Zaremba trafił najpierw do aresztu. Był podejrzewany o współudział w zamordowaniu córki. To był absurdalny zarzut, więc po kilku tygodniach go zwolniono. Sprzedał dom w Brzuchowicach, przeniósł się do Warszawy. Mieszkał z córką Romaną i synem Stasiem w domu na Żoliborzu. Nigdy nie uznał najmłodszej córki Ewy, która urodziła się w więzieniu. W czasie powstania warszawska willa Zaremby spaliła się doszczętnie. Po wojnie wciąż pracował jako architekt. Odbudowywał stolicę. Zmarł w 1953 roku. Nigdy się nie spotkał z Ewą. Staś studiował na Politechnice w Gdańsku. Podczas ferii zimowych w 1939 roku pojechał z kolegami na narty do Zakopanego. Zginął pod lawiną.

– **Jak ułożyły sobie życie córki Gorgonowej? Czemu są skłócone?**

– Roma mieszka w Warszawie. Jeszcze przed wojną ojciec, przewidując, że ludzie nie dadzą jej spokoju, zmienił jej urzędowo imię i datę urodzenia w metryce. Gdy pod koniec lat czterdziestych wyszła za mąż i zmieniła nazwisko, stała się zupełnie anonimowa. Ewa przez wiele lat uciekała przed swoją historią, aż trafiła na Pomorze. Mieszka do dziś w Trzebiatowie w starej kamienicy na poddaszu. Nad telewizorem wisi portret matki, której nigdy nie poznała. Siostry spotkały się pod koniec lat pięćdziesiątych. Mieszkały nawet razem w Warszawie, lecz podzieliła je sprawa Gorgonowej. Nie rozmawiają ze sobą od wielu lat, bo Ewa wierzy w niewinność mamy, a Roma uważa, że to Rita zabiła Lusię.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

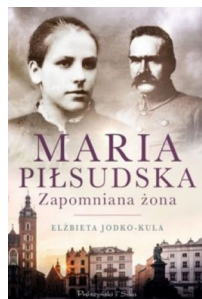
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 4/2018/

Piękna Pani

ROZMOWA Z ELŻBIETĄ JODKO-KULĄ

– Pierwsza żona Józefa Piłsudskiego pozostaje w cieniu drugiej. Z jakich względów?

– Trudno odpowiedzieć, dlaczego wspomnień o niej jest tak niewiele, skoro od wczesnej młodości angażowała się w pracę konspiracyjną. W Wilnie, Petersburgu i w Warszawie związana była z ruchem socjalistycznym. Potem w Krakowie działała w Lidze Kobiet, pracowała w spółce wydawniczej „Książka”, bardzo aktywnie pomagała Strzelcom. W krakowskim mieszkaniu na długo przed I wojną światową organizowała nie tylko punkt kontaktowy dla wielu uczestników działań niepodległościowych, ale też opiekowała się finansami organizacji (między innymi koordynowała zbiórkę funduszy dla Strzelca). Wydawałoby się, że jej ciekawy życiorys powinien być zauważony... W tym przypadku niewątpliwie zadziałał czynnik ludzki.



– Aby stanąć na ślubnym kobiercu, tow. „Wiktor” musiał zmienić wyznanie?

– Biografowie Piłsudskiego dowodzą, że konieczność konwersji na luteranizm wiązała się z faktem, iż Maria Piłsudska była już raz mężatką i jej ślub został unieważniony. Istotnie tak było, ale nie ma dostępu do świadectw, że Maria z domu Koplewska, primo voto Juszkiewicz była katoliczką! Poślubiając Piłsudskiego, miała trzydzieści cztery lata. Jej pierwsze małżeństwo z Mariannem Juszkiewiczem zostało rozwiązane, prawdopodobnie w warszawskim kościele ewangelicko-augsburskim, po wieloletnim procesie rozwodowym. Czy znaczy to, że od urodzenia była ewangeliczką? Nie wiem, chociaż usiłowałam tego dociec, poszukując dokumentów nawet w wileńskim archiwum. Fakt, że nie dało się ustalić, gdzie pochowany jest ojciec Marii, sugeruje, że Koplewscy mogli nie być katolikami. Na Rossie leży jej matka i córka, ale gdy one umierały, cmentarz ten był już ogólnodostępną nekropolią miejską. Wcześniej – gdy zmarł Konstanty Koplewski, ojciec Marii – ewangelików chowano na nieistniejącym już od dawna cmentarzu ewangelickim. Maria

do śmierci pozostała luteranką, czego dowodzi wniosek o przyznanie jej – pośmiertnie – Orderu Polonia Restituta, przedstawiony w czerwcu 1929 przez szefa Biura Wyznań Niekatolickich Ministerstwa Spraw Wojskowych (w końcu zmarłą uhonorowano jedynie Krzyżem Niepodległości).

– Piłsudski nie był jedynym kandydatem do jej ręki...

– Roman Dmowski poznał Marię Juszkiewicz u schyłku XIX wieku, przyjeżdżając do Wilna z Mitawy, dokąd został zesłany carskim nakazem za działalność wymierzoną przeciw porządkowi obowiązującemu na terenie zaboru rosyjskiego. Píše o tym w pamiętnikach Leon Wasilewski, który przebywając w Wilnie, spotykał się z Juszkiewiczową oraz Dmowskim. Wszyscy troje bardzo dobrze czuli się w swym towarzystwie i – jak wspomina Wasilewski – wspólnie udawali się na wycieczki. Jak daleko zaszły sprawy pomiędzy Marią a Romanem – tego już się nie dowiemy. Niemniej Dmowski często przyjeżdżał do Wilna z Mitawy, choć odległość dzieląca oba miasta wcale nie była mała. Kiedy zaś odwiedzał Wilno, zawsze odwiedzał też Marię Juszkiewicz. Niewiastę wybitnie urodziwą, czego dowodem nie tylko fotografie, ale także przydomek – Piękna Pani.

– Maria wniosła Piłsudskiemu w wianie córkę...

– ...która otrzymała imię babci po mieczu, bardzo dzielnej kobiety – mieszkając przez czas jakiś w Warszawie, ofiarnie pomagała konspiratorom, używając im lokum tudzież przechowując patriotów poszukiwanych przez carskich żandarmów. Wanda Juszkiewiczówna po ślubie swej matki z Józefem Piłsudskim została w Wilnie z babcią Koplewską. Aż do roku 1903 kwaterowała w domu na Zarzeczcu. Kilka miesięcy wcześniej Piłsudscy zawitali do Wilna i tam niewątpliwie zapadły decyzje co do dalszego losu nastolatki. Różne źródła podają, że pomiędzy Wandą i czołowym bojowcem PPS-u Walerym Sławkiem kwitło uczucie, co trudno potwierdzić. Jednak jest faktem, że gdy w czerwcu 1906 roku, uczestnicząc w akcji bojowej pod Warszawą, został on bardzo poważnie okaleczony, Wanda bardzo to przeżyła. Dwa miesiące później zapadła na ciężkie zapalenie wyrostka robaczkowego, zakończone zgonem. Sławek, za młodu bardzo przystojny, chętnie nawiązywał przelotne romanse z licznymi wielbicielkami, lecz po śmierci Wandy już nigdy nie związał się z żadną kobietą.

– Czemu małżeństwo Marii i Józefa się rozpadło?

– Przypuszczalnie małżeństwo rozpadło się z powodów prozaicznych. Aleksandra była o piętnaście lat młodsza od Marii, a pierwsza żona była o dwa lata starsza od Józefa. W chwili, kiedy blisko czterdziestoletnia Maria, po czterech latach tułaczki u boku męża, pragnęła stabilizacji, on bynajmniej nie mógł sobie na nią pozwolić. Próbowła ratować ich związek, lecz w historycznej zawierusze udało jej się tylko przedłużyć o kilka lat jego trwanie. Piłsudski był charyzmatyczną postacią i u jego boku zazwyczaj pojawiały się nietuzinkowe partnerki. Jak twierdzą historycy, w jego bardzo aktywnym życiu były co najmniej cztery (poza matką) ważne kobiety. Że z pierwszą żoną miał ślub ewangelicki, ujawnił jeszcze przed zgonem Marszałka Władysław Pobóg-Malinowski, odnajdując w kościele luterańskim w Paproci Dużej stosowną metrykę. Próbą ujawnienia tego odkrycia historyk ściągnął na siebie gniew piłsudczyków. Oczywiście ludzie z najbliższego otoczenia Komendanta wiedzieli o jego sytuacji rodzinnej i próbowali pomóc.

Po zamieszkaniu w Warszawie Piłsudski dostał od arcybiskupa Kakowskiego propozycję „rozwiązania problemu jego małżeństwa”, z której nie skorzystał. Ze swą nową partnerką, która urodziła mu dwie córki, pozostał w związku nieformalnym, aż do śmierci Marii (1921 r.), która postanowiła umrzeć jako żona Piłsudskiego, co też się stało.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 5/2018/

Piłka upolityczniona

ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ROKITĄ

– Mundial w Rosji nie powinien się odbyć?

– Od czasu przyznania jej prawa organizacji mistrzostw świata doszło do zasadniczej zmiany okoliczności. Decyzję tę FIFA podjęła w 2010 roku – na długo przed aneksją Krymu i wojną w Donbasie, w którą również zaangażowana jest Moskwa. W 2014 roku FIFA powinna była odebrać Rosji mundial i przekazać prawo organizacji innemu państwu. Tymczasem zamiast tego UEFA uznała Krymski Związek Piłki Nożnej i krymską ligę jako oddzielne od Ukrainy, godząc się de facto na piłkarski rozbiór tego kraju. Nie nałożyła też na Rosję odpowiednich sankcji – na przykład za zbrojne przejęcie krymskiej infrastruktury piłkarskiej. Być może beneficjentem „wrozumiałości” FIFA wobec Rosji jest jej sojuszniczka, Syria, która także uniknęła sankcji, choć na sumieniu w wymiarze piłkarskim reżim Baszszara al-Asada ma jeszcze więcej niż reżim Władimira Putina. Wszystko to pokazuje, w jak wysokim stopniu FIFA jest organizacją kierującą się rachunkiem politycznym.



– Piłkarzem był niedoszły zamachowiec na Lenina...

– To historia sprzed dokładnie stu laty. Robert Lockhart, bo o nim mowa, przybył do Moskwy – wówczas jeszcze nie stolicy Rosji – na kilka lat przed wybuchem I wojny światowej jako młody dyplomata. Wówczas rosyjska piłka nożna, a szczególnie ta moskiewska, dopiero się rodziła. Imperium Rosyjskie wystąpiło przed rewolucją w meczach międzynarodowych dwukrotnie i dwukrotnie przegrało – w tym raz 0:16 z mizernym zespołem Cesarstwa Niemieckiego.

Do Rosji piłkę przywieźli Brytyjczycy i uchodzili oni za piłkarskie bożyszcza. Wraz z przybyciem Lockharta pojawiła się w Moskwie plotka, że oto przybył wielki brytyjski futbolista. W rzeczywistości pomylili go z jego bratem, który zresztą sukcesy odnosił w innej dyscyplinie. Żądny przygód Lockhart nie zdementował jednak plotki i zgodził się zostać napastnikiem najlepszego

wówczas moskiewskiego klubu piłkarskiego. Na boisku nawet sobie radził. Kilka lat później, tuż po rewolucji bolszewickiej, stanął zaś na czele brytyjsko-francuskiego spisku, którego celem było obalenie komunistów i przywrócenie rządów republikańskich w Rosji, a przez to ponowne wciągnięcie Rosji do wojny po stronie Ententy. Historia Lockharta jest jedną z niezliczonych, przez które staram się opowiedzieć Europę Wschodnią, opisując związki piłki i polityki. Sport jest jednak raczej pretekstem do snucia opowieści właśnie na tematy polityczne, tożsamościowe.

– Dlaczego symbolem sowieckiego futbolu stali się bracia Starostinowie?

– Ponieważ byli jego pionierami, szczególnie najstarszy z czwórki braci – Nikołaj. Zaczął grać jeszcze za cara, później w czasach ZSRR założył wielki Spartak Moskwa i był jedną z ważniejszych postaci radzieckiego futbolu (jako piłkarz i działacz). Następnie, już po rozpadzie ZSRR, walczył o rezygnację z pomysłu powołania rozgrywek Wspólnoty Niepodległych Państw i utworzenia lig narodowych, w tym rosyjskiej. Szczyt kariery Starostinów przypadł na straszne lata trzydzieste i czterdzieste XX wieku – zresztą dopiero w 1936 roku powstaje radziecka liga piłkarska, wcześniej futbol nie zawsze cieszył się poparciem władz. W tym czasie ich Spartak o piłkarską palmę pierwszeństwa rywalizować musiał z innym wielkim klubem – Dynamem Moskwa, którego patronem był szef bezpieczeństwa, Ławrientij Beria. Ten ostatni zaś, wielki miłośnik futbolu, uciekał się do najróżniejszych sposobów, aby zapewnić swojej ekipie sukces. W czasach stalinizmu za sukcesy piłkarskie i pasję do sportu nieraz płacono najwyższą cenę.

– Koszykówka stanowiła katalizator niepodległości Litwy?

– Litwa to obok Łotwy jedyny kraj Unii Europejskiej, gdzie do dziś to nie futbol, lecz koszykówka jest najpopularniejszym sportem. To litewscy koszykarze odegrali ogromną rolę w nakręceniu nacjonalistycznych i niepodległościowych nastrojów wśród Litwinów. W ZSRR ligę koszykarską tradycyjnie wygrywało CSKA (rosyjski klub piłkarski z siedzibą w Moskwie – przyp. red.), a w CSKA tradycyjnie grała cała reprezentacja ZSRR. Jedyną drużyną, która rzuciła im wyzwanie, był Žalgiris Kowno. Rzucił i w początkowych kilku latach rządów Gorbaczowa wygrywał ligę koszykarską. Proszę sobie wyobrazić

– dziesiątki tysięcy Litwinów krzyczących „Pokonaliśmy Moskwę!”, „Wojskowi nie mają z nami szans!”. Tak, to jest katalizator niepodległości. Szczególnie w 1986 czy 1987 roku. I jeden z przykładów tego, że sport może determinować politykę. Rola, jaką wtedy odegrali litewscy koszykarze dla nastrojów na Litwie, jest nie do przecenienia. A to, co zrobili na olimpiadzie w Barcelonie, walcząc o brąz z reprezentacją Wspólnoty Niepodległych Państw – to już zupełnie hollywoodzka opowieść.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 6/2018/

Kobiety z za krat

ROZMOWA Z EWĄ ORNACKĄ

– Czym różni się życie więźniarek od więźniów?

– Regulamin odbywania kary jest ten sam, ale w męskim więzieniu kumuluje się więcej testosteronu, więc pewnie nastroje są bardziej bojowe. Kobiety nie są aż tak skłonne do bójek i przemocy jak mężczyźni, nie bawią się w subkulturę więzienną i tatuowanie pagonów na ramieniu. Ale i tam bywa gorąco, ponieważ emocje pulsują, awantury należą do codzienności.



– Co sprawia osadzonym kobietom największy kłopot?

– Nowa sytuacja, tzn. zamknięcie w celi bez możliwości wyjścia jest szokiem i nie od razu można do tego przywyknąć. Brak kontaktu z bliskimi, długotrwała rozłąka pogłębiają ten stan. Stąd depresje i próby samobójcze. Życie w systemie złożonym z nakazów i zakazów to rzeczywistość, do której trudno się przystosować. Ale więzienie to nie sanatorium, gdzie odzyskuje się siły. Poza nielicznymi przypadkami nikt nie trafia tam bez przyczyny. Karę trzeba odbyć. W przeciwnym razie o sprawiedliwości moglibyśmy zapomnieć.

– Narratorka książki nie miała obaw przed ujawnieniem swej tożsamości?

– Ujawniając swoje nazwisko, wykazała się ogromną odwagą, tym bardziej, że okoliczności nie były dla niej chwalebne. Historia opowiedziana przez kobietę z krwi i kości, a nie anonimową osobę, jest zdecydowanie bardziej wiarygodna. Nigdy wcześniej w literaturze faktu nie mieliśmy okazji poznania prawdy o więzieniach z relacji prawnika, do tego byłej sędzi. Szanuję moją narratorkę za odwagę i skoncentrowanie się na faktach, a nie osobistej historii. Ona nie szlocha, że „o niczym nie wiedziała”, „niczego nie podejrzewała”, jak to robią np. żony gangsterów. Na pewno znajdują się ludzie, którzy będą ją za to wytykać palcami, ale ona jest na to przygotowana.

– Areszt i więzienie to różne światy?

– Oba miejsca są okratowane, ale – jak mawia moja bohaterka – to dwa różne światy. Areszt jest „przedpokojem” – w prokuraturze toczy się śledztwo, zatem osoba tymczasowo aresztowana podlega większym rygorom, aby nie przekazywała informacji na zewnątrz, nie mataczyła. Dopiero po wyroku zaczyna się prawdziwe więzienne życie. Można telefonować do bliskich, widywać się z nimi, a na oddziałach półotwartych przemieszczać się z celi do celi, poznać ludzi.

– W PRL-u najcięższe więzienie żeńskie znajdowało się w Fordonie, a dziś?

– Największy jest zakład karny w Grudziądzu, może stąd jego sława. Trafiają tam głównie kobiety z długimi wyrokami. Wśród nich jest wiele zabójczyń i postaci znanych z kronik kryminalnych. Nie można powiedzieć, że to najgorsze miejsce pod słońcem – wiele oddziałów jest po remoncie, a część szpitalna, tzn. ginekologiczno-położnicza stoi na wysokim poziomie. Do tego ogródek jordanowski i kolorowe pokoje dla matek z dziećmi, które w niczym nie przypominają więziennych cel. Ale cały obiekt jest okratowany i otoczony murem. Nikt nie chciałby tam trafić.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

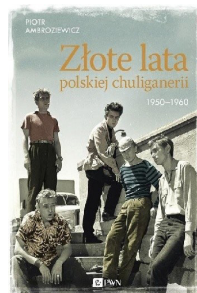
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 7/2018/

Łobuzeria upolityczniona

ROZMOWA Z PIOTREM AMBROZIEWICZEM

– Czemu akurat opisana dekada zapisała się złotymi zgłoskami w dziejach naszych chuliganów?

– Złote lata czy złote zgłoski to tylko licentia poetica, ale ona nie wzięła się znikąd. W latach wczesnej Polski Ludowej chuligani zaczęli się namnażać niczym bakterie dżumy w Oranie, czego władza w żaden sposób nie mogła zrozumieć. Mało tego, chuligańsko-bikiniarska cholera zainfekowała nawet młodzieżową organizację janczarów (ZMP) partii komunistycznej. Nie mówiąc o szkołach zawodowych, które – ze względu na niewysoki poziom umysłowy uczęszczającej do nich młodzieży – wydawały się całkowicie bezpieczne. Wydział Oświaty KC PZPR przygotował referat: „Działalność wroga na odcinku młodzieżowym”, stwierdzając, że „wszechobecna działalność wroga klasowego jest nie tylko ożywiona, ale i skuteczna, skoro prowadzi do negatywnych zachowań młodzieży – przybierających w dodatku rozmaite formy, w tym chuligaństwa i bikiniarstwa, ogólnej demoralizacji, lekceważenia szkolnych obowiązków – a nawet do religijności”.



Ponieważ ludowa władza nie potrafiła ani zrozumieć, ani zapobiegać, wybrała najłatwiejsze tłumaczenia, uznając chuliganerię za element wywrotowy, wrogi najlepszemu z ustrojów, sterowany – i ręcznie, i dolarowo – przez imperialistów rodem zwłaszcza z USA. W książce opisuję, do jakiej aberracji doszła ta władza.

I było tak przez ok. 10 lat, przy czym za przełom uznaje się początek tzw. gomułkowskiej małej stabilizacji, czyli czasowe okolice 1960 roku.

– Paramonow, szwarczarakter tamtych czasów, przeszedł do warszawskiego folkloru...

– Jerzy Paramonow, prostak i bandyta, stał się w pewnym momencie bohaterem chuligańskiej miejskiej legendy. Miał „na rozkładzie” dwóch milicjantów: jednego napadł z nienacka i uczynił kaleką, drugiego zabił z zimną krwią

z pistoletu odebranego pierwszemu. Przez pewien czas utrzymywał się wraz z kompanem z tchórzliwych napadów na peryferyjne sklepy z kobiecą obsługą, w końcu zasłużenie zawisł na stryczku. Stał się bohaterem ulicznych prymitywów, w tym ballady obwieszczającej: „Tu leży ręka, tam leży głowa/ to jest robota Paramonowa”.

Na tym jednak bym nie kończył tego wątku. Milicja Obywatelska była bowiem znienawidzona zarówno przez element przestępczy, jak i zwykłych, skądinąd praworządnych obywateli. Bo to były zwyczajne trepy, butne wobec zwykłych ludzi, ale tchórzliwe wobec chuliganów. Gdy już dochodziło do bójek między łobuzami a MO, zwykli ludzie nie spieszyli z pomocą stróżom porządku. Przy czym milicjanci musieli oganiać się przed chuliganerią pięściami (w czym byli gorsi) bądź kolbami długich karabinów, bo pałki dostali dopiero na jesieni 1956 roku.

– Opisuje pan też równie głośną sprawę Burmajstra. Ten uniknął stryczka...

– Jak wynikało z aktu oskarżenia, on i jego kolega Wysocki plus jeszcze dwóch chłopaków powołali czteroosobowy patrol ROAK – Ruchu Oporu Armii Krajowej i z bronią w ręku (jeden pistolet) postanowili ściągać kontrybucje z sympatyków komunistycznej władzy. Proces Burmajstra & S-ki przygotowywał kwiat ówczesnej bezpieki, o sędziach Wojskowego Sądu Rejonowego szkoda gadać, więc musiał zapaść jakiś straszny wyrok. I zapadł, zwłaszcza dwie szubienice, choć nie było żadnej śmiertelnej ani poranionej ofiary! Tym razem ludowa władza zauważyła, jak bardzo przegięła. Najpierw łaska Bieruta zmieniająca kary śmierci na więzienie, a po 1956 roku ogólna amnestia, dzięki której cała czwórka wyszła na wolność. Ale był i dalszy ciąg, o którym dopiero niedawno się dowiedziałem (i nie tylko ja). Otóż w świetle postanowienia Sądu Wojewódzkiego w Warszawie z 1995 roku, Burmajster, Wysocki i koledzy z ROAK okazali się osobami represjonowanymi za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego!

– Co wyróżniało bikiniarzy, czy mówiąc z krakowska: dżolerów?

– Przede wszystkim ubiór. Nosili marynarki jak ze starszego brata, spodnie za to wążutkie i kuse, aby odsłonić wielobarwne skarpetki, najchętniej w prążki. No i słynne krawaty, bajeczne krawaty z rozebranymi panienkami

albo z motywem z mórz południowych, jakieś atole (nazwa bikiniarz pochodzi zresztą od atolu Bikini, miejsca amerykańskich prób z bronią jądrową), palmy, rekiny, takie klimaty. Ważnym elementem była muzyka. Uznawali tylko zachodnią, przede wszystkim jazz, boogie-woogie, jive'a... Żadne tam mazurki czy oberki, wciskane przez partyjnych prominentów od kultury. W końcu władze pojęły własną głupotę i w drugiej połowie lat pięćdziesiątych dały spokój bikiniarzom, co szybko spowodowało ich śmierć cywilną.

– Łobuzeria wpadała w oko kamery („czarna seria” Jerzego Hoffmana & Edwarda Skórczewskiego, debiut pełnometrażowy Bohdana Poręby) z racji fotogeniczności?

– Wyróżniała się w szarym tłumie PRL-u dzięki naśladownictwu bikiniarzy. W tym sensie – i tylko w tym – można ich było przez czas jakiś brać za przyrodnych braci. Jednak chuligani pochodzili przeważnie z dołów społecznych i zwykle byli zbyt biedni, by dorównać lepiej urodzonym bikiniarzom. Ci ostatni unikali burd i zaczepek, za co spotykali się z pogardą łobuzerii.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki 7/2018/

Obrazki z alkowy

ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ CZYŃSKĄ

– Erotyka plastyczna zastępowała Mai Berezowskiej nieudane życie osobiste?

– Nie sadzę, żeby Berezowska rysowaniem scen erotycznych próbowała równoważyć jakiś brak w życiu prywatnym. Miała jednego męża, Kazimierza Grusa, świetnego rysownika i, niestety, alkoholika, który pod wpływem trunków robił się brutalny. Po rozwodzie z nim nie wyszła ponownie za mąż. Niestety nie wiemy też wiele o jej kolejnych partnerach, chociaż była kochliwa. Miała pogodny charakter, lubiła otaczać się ludźmi, ale w relacjach z mężczyznami z pewnością odzywały się jej kompleksy na punkcie wyglądu, otyłości (w pewnym momencie wręcz chorobliwej). Erotyczna tematyka prac Berezowskiej była jednak wynikiem jej twórczego instynktu. Rysowała z fantazją i wrażliwością, co strzegło ją przed trywialną pornografią.



– Dlaczego Służba Bezpieczeństwa umieściła ją na liście lesbijek?

– SB inwigilowała środowisko homoseksualistów, skupiając się głównie na mężczyznach. Lista kobiet jest krótka i nie w każdym przypadku zgodna z prawdą. Maja trafiła na nią zapewne przez swój krąg towarzyski. Wśród jej przyjaciół byli m.in. Artur Maria Swinarski czy Witold Gruca.

– Kiedy i gdzie podpadła III Rzeszy? Jakie były tego reperkusje?

– Na początku lat trzydziestych Berezowska wyjechała do Paryża. Udało jej się zahaczyć w redakcjach paryskich dzienników, została ich cenioną graphiczką. Kiedy w 1934 roku „lci Paris” zaproponowało jej zilustrowanie artykułu „Hitler intime et les amours du susse Adolf” („Miłostki słodkiego Adolfa”) autorstwa Jean-Pierre’a Mezerette’a, potraktowała sprawę z zawodowym zacięciem. Materiał był obliczony na wywołanie skandalu, ale jego konsekwencje przerosły wszelkie oczekiwania i obawy. Opowieść biograficzna Mezerette’a utrzymana jest w lekkim i wesołym tonie, ale pod płaszczykiem

śmiechu i satyry autor podaje ważne informacje. Już na wstępie demaskuje żydowskie korzenie Adolfa Hitlera. Maja przedstawiła wodza w śmiałych i prześmiewczych scenkach erotycznych. Pismo oczywiście zostało rozchwytane, zanim na interwencję niemieckiej ambasady zaczęła naciskać prokuratura i zarządzono konfiskatę. Wydawca i ilustratorka zostali oskarżeni o zniewagę głowy państwa. Powołano nawet biegłych, którzy mieli ocenić wartość artystyczną jej prac, bo strona niemiecka próbowała je zdyskredytować. Sześciu uznanych artystów, w tym profesorowie akademii, orzekło, że rysunki Polki są dziełem sztuki. W obronę artystki zaangażowali się ludzie z paryskiej elity intelektualnej. Jej adwokatem był słynny prawnik i polityk Albert Sarraut, były premier Francji (ponownie objął to stanowisko w styczniu 1936 roku). Berezowska została jednak uznana za winną i skazana na grzywnę w wysokości pięciuset franków. Ostatecznie zmniejszono do symbolicznego franka. Niemcy jednak nie zapomnieli jej karykatur Hitlera, trafiła na listę wrogów Rzeszy. Z tego powodu od momentu wybuchu drugiej wojny światowej plastyczka się ukrywała. Gestapo aresztowało ją w Warszawie. Uwięziono na Pawiaku, a następnie przetransportowano do obozu koncentracyjnego Ravensbrück.

– Czemu nie zdecydowała się pozostać po wojnie w Szwecji?

– Pewnie zaważyły względy rodzinne – w Warszawie mieszkała jej jedyna siostra Eleonora. Długo rozważała możliwość pozostania w Szwecji, dokąd dotarła pod koniec działań wojennych wraz z innymi więźniarkami pod opieką Czerwonego Krzyża. Układała sobie tam życie zawodowe. Malowała portrety i martwe natury, miała klientów, wystawiała prace, nawiązała wiele znajomości...

– Przez całe życie utrzymywała się z pędzla, kredek i ołówka?

– Tak. Wypracowała sobie mocną pozycję świetnej ilustratorki. Robiła rysunki do dziesiątków tytułów. Sławę przyniosły jej ilustracje do „Dekameronu” Boccaccia. W międzywojniu była modną portrecistką – do jej pracowni stawały się żony ministrów, a Eugeniusz Bodo zamówił u Mai portret Reri, swej ciemnoskórej ukochanej. Zawsze zbierała razy od bigotów i cenzury. W okresie socrealizmu, kiedy jej rysunki były blokowane, więcej zajmowała się projektowaniem scenografii i kostiumów scenicznych, a także rysunkami na potrzeby

reklamy. Po odwilży wróciła z przytupem: książki z jej ilustracjami do literatury staropolskiej czy do fraszek Jana Lzydora Sztaudyngera rozchodziły się w zawrotnych nakładach.

– Co się stało ze spuścizną artystki?

– Cały swój majątek Maja Berezowska przekazała Jadwidze Kopijowskiej. Ich przyjaźń datuje się od pobytu w Ravensbrück. Maja nazywała Jadwigę swoją ratowniczką. Były ze sobą blisko, Jadwiga opiekowała się artystką do jej ostatnich chwil. A następnie przez wiele lat zabiegała o utworzenie muzeum. W jej mieszkaniu na Mokotowie przyjmowała zwiedzających, oprowadzała po małych pokoikach wypełnionych rysunkami właścicielki. Była strażniczką pamięci. Listy, dokumenty, fotografie oraz rysunki z prywatnych zbiorów Mai przekazała Bibliotece Narodowej.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 10/2018/

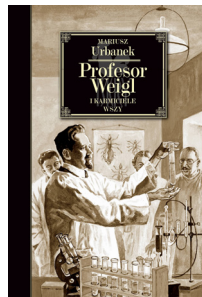
Niedoszły noblista

ROZMOWA Z MARIUSZEM URBANKIEM

– Skąd wzięło się u prof. Rudolfa Weigla zainteresowanie tyfusem?

– W XIX wieku ta choroba zbierała kolosalne żniwo śmierci. Podczas wojen napoleońskich, konfliktu krymskiego, batalii rosyjsko-tureckiej umierały dziesiątki tysięcy żołnierzy. Na terenie Polski wschodniej, w Karpatach systematycznie wybuchały ogniska tyfusu endemicznego. To był temat obecny w gazetach i rozmowach.

Dlatego podczas wielkiej wojny Weigl, który trafił do laboratorium wojskowego w Przemyślu, nie wykonał polecenia przełożonego – prof. Filipa Eisenberga – i nie zajął się zarazkami cholery, o których wiedziano już prawie wszystko. Zaczął badać tyfus, ciągle będący zagadką. W lazaretach pacjentów miał pod dostatkiem.



– Eksperymentował nie tylko na zwierzętach?

– Bardzo długo unikał doświadczeń na ludziach, tyfus w najostrejszym przebiegu doprowadzał przecież do zgonu. Sam skaleczył się w trakcie doświadczeń i rikietsje, czyli bakterie tyfusu, dostały się do jego krwi. W czasie choroby dyktował żonie swoje obserwacje na temat jej rozwoju. Sam wyciął sobie fragment skóry do biopsji, bo współpracownicy odmówili. Później zachorował na tyfus jeszcze raz.

– Kontrwywiad II RP namawiał go do tworzenia broni bakteriologicznej?

– To niewyjaśniona sprawa. Dwójka, czyli kontrwywiad II RP, miała wtyczkę w Instytucie. Nasze tajne służby były zainteresowane możliwościami wykorzystania podczas wojny broni biologicznej, bo takie same badania prowadzili w latach trzydziestych Rosjanie i Niemcy. W 1945 roku oficer polskiego kontrwywiadu poinformował o tym Amerykanów. Ale jak bardzo zaawansowane były te prace, nie wiadomo.

– **Apolityczny państwowiec.** Taki wizerunek profesora nasunął mi się po lekturze książki.

– Nigdy nie angażował się w politykę, nie należał do żadnej partii. Niemniej kilkakrotnie zabierał głos w kwestiach, które uważał za ważne. Podpisał na przykład list protestacyjny przeciwko szykanom stosowanym przez władze wobec posłów opozycji uwięzionych w Berezie Kartuskiej.

– **Uczestniczył w propagandowym Kongresie Intelktualistów w Obronie Pokoju w 1948 roku we Wrocławiu?**

– Jest na liście polskich delegatów, ale ostatecznie raczej do stolicy Dolnego Śląska nie przyjechał. Nie ma śladu jego udziału w obradach. Zachował się tylko fragment przygotowanego przemówienia, w którym ostrzega ludzi przed okrucieństwem i bezwzględnością wojny.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 10/2018/

Podlasie – moja mała ojczyzna

ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM PIASECKIM

– Ponad dekadę temu pan – warszawianin – podjął decyzję o przeprowadzce na wieś...

– Niezupełnie warszawianin i raczej nie „Warszawiak”, chociaż tak właśnie na początku mnie w nowym miejscu nazwano. Dziesięć pierwszych lat życia przeżyłem w Szczecinie, a pięć kolejnych w Żyrardowie, potem dopiero była Warszawa, aż do wyjazdu na Wzgórza Sokólskie (przed wojną Grodzieńskie). Do Grodna ode mnie jest 30 kilometrów drogami, a do granicy z Białorusią – siedem w linii prostej. Po tamtej stronie mieszka mnóstwo Polaków, tu – sporo prawosławnych. Większość osób starszych zna tutejszy wspólny język „po prostemu”; stanowi on mieszkankę języków rosyjskiego, białoruskiego i polskiego. Dla mnie jest trudniejszy do zrozumienia niż czysty język rosyjski czy białoruski. Ten język (dialekt) powoli zanika, ale występował na bardzo dużym obszarze, aż po Wilno. Istnieją nawet tomiki poezji z wierszami „po prostemu”...



– Czy teraz, po dwunastu latach, czuje się pan u siebie? Został pan zaakceptowany przez miejscowych?

– Tutejsi ludzie są bardzo gościnni i pozornie otwarci na nowych przybyszów. Dużo w tym ciekawości. Sąsiedzi szybko mnie polubili, każdy chciał mnie poznać i ja chciałem poznać prawie każdego. To był okres euforii, zachłyśnięcia się nową krainą i społecznością. Może też dobrze się tutaj czuję, bo w rodzinnym Szczecinie była ludność przeniesiona ze wschodu.

Zaprzyjaźniłem się z dwoma rodzinami. Uczylem się okolicy, remontowałem dom, odtworzyłem łąki i oczyściłem z zarośli resztki dworskiego parku i otoczenie jeziorek. Bo tu nikt przez sześć lat nie mieszkał, zarośnięte było. Do takich prac jak renowacja łąk potrzebna jest pomoc sąsiedzka, wszak nie miałem maszyn.

Z zaakceptowaniem przez miejscowych bywa różnie. Tutaj były trzy wywózki na wschód dokonane przez Sowietów, wybierano ludzi najlepiej

wykształconych, urzędników, działaczy społecznych, nauczycieli, ludzi zamożniejszych... Większość nie wróciła. Niemcy wymordowali ludność żydowską. Potem były represje wczesnego PRL, też wielu ludzi zginęło albo zaginęło. Nigdy mnie tu nie uznają za swego, ale owszem, zaakceptują, aż przyjdzie jakiś spór i dostanę zimny prysznic. Właśnie jeden sąsiad próbuje zasiedzieć kawałek mojej ziemi, drugi się obraził, bo nie pozwoliłem wyciąć kilku drzew przy drodze... I już nie jest tak miło. Na dodatek inny sąsiad, najlepszy przyjaciel, zmarł na serce. Jego żona wyjechała, ich dom stoi pusty, powstała próżnia. Ale mam oparcie w kilku osobach i to mi wystarcza, zawsze mogę liczyć na pomoc i sam chętnie pomagam. Założyłem u siebie bazę turystyczną zwaną agroturystyką, to uzasadnia mój pobyt. Przez tyle lat ludzie przywykli do mnie, nikt się już nie dziwi, że tu mieszkam.

– Opisywana przez pana kraina jawi się jako oaza pięknej przyrody, region nie poddany brutalnej transformacji...

– Tu było ciężkie życie. Elektryczność zaprowadzono niedługo przed 1970 rokiem. Maszyn było mało, robiło się końmi, dźwiganie, harówka, dostawy obowiązkowe dla państwa. Ale dla ludzi z drugiej strony granicy, gdzie zaprowadzono kołchozy, ludzie po naszej stronie to byli wielcy szczęściarze. Byli biedni, ale w zasadzie wolni.

Przyrodę ludzie na wsi traktują bardziej użytkowo. Drzewo jak jest duże, to można je raczej ściąć niż podziwiać. Bo ścięte posłuży na deski albo na opał. Rolnik bywa praktyczny, nie ma czasu bawić się w sentymenty...

Kraina jest piękna – niezwykle wzgórza, trochę jak niskie Beskidy, rzeczki wijące się wśród rzędów olszyn, laski pełne grzybów i poziomek, niebo wygwieżdzone, jak nigdzie indziej w Polsce... Gorące lata. Bardzo czyste powietrze. Niestety plagą tutejszej przyrody są kopalnie żwiru wokół Sokółki. Tu prawie wszędzie pod glebą jest żwir, glina lub piach. Dużo małych prywatnych górek jest rozkopanych przez rolników dla pozyskania budulca na drogi czy piasku na budowę. Przylatuje mnóstwo bocianów. Zimy suche i mroźne odeszły, ale może powrócą? Piękne są tutejsze zimy; gdy przyciśnie minus trzydzieści, taka cisza panuje, nawet ptaków nie widać, siedzą gdzieś głęboko w lasach, a sarny podchodzą pod gospodarstwa w poszukiwaniu resztek siana...

Nie radzę osiedlać się w pojedynkę, wtedy trzeba się zmierzyć z samotnością, jak ja na początku i teraz. Chociaż z drugiej strony lepsza samotność

w takim pięknym miejscu niż w kawalerce w bloku. Znowu w mieście można wyjść na miasto i zanurzyć się w bezimiennym tłumie. Choć wtedy jest jeszcze większa samotność. Niektórzy ludzie są zawsze samotni, nawet w towarzystwie, a niektórzy nigdy, nawet gdy są sami.

Tutaj osiedlają się przybysze z daleka. Kilka lat temu mężczyzna z Pomorza kupił osiem hektarów z walącymi się zabudowaniami, chciał to wyremontować i w przyszłości starzeć się tu z żoną, ale ona zmarła i on rzadko przyjeżdża. Kilka wsi dalej kobieta z Łodzi siedzi na dużej gospodarce. Przyjechała tu 30 lat temu. Sama jeździ na traktorze, męczy się. Ale ma konie i psy, nie czuje się specjalnie samotna. Gdy jest dużo roboty, problem samotności znika. Byle tylko zdrowie było. W sąsiedniej wsi mieszka ornitolog samouk, wielki znawca ptaków. Ma dom i kawałek ziemi, przyjechał z Pomorza. A niedawno kobieta z Warszawy kupiła rozpadający się dworek ze starym zaniedbanym parkiem i planuje tu duże inwestycje. Też samotna. Jak widać jednak samotni tu ciągną.

– Podlasie chyba nieczęsto pojawia się w utworach literackich?

– Pojawia się. Na przykład w „Konopielce” Edwarda Redlińskiego, który się na Podlasiu urodził. Akcja tego powszechnie znanego niezwykłego utworu toczy się na wsi w okolicach Suraża niedaleko Białegostoku. Wcześniejsze opowiadania Redlińskiego też się dzieją na Podlasiu. W Krynkach żył i tworzył w języku polskim i białoruskim Sokrat Janowicz – poeta, prozaik i publicysta. W okolicach Białegostoku mieszka Jan Leończuk, poeta, który przez długi czas był dyrektorem Książnicy Podlaskiej, największej biblioteki w Polsce północno-wschodniej, ważnego centrum kultury. W Białymstoku tworzy poeta Jerzy Binkowski. Podlasie wybrał sobie za małą ojczyznę poeta Janusz Andrzejczak; mieszka w Toruniu, ale pisze głównie o Podlasiu i tu najlepiej się czuje. W Sokółce mieszka i pisze poezje Leonarda Szubzda, patronując skupionym wokół niej mało znanym twórcom z okolic. Jest wielu poetów regionalnych; ośrodki kultury w małych miastach pomagają im wydać tomiki. Ważnym centrum kultury jest Ośrodek i Fundacja Pogranicze w Sejnach.

– Kiedy poczuł pan, że „mogę pisać i będę pisał dalej”?

– Po przyjeździe przez dwa lata nic nie pisałem. Potem przyszła taka ostra zima, miałem dużo czasu, napisałem kilka wierszy, przerwa, za rok znowu

trochę. Zauważyłem, że układa się to w cykl i starałem się kontynuować, wycisnąć poezję z prozy tutejszego ciężkiego życia, wspaniałej przyrody, moich obserwacji, emocji, doznań, refleksji... Po kilku latach powstał tomik „To tylko ślady”. Coraz częściej pisałem prozę, opowiadania, wierszy coraz mniej i musi mnie teraz coś bardzo wzruszyć lub zachwycić, żeby stworzyć wiersz. Proza jest łatwiejsza, można sobie plan zrobić, a potem go przekraczać, kluczyć, dopisywać... Jednak zacząłem od poezji i do poezji wracam. Późno zacząłem pisać, za późno.

ROZMAWIAŁA EWA TENDERENDA-OŻÓG

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 11/2018/

Służba duszą i ciałem

ROZMOWA Z JOANNĄ KUCIEL-FRYDRYSZAK

– Służąca to fach? Wypełniano tak rubrykę „zawód” w ankietach personalnych?

– Oczywiście. Kiedy przeglądamy książki adresowe czy meldunkowe, widzimy, jak częsty był to zawód, szczególnie dla kobiet. Służba domowa w pierwszej połowie XX wieku była silnie sfeminizowana. W domach burżuazji służyli także mężczyźni – kamerdynerzy, lokaje. W domach mniej zamożnego mieszczaństwa, zwłaszcza po pierwszej wojnie światowej, zatrudniano jedną służącą – tak zwaną do wszystkiego – a oznaczało to, że musi zajmować się wszystkim: praniem, sprzątaniami, gotowaniem, pilnowaniem dzieci, zakupami, paleniem w piecu.



– Skąd się rekrutowały? Było to zajęcie doraźne czy wieloletnie?

– Były nimi z reguły dziewczęta wiejskie, dla których służba była szansą na wyrwanie się z biedy. Przyjeżdżały do miast i najczęściej nie wracały już do rodzinnych domów. Sporo pracowało tak długo, jak starczało im sił. Potem zwykle szły do przytułków. Maria Dąbrowska opisuje w „Dziennikach”, jak odwiedziła już po wojnie swoją służącą w przytułku, która zajmowała pokój z dwoma kobietami i wszystkie trzy były służącymi. Ale wiele rozstawało się z posadą służącej, gdy wychodziły za mąż, był to dla nich pewien etap w życiu. Bywało, że całe życie wspominały swoją służbę – miasto, wielki świat, kino, tramwaj.

– Co wchodziło w zakres ich obowiązków?

– One tego właściwie nie wiedziały, umowy były bardzo ogólne, służąca dowiadywała się na przykład, że jest do wszystkiego, ale nie będzie musiała pracować, bo przychodzi praczka. Albo nie będzie musiała nosić węgla, bo jest człowiek od węgla. Często się okazywało, że musi harować od świtu do nocy. Na ogół były przeciążane pracą, skarżyły się, że pracują ponad siły.

Z rozkładu pracy służącej, który publikujemy w książce, wynika, że panie bardzo dbały o to, aby służąca nie „marnowała” ani minuty. Praktycznie nie miała czasu na wypoczynek. Wielkim świętem było wychodne – co drugą niedzielę po południu lub, gdy pani była łaskawa, co tydzień.

– Jak podnosiły kwalifikacje? Uczęszczały na jakieś kursy?

– Organizowane były kursy m.in. przez Związek Pań Domu czy Stowarzyszenie Sług Katolickich im. Świętej Zyty, np. zaprawiania sosów, lukrowania tortów czy robienia legumin. Ale brakowało szkół, nie miał kto płacić za ich naukę, one same nie były w stanie ich opłacać. Często uczyły się od pań, które je zatrudniały. Ale zdarzało się, że pani kompletnie niczego nie umiała w domu zrobić, bo wychowana była wśród służby. Kazimiera Iłakowiczówna, poetka, bohaterka mojej poprzedniej książki, dopiero w Rumunii, dokąd została ewakuowana, mając już pięćdziesiąt lat, nauczyła się gotować. Wcześniej robiła to Grabosia, jej ukochana służąca.

– Praca zapewniała im awans społeczny i godziwe zarobki?

– Był to niewątpliwy awans, choć pracowały ciężko i mieszkały w małych klitkach, zwanych służbówkami, albo w kuchni na rozkładanych łóżkach, czy na antresoli, były to warunki i tak lepsze niż te u nich w domach. Uposażenia były niskie, dużo lepiej opłacano kucharki. Służące do wszystkiego w latach trzydziestych w Warszawie zarabiały 30-50 złotych, ale w małych miastach na południu Polski – połowę tego (dla przykładu, fartuszek dla służącej kosztował około 5 zł). Było to niewiele, lecz służąca miała zagwarantowane mieszkanie i jedzenie „u państwa”. Jeśli zatem dobrze ją karmiono i miała swój własny pokoik, komfort jej życia wydatnie się poprawiał.

– Kogo było stać na ich zatrudnienie? Ziemian, przemysłowców, ludzi wolnych zawodów?

– Nawet uboższa grupa inteligencji, jak dziennikarze czy literaci, zatrudniała służącą. Zdarzało się, że i w rodzinach bogatszych robotników wynajmowano służącą, już nie pełnoetatową, ale tak zwaną przychodnią, czyli dochodzącą. Prowadzenie domu było rzeczywiście czasochłonne i na całym świecie wynajmowano służbę, problem polegał na tym, że często przerwano na jej wątle plecy wszystkie domowe obowiązki, „państwo” nie ścielili nawet łóżek.

– Z „Moralności Pani Dulskiej” i innych dzieł literackich wiemy, że często służyły chlebodawcom także cielesnie...

– Często doświadczały molestowania ze strony chlebodawców i były wobec nich bezsilne. Jedyne, co mogły, to porzucić służbę, co oznaczało, że traciły pracę i dach nad głową. W takiej sytuacji była także Aniela Salawa, błogosławiona Kościoła katolickiego, która dwukrotnie uciekła, ratując się przed zaczepkami panów. Część służących godziła się na relacje z chlebodawcą, bojąc się utraty posady. Służące stanowiły najliczniejszą grupę kobiet, które rodziły nieślubne dzieci. Wtedy albo traciły pracę, albo oddawały swoje dziecko na wychowanie rodzinie lub obcym, a każdy grosz przesyłały na utrzymanie dziecka. Nierzadko zdarzało się, że topiły swoje dziecko w podwórzowym wychodku.

– Wbrew ideologicznym pryncypiom komunizmu służące funkcjonowały i w Polsce Ludowej.

– Tak, jednak już na innym statusie, były to już gosposie i pomoce domowe, „służąca” stała się słowem brzydkim. Teraz już pracowała, nie służyła. Nie musiała się kąpać w wodzie po pani i mogła wyjść wieczorem z domu. Na Zachodzie ten proces traktowania służących jak pracowników zaczął się już wcześniej. U nas do końca II RP obowiązywało prawo, które pozwalało służącą chłostać.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 11/2018/

Rycerze błękitnego krzyża

ROZMOWA Z BEATĄ SABAŁĄ-ZIELIŃSKĄ

– GPR to sojusznik czy konkurent TOPR-u?

– Sojusznik. Toprowcy zawsze podkreślają, że każde góry mają swoją specyfikę i niosą ze sobą różne zagrożenia. Trudno zatem dokonywać jakiejś gradacji. Oczywiście Tatry to jedyne w Polsce wzniesienia o charakterze alpejskim, a co za tym idzie wypadki w nich oraz akcje ratunkowe bywają spektakularne. Ale nikt z nikim nie zamierza się licytować. Stare zaszczości i awantury dotyczące działalności pod wspólnym, goprowskim szyldem pomału przechodzą do lamusa i jeśli dziś się o nich wspomina, to tylko po to, by pokazać, że ratownictwem muszą kierować ludzie, którzy dobrze się na tej robocie znają i potrafią działać dla dobra wspólnego, rozumiejąc różnice między grupami.



– Jak wygląda rekrutacja ratowników tatrzańskich? To fach wyłącznie męski?

– Nie. Niewyłącznie męski, choć przez mężczyzn zdominowany. Obecnie w TOPR służą dwie ochotniczki. Wszystkim chętnym zaś, niezależnie od płci, stawiane są te same, bardzo wysokie wymagania. Już na etapie wstępnym przechodzą egzaminy z umiejętności wspinaczkowych, z jazdy na nartach poza trasami, ze znajomości topografii Tatr, a także z historii TOPR-u. Szkolenie jest kosztowne, poświęca się mu sporo czasu. Ponadto każdy kandydat musi mieć dwóch tzw. członków wprowadzających, czyli ratowników, którzy za niego poręczą. Bierze udział w akcjach ratunkowych, musi więc być człowiekiem, któremu można zaufać.

– Istnieje pięć typów ratownictwa górskiego, który wymaga największych kwalifikacji?

– Ratownicy TOPR są najwszechstronnej wyszkoloną grupą ratowników górskich na świecie. W ramach jednej organizacji działają w zakresie wszystkich zagrożeń, jakie niosą ze sobą Tatry. To ewenement na skalę światową. We

Francji czy w Szwajcarii różne grupy specjalistów współpracują ze sobą, lecz speleolodzy skupieni są wokół klubów jaskiniowych, ratownictwo śmigłowe obsługiwane jest przez zewnętrzne firmy, słowem: działania są rozproszone. Ratownicy nigdy nie dokonują gradacji działań ratowniczych. Podkreślają, że wszystko zależy od pogody i warunków w górach. Bywa, że banalna akcja błyskawicznie może przerodzić się w poważną wyprawę, dlatego do żadnego wezwania nie podchodzą sztafpow i nigdy go nie bagatelizują. Oczywiście, są działania wysoce specjalistyczne i do nich z pewnością należy m.in. ratownictwo jaskiniowe i śmigłowe.

– Kto finansował TOPR w jego ponad stuletniej historii?

– Na początku działalność wspierali darczyńcy, często rodziny ratowanych oraz bogaci obywatele Polski, którzy rozumieli zasadność takiej służby. Potem te obowiązki przejęło państwo, ale nigdy nie udało się spiąć ratowniczego budżetu. Środki pochodzące z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pokrywają zazwyczaj 60 proc. potrzeb. Resztę dokładają wierni sponsorzy, m.in. Plus, BP, Salewa czy Skoda. Oburzającym tematem jest przy tym sprawa zarobków ratowników zawodowych. Toprowiec z 40-letnim stażem dostaje na rękę ok. 3 tys. zł. Hańba, zważywszy, że to grupa najlepiej wyszkolonych ludzi w Polsce, których śmiało można porównać choćby do żołnierzy GROM-u. Jak słabe musi być państwo, by grupie 38 osób – bo tytu jest ratowników zawodowych TOPR-u – rzucać taką jałmużnę. A obowiązuje ich jednocześnie normalny wiek emerytalny, czyli 65 lat!!!

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

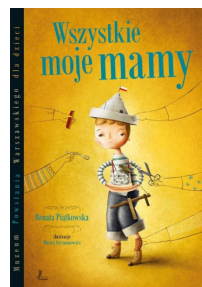
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 12/2018/

Najważniejsze jest uznanie Czytelników

ROZMOWA Z RENATĄ PIĄTKOWSKĄ

– Nie ma chyba biblioteki w Polsce, w której nie byłoby książek Renaty Piątkowskiej. Bogaty dorobek, różnorodność tematyczna i ważne przesłania. Literatura dla najmłodszych, nieco starszych, z zainteresowaniem czytana również przez dorosłych. Ile tytułów pani wydała?

– Do tej pory napisałam 35 książek.



– Dziewięcioletnia fanka pani twórczości szczególnie upodobała sobie niezwykle psie historie „Najwierniejsi przyjaciele”. Za moim pośrednictwem pyta: skąd czerpie pani pomysły na pisanie?

– Różnie bywa. Czasami to, co dzieje się wokół nas, jest inspiracją do napisania książki. Chcę opowiadać moim czytelnikom o sprawach, które dzieją się tu i teraz. Tak, żeby mogli przyjrzeć się im z bliska, spróbować zrozumieć, wyrobić sobie własne zdanie. Innym razem chcę ich rozbawić, wywołać uśmiech, poprawić humor. Zwykle noszę w sobie nowe pomysły, osuwam je, obracam w myślach, szukam najlepszej formy, a kiedy jestem gotowa – siadam do pisania. A jeśli chodzi o „Najwierniejszych przyjaciół” – to książka ukłon, książka podziękowanie, książka pożegnanie z najwierniejszym z wiernych, moim ukochanym psem. Dlatego jest taka poruszająca, taka ciepła, jak liżnięcie po policzkach psim językiem.

– Otrzymała pani wiele nagród. Na stronie internetowej Wydawnictwa Literatura czytamy, że w 2018 roku została pani odznaczona medalami za Zasługi dla Ochrony Praw Dziecka Infantis Dignitatis Defensori i Ludziom Czyniącym Dobro. Nagrody podnoszą prestiż pani pracy? Przekładają się na zainteresowanie wydawców?

– W moim przekonaniu – tak. Wiadomo, my – autorzy literatury dziecięcej – piszemy dla dzieci i ich uznanie, wyrażające się tym, że chętnie sięgają po nasze książki, jest najważniejsze. Ale który autor nie chciałby być doceniony prestiżową nagrodą? Pochlebna opinia jury, w którym zasiadają fachowcy, znawcy tematu, cieszy, utwierdza w przekonaniu, że piszemy dobre teksty. Wydawcy też łaskawszym okiem patrzą na „utytułowanego” autora.

– Nagrody są wskazówką dla czytelników, wpływają na wyniki sprzedaży, ilość spotkań autorskich?

– Na pewno są czytelnicy, którzy kupują książki dla dzieci według takiego klucza. Zakładają, że nagroda w prestiżowym konkursie będzie gwarantem jakości. Wtedy przekłada się to na wyniki sprzedaży. Ale są i tacy, którzy po prostu szukają na półkach książek ulubionego autora albo zdają się na przypadek czy zawierają opinii znajomych, sprzedawców. Dla bibliotekarzy organizujących spotkania autorskie z pewnością istotne jest, czy książki danego autora cieszą się popularnością wśród czytelników. Nagrody tej popularności przysparzają, zainteresowanie bibliotekarzy wzrasta, chętniej zapraszają autora na spotkania z dziećmi. Koło się zamyka.

– Za działania przynoszące dzieciom radość otrzymała pani Order Uśmiechu. W Alei Kawalerów w Głuchołazach odsoniła pani swoją tablicę. Słoneczny medal napawa dumą? Inspiruje? Cieszy bardziej czy mniej niż nominacje w konkursach literackich? Które z wyróżnień uznaje pani za najbardziej wyjątkowe?

– Myślę, że najbardziej wyjątkową nagrodą był w moim wypadku Order Uśmiechu. Kandydata do tej nagrody nominować mogą tylko i wyłącznie dzieci. Inicjatywa musi wyjść od nich. Z różnych zakątków Polski płynęły od moich czytelników wnioski, by uhonorować mnie Orderem. Takie uznanie i zaufanie zobowiązują. Sama ceremonia wręczenia Orderu Uśmiechu jest wyjątkowa. Trzeba wypić sok z cytryny i uśmiechnąć się na końcu tak, jakby to była słodka czekolada. Potem jest pasowanie różą. Mnie na Kawalera Orderu Uśmiechu pasował sam Kanclerz Międzynarodowej Kapituły – Marek Michalak. Setki dzieci zgromadzone na widowni biły brawo, kiedy stałam na scenie z Orderem i różą. To był wspólny moment. Lubię wracać do niego myślami.

– Zasiada pani w Kapitulie Nagrody „Piórko”, adresowanej do debiutujących pisarzy i ilustratorów. Dla twórców, którzy nie wydali jeszcze swojej książki, konkursy mają chyba wyjątkową wartość?

– Z pewnością. W tym konkursie debiutanci po raz pierwszy pokazują światu swoje teksty, wystawiają się na ocenę. Są u początku drogi. Nie mają jeszcze doświadczenia, ale mają marzenia i wielkie nadzieje. Zwycięzcy zawsze są ogromnie poruszeni. To duża przyjemność patrzeć, jak odbierają swoją pierwszą, ważną nagrodę. Za każdym razem trzymam za nich kciuki, żeby po tym sukcesie napisali kolejne, równie dobre książki.

– Odnalazłam w sieci wywiady z panią. W komentarzach powtarzały się określenia „światna pisarka”, „światne książki”. Odczuwa pani na co dzień czytelniczną sympatię?

– To bardzo miłe, kiedy po spotkaniu dzieci podchodzą, by wręczyć mi maskotki, własnoręcznie wykonane laurki, kiedy chcą się przytulić, albo zrobić sobie wspólne zdjęcie. Czasem obdarzają mnie zaufaniem i pokazują swoje wiersze, opowiadania. Czuję wtedy, że jest między nami jakieś porozumienie, energia, że polubili moje książki, mój sposób narracji i ta sympatia przekłada się na mnie jako autorkę. Wiele ciepłych słów słyszę też od rodziców, nauczycieli, pań przedszkolek. To zawsze cieszy, dodaje skrzydeł, utwierdza w przekonaniu, że warto pisać dalej, bo mam dla kogo.

– W jednej z informacji wyczytałam, że już od pierwszych samodzielnie napisanych słów wiedziała pani, że zostanie pisarką; inna wersja głosi, że początki pisarstwa wiążą się z opowiadaniem pisanymi dla własnych dzieci... Kiedy pojawił się ten pierwszy impuls? Jak doszło do wydania debiutanckiej książki?

– Kiedy byłam dzieckiem, nawet do głowy mi nie przyszło, że zostanę pisarką. Wtedy liczyły się tylko konie. Nie miałam wątpliwości, że największe szczęście na świecie na końskim siedzi grzbiecie. Chciałam być dżokejem albo weterynarzem, byle tylko resztę życia spędzić w stajni i na ujeżdżalni. Fascynacja tymi wspaniałymi zwierzętami nie mija, jest we mnie do dziś. Ale rzeczywistość, pierwsze opowiadania napisałam dla moich dzieci. Mieszkaliśmy wtedy za granicą i nie miałam dostępu do książek napisanych w języku polskim.

Internetu wtedy jeszcze zwyczajnie nie było. A dzieci domagały się lektury. Wtedy zaczęłam pisać dla nich proste, krótkie, zabawne historie. Moim dzieciom bardzo się spodobały, zaśmiewały się do łez i prosiły o jeszcze. Po powrocie do Polski postanowiłam opracować te opowiadania i wysłać do kilku wydawnictw. Wydawnictwo Bis zareagowało entuzjastycznie i wkrótce ukazała się moja pierwsza książka „Opowiadania dla przedszkolaków”. To było ponad 17 lat temu. Po dziś dzień ten tytuł jest wznawiany i obecny na rynku. Nadal dobrze się sprzedaje.

– Zwierzęta często są bohaterami pani książek. Konie, psy, koty... Ze zwierzętami pojawia się pani na okładkach książek. Całą tę miłość wniosła pani z rodzinnego domu?

– Jak wspominałam, konie pojawiły się w moim życiu już w dzieciństwie. Zawsze też były w naszym domu kot i pies. Ciągle się od nich czegoś uczę, podziwiam i uwielbiam.

– „Zbój”, „Mruk”, „Okno w oko ze zwierzątkiem”, „Dziadek na huśtawce”, „Twardy orzech do zgryzienia”, „Paluszki”, „Szczęście śpi na lewym boku”, „Mądra głowa zna przysłowia”, „Hebanowe serce”, „Nigdy tego nie zapomnę”, „Moje prawa, ważna sprawa”, „Ciekawe, co będzie jutro”, „Na wszystko jest sposób”, „Przygoda ma kolor niebieski”, „Lemoniadowy ząb” – to tylko niektóre z książek Renaty Piątkowskiej. Czy w całym dorobku jest dzieło szczególne dla pani jako pisarki?

– Wydaje mi się, że książki jeszcze nienapisane są najważniejsze. Ale z mojego dotychczasowego dorobku wyróżniam książkę pt. „Wszystkie moje mamy”. Jest szczególna, bo poświęcona wspaniałej kobiecie – Irenie Sendlerowej. Jej historia mocno porusza młodych czytelników. Zostaje w nich, nie pozwala o sobie zapomnieć jeszcze długo po odłożeniu książki na półkę. „Wszystkie moje mamy” zostały wielokrotnie nagrodzone i przetłumaczone na język angielski i włoski. Obecnie tłumaczone są na język hebrajski. Książka stała się przyczynkiem do powstania murali poświęconych Irenie Sendlerowej. W Polsce mamy ich szesnaście, a siedemnaście jest w Berlinie. Pięknie zilustrowana przez Macieja Szymanowicza, w wielu szkołach traktowana jest jako lektura. Dla mnie to książka wyjątkowa i ważna.

– Pani teksty czytali Wiktor Zborowski, Anna Seniuk, Artur Barciś. Wskaż Pani ulubionego lektora?

– Wymieniła pani nazwiska wielkich aktorów. Jestem dumna, że czytają dzieciom moje teksty. Ale jeśli pyta pani o ulubionego lektora, to moje książki dla najmłodszych wspaniale czyta Artur Barciś. Jego interpretacja to wartość dodana do tekstu. Pan Artur nagrał już sześć audiobooków z moich książek i wszystkie nagrane są po mistrzowsku. Podczas spotkań autorskich towarzyszy mi zawodowy lektor – Malwina Kożurno, która również znakomicie czyta fragmenty wybranych książek.

– Nie mogę nie zapytać o Gang Słodziaków. Jak to się stało, że została pani autorką przygód lisa, sowy, bobra, zajęczycy, jeża i rysia – słodkich zwierzaków, które natychmiast zaskarbiły sobie sympatię dzieci?

– Po prostu zaproponowano mi napisanie sześciu opowiadań. Bohaterami miały być właśnie te sympatyczne zwierzaki. Nie miałam wpływu na to, jakie zwierzęta będą w gangu. Ja miałam tylko napisać tekst o przygodach lisa, bobra, sowy, jeża, rysia i zajęczycy. Od siebie dorzuciłam muchę Henrykę, żabę Żanetę i parę innych stworzeń, ale one grają role drugoplanowe, ubarwiają tylko te historie.

– Teraz, kiedy nie ma telewizyjnych dobroccoek, a na wybranych kanałach bajki można oglądać przez cały dzień i noc, książki mają siłę przebicia?

– Z książką dla najmłodszych jest tak, że dziecko samo jej nie przeczyta. Ktoś bliski, mama czy tata, musi znaleźć czas, by usiąść z dzieckiem i książką na kolanach. I ten wspólny czas, ten kontakt jest kluczowy. Dziecko czuje się ważne, jeśli dorosły koncentruje się na nim, jeśli odkłada na bok inne sprawy i spędzają razem czas, ciesząc się sobą i książką. Nie ma piękniejszej chwili niż ta w ramionach mamy lub taty, kiedy wspólnie przeżywają przygody ulubionych bohaterów. Można zarzucić ręce na szyć, dostać całusa, chichotać, przekomarzać się albo zadać ważne pytanie i pytać tak długo, aż mama, tata wszystko wyjaśnią, pomogą zrozumieć świat. Ekran telewizora nigdy tego nie zastąpi. Zaangażuje uwagę dziecka, wypełni czas, ale to nie to samo. Dobra książka w rękach rodzica, który ma dla dziecka czas i uwagę, zawsze się obroni.

– Często spotyka się pani z dziećmi, prywatnie jest pani mamą – mogłaby pani zapisać receptę na czytanie? Taką dla rodziców, nauczycieli, bibliotekarzy, którzy wciąż zabiegają o to, by ich podopieczni sięgali po książki.

– Trzeba podsuwać dzieciom dobre książki, takie, które je zainteresują, zachwyca, rozbawia. Tu nie może być mowy o nudzie. Ta zniechęca do czytania bardzo skutecznie. Książki muszą być obecne w domu. Jeśli dziecko widzi, że rodzice czytają, że kupują książki, wypożyczają je, cieszą się nimi, to też po nie sięgnie. U nas w domu przyjęło się, że chcąc komuś zrobić prezent, kupujemy książki. Na imieniny, urodziny, pod choinkę. Dzieci idąc do kolegów i koleżanek na różne uroczystości, zabierały w prezencie książki. Nie słodycze, nie jakieś pluszaki czy kupione naprędce zabawki, tylko piękne książki. Utrwaliło im się, że książka to coś fantastycznego, wyjątkowego, oczekiwanego. Prezenty przecież kojarzą się z czymś miłym, przyjemnym. Jeśli dziecku od najwcześniejszych lat będzie towarzyszyła książka, to już jej nie odrzuci. Nawyk czytania pozostanie.

– Bohaterką książki „Wieloryb” jest dziewczynka, która zмага się z nadmiarem kilogramów. Historia motywacyjna, z przesłaniem i dobrym zakończeniem. Potrzebna współczesnym dziewczynom. Podobnie jak pojawiające się herstorie, które mają inspirować małe i duże dziewczyny, zachęcać do odważnych decyzji, pozbawiać kompleksów. Z tytułowym Wielorybem wiele czytelniczek może się utożsamić. W „Twardym orzechu do zgryzienia” dziecięce problemy znajdują genialne rozwiązania. Wykształcenie i doświadczenie daje pani swobodę poruszania się w obszarze historii terapeutycznych?

– Bardzo lubię „Wieloryba”. Za tę książkę dostałam Nagrodę im. Kornela Makuszyńskiego. Jestem z wykształcenia socjologiem, ale chyba bardziej pomocne w pisaniu takich książek jest doświadczenie wynikające z bycia mamą. Ważne, by dotykając dziecięcych problemów, nie popaść w sztuczny, napuszony ton, dzieci od razu go wyczują. Nie chcą być w taki sposób pouczane. Tu trzeba poruszać się na paluszkach. Podsuwać możliwe rozwiązania tak, żeby czytelnik przekonał się, że nie taki diabeł straszny i uwierzył, że choć bywa ciężko, można poradzić sobie z przeciwnościami losu.

– Uwagę w pani dorobku zwraca seria „Wojny Dorosłych – Historie Dzieci”: „Wszystkie moje mamy” czy „Hebanowe serce” podejmują niełatwe tematy zreferowane z perspektywy dziecka. To jest wielka umiejętność utrzymać wysoki poziom artystyczny i etyczny, a jednocześnie przedstawić problem tak, by dzieci właściwie go zrozumiały. Patrzy pani na świat oczami dzieci, by wychować je na mądrych, lepszych dorosłych?

– Taki cel mi przyświeca. Wydawnictwo Literatura stworzyło świetną serię wojennych historii dla dzieci. Jestem przekonana, że dzieci mają głód historii prawdziwych. Są ich ciekawe. A kiedy jeszcze bohaterem jest dziecko, szybko się z nim utożsamiają. To wspaniała okazja, by trzymając czytelnika za rękę, poprowadzić go ścieżkami wojny. Pokazując ją w różnych odsłonach i pomagając zrozumieć tamtą rzeczywistość.

– Dziękując za rozmowę, zapytam jeszcze o najbliższe plany wydawnicze. Pracuje pani nad kolejną książką?

– Pracuję nad nową książką. Nie będzie łatwa. Wpisze się w serię „Wojny Dorosłych – Historie Dzieci”. Znalazłam temat, po który nie sięgnął do tej pory żaden autor piszący dla dzieci. Za nic nie zdradzę szczegółów.

ROZMAWIAŁA MONIKA SIMONJETZ

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 12/2018/

Zamknięte akta Sigurimi

ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ REJMER

– Co wyróżniało Albanię w światowym obozie krajów komunistycznych?

– Historycy używają czasem określenia „albański stalinizm”, żeby podkreślić, że albański system był powtórzeniem stalinowskiej strategii strachu, z regularnymi czyszkami w obozie władzy i kultury, z więzieniami politycznymi, pracą przymusową, aparatem totalnej inwigilacji i karaniem obywateli za kontakty ze światem zewnętrznym. Opowieści nielicznych turystów o komunistycznej Albanii przypominają dzisiejsze relacje z Korei Północnej. Jeden z moich bohaterów powiedział: „Wprawdzie nie mieliśmy obozów, które przerabiały ludzi na mydło, ale mieliśmy najlepiej strzeżone granice na świecie”. Komunistyczna Albania była zamkniętą twierdzą, z granicami pilnowanymi przez strażników, którzy mieli prawo zastrzelić każdego, kto próbował uciec. Kolejnym aspektem wzmacniającym mechanizm terroru była odpowiedzialność zbiorowa – za występki jednej osoby karano poszczególnych członków rodziny, najczęściej zesłaniem w odległe rejony Albanii, utratą pracy albo zakazem studiowania.



Małgorzata Rejmer
Błoto słodsze niż miód
Głowy komunistycznej Albanii

– Jak to możliwe, że Enver Hodża panował tak długo?

– Odkąd został przywódcą partii komunistycznej w 1943 roku, rządził po stalinowsku, a fale czyszek powtarzały się co kilka lat. Choćby w 1951 roku rozstrzelano 22 intelektualistów, oskarżonych bezpodstawnie o próbę zamachu na ambasadę sowiecką. Nikita Chruszczow był w oczach Hoxhy najgorszym szkodnikiem, a sama Albania uznała Związek Radziecki za zbyt rewizjonistyczny już na początku lat sześćdziesiątych – i zerwała bratni sojusz. Przy okazji kolejnych zmian sojuszy politycznych represje spadały na lojalnych dotąd członków partii – w 1948 roku na „jugosławiańczyków”, a w latach sześćdziesiątych na „sowiectyków”. W latach siedemdziesiątych, gdy na świecie kwitł ruch hipisowski, przez Albanię przeszła kolejna wielka fala represji wśród ministrów i ludzi kultury. W czasach, gdy w Polsce 10 mln ludzi

zapisało się do Solidarności, Hodża rządził bez śladów jakiegokolwiek opozycji. Zmarł spokojnie we własnym łóżku, w 1985 roku.

– Z czego wynikały jego polityczne wolty?

– Zerwanie z Jugosławią było rezultatem strachu przed zwiększaniem się w Albanii wpływów Josipa Broza Tity. Po drugiej wojnie światowej Albania była związana z Jugosławią wspólną unią walutową, rosto uzależnienie gospodarki albańskiej od jugosłowiańskiej i Hodża obawiał się, że Albania zostanie wchłonięta przez sąsiada jako siódma republika. Wykorzystał więc konflikt Tity z Moskwą, by odciąć się od Jugosławii. Zerwanie ze Związkiem Radzieckim stanowiło rezultat odwilży w krajach bloku wschodniego – Hodża pozostał wierny Stalinowi, a poza tym nie chciał zgodzić się na plany Chruszczowa wobec Albanii, który widział w niej jedynie kraj rolniczy. Rozstanie z Chinami teoretycznie wyszło ze strony albańskiej, ale de facto po kilkunastu latach pompowania jenów w albańską gospodarkę Chiny uznały, że ten sojusz nie daje im korzyści i skupiły się na poszerzaniu wpływów w Afryce. W tym samym czasie Chiny nawiązały kontakty ze Stanami Zjednoczonymi, toteż Hodża wytłumaczył ludowi zerwanie sojuszu, ogłaszając Chiny krajem rewizjonistycznym.

– Czy w Albanii rozliczono się z przeszłością?

– Rozliczanie z przeszłością trwa, ale jest obarczone wieloma problemami. Dopiero w ostatnich latach powstały cztery muzea dokumentujące albański komunizm i aparat terroru – trzy w Tiranie i jedno w Szkodrze. Działają różnego rodzaju organizacje i fundacje starające się zbierać świadectwa pamięci. Nadal jednak nie otwarto akt Sigurimi (tajnej policji), choć w 2016 roku powołano do życia urząd, który zajmuje się udostępnianiem teczek ofiarom systemu i ich rodzinom. Panuje jednak przekonanie, że ze względu na polityczne wpływy byłych komunistów dotarcie do prawdy jest już niemożliwe, a ofiary nadal mówią o strachu przed rozgrzebywaniem przeszłości.

– Natrafiła pani podczas swego pobytu na jakieś polonica?

– Historie o redakcji polskiej Radia Tirana wracały w rozmowach z Albańczykami, ale widziałam, jak złe emocje budził Kazimierz Mijał – symbol komunistycznego fanatyzmu. Dużo łatwiej było rozmawiać o papieżu Janie Pawle

II i micie Solidarności. Wśród albańskich intelektualistów bardzo popularni są Witold Gombrowicz, Czesław Miłosz i Wisława Szymborska, jej wiersze widziałam wielokrotnie w albańskich gazetach i na Facebooku albańskich znajomych. Natomiast najbardziej dyskutowaną polską książką jest zdecydowanie „Ferdydurke”, szczególnie wśród młodych – widzę, że dla niektórych jest ona ważnym punktem odniesienia. Wiem, jak wielu Polaków zachwyca się Albanią na wakacjach, są urzeczeni jej pięknem i serdecznością mieszkańców, dzięki temu Polska z impetem pojawiła się w świadomości Albańczyków, choć często przez pryzmat stereotypów.

– Jaką przyszłość wróży pani temu państwu?

– Albański premier Edi Rama powiedział ostatnio, że w Albanii żyje się tak samo jak we Włoszech, a pod niektórymi względami nawet lepiej, co wywołało oburzenie. Partia Socjalistyczna jest znakomita w budowaniu pozytywnego przekazu i pielęgnowaniu albańskiej dumy, ale ludzie coraz gorzej znoszą rządową propagandę. Ostatnio przez media przetoczyły się statystyki, wedle których 79 proc. młodych mówi, że w każdej chwili wyjechaliby z kraju, gdyby tylko mogli. Po jednej stronie mamy coraz lepsze wskaźniki ekonomiczne kraju, po drugiej – kolejną, milczącą falę emigracji, ignorowaną przez rząd. Szansą dla Albanii są: rozwój turystyki, reforma wymiaru sprawiedliwości, która ma usunąć skorumpowanych sędziów i prokuratorów, i otwarcie negocjacji unijnych, co być może nastąpi w przyszłym roku. Przygębiamy natomiast arogancja polityków, skala ich powiązań ze światem przestępczym i katastrofalny stan systemu edukacji, któremu nie pomogła chybiona reforma szkolnictwa wyższego.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

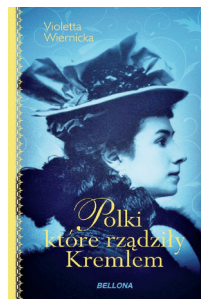
Magazyn Literacki KSIĄŻKI 12/2018/

Korona albo śmierć!

ROZMOWA Z VIOLETTĄ WIERNICKĄ

– Która z bohaterek książki wywarła największy wpływ na dzieje Rosji?

– Nie da się udzielić jednoznacznej odpowiedzi, bo opisane kobiety żyły w różnych okresach historycznych i różniły się od siebie pod względem osobowości. Każda z nich odegrała swoją własną rolę w dziejach Rosji, a więc nie ma jednolitej skali, według której można je ocenić. Wymienię trzy osoby. Joannę Grudzińską, gdyż dzięki jej małżeństwu z wielkim księciem Konstantym zmieniła się linia sukcesji rosyjskiego tronu – zamiast cesarza Konstantego I rządził Mikołaj I. Chociaż nie jestem zwolenniczką pisania historii alternatywnej, często zastanawiam się, jaki wpływ na życie Królestwa Polskiego miałby zakochany w Polsce car Konstanty? Agafię Gruszecką, ponieważ była pierwszą rosyjską feministką, dla której prawa kobiety oznaczały prawa człowieka. I wreszcie Matyldę Krzesińską – zapoczątkowała triumf rosyjskiego baletu na świecie. A w przypadku Julii Hauke możemy mówić nawet o wpływie na skalę europejską. Jej potomek to obecny król Hiszpanii Felipe. Księżę Filip, mąż Elżbiety II, jest jej prawnukiem, co oznacza, że kolejni królowie Anglii pochodzą w prostej linii od Polki.



– Najbardziej tragiczny los spotkał Marynę Mniszchówną?

– Niewątpliwie tak. Zmarła w wieku zaledwie 26 lat, była świadkiem śmierci swojego dziecka, a ostatnie lata egzystencji stanowiła tułaczka, niewola i ciągłe zagrożenie życia. Poza tym do Rosji trafiła nie z własnej woli, tylko na życzenie ojca pragnącego podnieść prestiż swojego rodu poprzez małżeństwo córki z rzekomym księciem Dymitrem. Z drugiej strony Polka pragnęła zaszczyców i rozkoszowała się pozycją rosyjskiej carycy. Po śmierci męża nie skorzystała z możliwości wyjazdu do ojczyzny, bo powrót do stanu polskiej szlachcianki byłby dla niej zniewagą. Pragnęła odzyskać utraconą koronę nawet za cenę własnego życia. Zatem tragiczny koniec Maryny po części wynikał z jej własnych ambicji. „Korona albo śmierć!” – mawiała.

– Na tronie zasiadła też Agafia Gruszecka...

– Panowała krótko. W chwili ślubu z Fiodorem miała ledwie 17 lat, a zmarła rok później. Była jednak bardzo dojrzała i miała świadomość swojej wartości. Podczas gdy Rosjanki całkowicie zależały od woli swoich ojców albo mężów i nie myślały o przełamaniu tego schematu, Agafia wyrażała własne zdanie i wiedziała, czego chce. To właśnie Polka i jej mąż Fiodor robili pierwsze kroki ku europeizacji Rosji. Popierała małżonka, gdy ten kazał swoim dworzanom nosić europejskie ubrania zamiast tradycyjnych rosyjskich szat. Ale przede wszystkim ona – na własnym przykładzie – wyprowadziła kobiety z domowej izolacji i ustanowiła instytucję pierwszej damy. Kazała postawić swój tron obok męzowskiego i razem z nim przyjmowała zagraniczne delegacje.

– Życiorys Matyldy Krzesińskiej jest na wskroś hollywoodzki...

– Nawet najlepszy scenarzysta nie wymyśliłby życia tak pełnego przygód! Kochanka trzech Romanowów, żona jednego z nich i matka jego dziecka, wybitna tancerka o ogromnych wpływach na dworze i w teatrze. Ja jednak podziwiam w niej upór i konsekwencję. Zapragnęła zostać najlepszą rosyjską baleriną i dążyła do celu z żelazną konsekwencją. W jej głowie nigdy nie zaświtała myśl, że nie zasługuje na coś, albo że coś jej się nie należy. Po rewolucji bolszewickiej straciła prawie wszystko, ale odrodziła się jak feniks z popiołów. Nie rozpamiętywała przeszłości, lecz założyła na emigracji szkołę baletową i odniosła sukces pedagogiczny. Wciąż może inspirować.

ROZMAWIĄŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 1/2019/

Ślady Sigalina

ROZMOWA Z ANDRZEJEM SKALIMOWSKIM

– **Gdyby nie Polska Ludowa, bohater książki „Sigalin” pozostałby anonimowy?**

– Z pewnością jego nazwisko nie byłoby rozpoznawalne w skali całego kraju, ale w Warszawie przedwojennej Sigalinowie byli kojarzeni najpierw jako producenci kefirów, a w trzecim pokoleniu już z projektowaniem luksusowych kamienic. Józef Sigalin najprawdopodobniej poszedłby w ślady braci Romana i Grzegorza. Jeżeli ktoś by pisał o nim książki, to raczej z zakresu historii architektury niż historii politycznej.



– **Czemu wspierał komunizm?**

– To jest pytanie uniwersalne – dlaczego ludzie są w stanie tak głęboko wierzyć w jakąś ideologię. Można to tłumaczyć fascynacją, tzw. ukąszeniem heglowskim itd. W przypadku Sigalina znaczenie miało także jego żydowskie pochodzenie. Pomimo tego, że pochodził z zamożnej i zasymilowanej rodziny, w znacznym stopniu ukształtowały go wydarzenia polityczne dwudziestolecia międzywojennego. Młode państwo polskie borykało się wówczas z głębokimi podziałami społecznymi, w latach trzydziestych XX wieku doszedł do tego jeszcze antysemityzm. Dla Żydów najczęstszą opcją wyboru był syjonizm (rzadziej opcja PPS-owska) albo właśnie komunizm, który w sferze deklaracji zakładał powszechną równość. Sigalin głęboko wierzył w tę ideologię. Tej wiary nie zachwiała ani śmierć brata Grzegorza rozstrzelanego w Moskwie w czasie stalinowskich czystek, ani egzekucja Romana w Katyniu. Tłumaczył to sobie po latach błędami systemu, ale nie winił komunizmu jako ideologii samej w sobie. Umierał jednak w stanie wojennym głęboko rozczarowany polityką PZPR.

– **Działalność Biura Odbudowy Stolicy budzi kontrowersje...**

– Skupiało ludzi, którzy chcieli budować po wojnie nowe miasto – wolne od błędów urbanistycznych i niedogodności dawnej Warszawy. Było jednocześnie

narzędziem władz politycznych, które forsowały wielki plan przebudowy społecznej. Postulaty lewicowych architektów spotkały się z zamierzeniami komunistów. Upaństwowienie gruntów warszawskich dało możliwość nieskrępowanego planowania na niespotykaną dotąd skalę, a zarazem wyrugowało z procesu odbudowy prywatny kapitał. Decydenci BOS-owscy wiedzieli, że jeżeli zaniechają radykalnych kroków i pozostawią przedwojenną zabudowę, to już nie uda im się później jej rozebrać pod szerokie arterie, place itd. Główne spory, jakie wówczas toczono w pracowniach urbanistycznych, dotyczyły tego, na ile nowe miasto ma być powtórzeniem, a na ile zaprzeczeniem Warszawy przedwojennej. Nikt jednak – nawet konserwatorzy – nie zakładał, że będzie to dokładna odbudowa. Natomiast wielkie wyburzenia pod budowę Pałacu Kultury i Nauki były podyktowane względami politycznymi. W tym rejonie planowano nowe centrum miasta i kiedy padła ze strony sowieckiej oferta sfinansowania wieżowca, władze nie miały wątpliwości, że należy zrobić wszystko, żeby umożliwić jego budowę – nawet kosztem 3000 izb mieszkalnych! Ostatecznie stanął PKiN, ale nie ukończono obudowy wielkiego placu, który się przed nim rozpościera. To dramat urbanistyczny, który w tym miejscu trwa do dziś.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

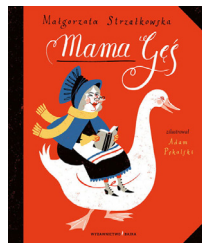
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 1/2019/

Słowiańska Mama Gęś

ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ STRZAŁKOWSKĄ
I ADAMEM PĘKALSKIM

– Jak zaczęła się wasza przygoda z „Mamą Gęsią”?

Małgorzata Strzałkowska: Zaczęła się moją fascynacją historiami i tekstami, które się teraz w zbiorze „Mama Gęś” znajdują. Kiedy już troszkę tekstów do książki powstało, to przysłałam je do wydawnictwa Bajka, do pani Katarzyny Szantyr-Królikowskiej. A potem trafiły one do pana Adama Pękalskiego, który już nie miał wyjścia.



Adam Pękalski: Nie miałem. Właściwie miałem wyjście, ale projekt bardzo mi się spodobał. Też jestem fanem oryginalnych angielskich wierszyków i urzekły mnie spolszczenia pani Małgorzaty. Podobała mi się ta subtelna różnica, która przy zmianie języka przesunęła trochę ciężar w niektórych tekstach. W języku angielskim były one bardziej kostyczne, a w spolszczeniu (umówiliśmy się, że to nie jest przekład, lecz spolszczenie) wierszyki stały się nagle bardziej liryczne. Pierwotnie myślałem, że ilustracje będą straszne, potworkowate, taka wiktoriańska makabra. I nagle okazało się, że rysuję kwiatki, dużo roślinności, że to już bardziej wzornictwo angielskie niż te okropności...

Małgorzata Strzałkowska: ...przepiękne pejzaże, różne detale w ubraniu...

Adam Pękalski: Tak, i mimo że to jest nadal angielskie, to jest zupełnie inne, niż sobie pierwotnie wyobrażałem. Po prostu dałem się poprowadzić spolszczeniu pani Małgorzaty, które, mam wrażenie, było bardzo liryczne.

Małgorzata Strzałkowska: Nie wiem, czy jest bardzo liryczne, ale na pewno nie jest upiorne.

Adam Pękalski: I nie jest też kostyczne!

Małgorzata Strzałkowska: Powiedziałabym, że ono jest życzliwe.

Adam Pękalski: Ciepłe... Nie wiem, jakiego słowa użyć, żeby to zgrabnie zabrzmiało, bo „miłe” to nie jest dobre słowo. Życzliwe, ale ja czułem też ten liryzm, delikatność.

Małgorzata Strzałkowska: Nostalgicznie do dawnych rzeczy?

Adam Pękalski: Nie, taką słowiańską rozlewność!

– Humor humorem, a jaki jest wasz stosunek do „Mamy Gęsi” teraz, kiedy powstała piękna książka?

Małgorzata Strzałkowska: No, chyba kochamy ją oboje?

Adam Pękalski: Tak, ale ja się jej jeszcze dobrze nie przyjrzałem. Dzisiaj pierwszy raz wziąłem do ręki wydrukowany egzemplarz. Muszę dopiero usiąść, przy dziennym świetle zobaczyć, jak to wszystko wyszło, czy jest tak, jak sobie zaplanowałem. Ale wygląda kulturalnie... myślę (śmiech).

Małgorzata Strzałkowska: Ja książkę oglądałam już w rozmaitym świetle i mogę zapewnić, że cudownie wyszło. Szata graficzna i wykonanie fantastyczne. Właściwie wszyscy, którzy pracowaliśmy przy tej książce zdaliśmy egzamin.

ROZMAWIAŁA MAŁGORZATA JANINA BERWID

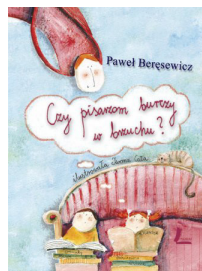
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 2/2019/

Beręsinho – specjalista od języka

ROZMOWA Z PAWŁEM BERĘSEWICZEM

– **Czy jako chłopiec marzyłeś o zawodzie pisarza?**

– Jako chłopiec marzyłem, żeby zostać piłkarzem. Treningi, mecze, gole, puchary – tak sobie wyobrażałem swoje zawodowe życie. Jako Beręsinho, gwiazda Barcelony. Niestety nie poznano się na moim talencie, dlatego musiałem zadowolić się pisaniem. „Piłkarz” i „pisarz” to bardzo podobne słowa, więc w sumie nie jest tak źle.



– **Wybierając kierunek studiów, brałeś pod uwagę, że kiedyś będziesz tłumaczem ciekawych książek?**

– Studiowałem filologię angielską i chyba rzeczywiście wybierając ten kierunek, mgliście wyobrażałem sobie siebie jako tłumacza. Ale na studiach zainteresowała mnie wcale nie literatura, ale językoznawstwo, nauka o najgenialniejszym ludzkim wynalazku, czyli języku. Później cała moja zawodowa działalność w jakimś stopniu dotyczyła języka. Byłem nauczycielem angielskiego, pracowałem nad słownikami, tłumaczyłem książki, teraz także piszę. Nawet na spotkaniach autorskich głównie miałem językiem i ciągnę za języki.

– **Jesteś świetnym tłumaczem. Twój przekład książek Lucy Maud Montgomery „Ania z Zielonego Wzgórza” i „Ania z Avonlea” (Skrzat) zyskują uznanie u młodych czytelników, ale jako pisarz jesteś uwielbiany przez młodszych i starszych nastolatków. Czy takie uznanie i podziw dodają sił i pomysłów, czy powodują, że chciałbyś odpocząć?**

– Obawiam się, że z tym uwielbieniem troszkę przesadziłaś. Owszem, spotykam się z wieloma sympatycznymi reakcjami osób, które coś mojego czytały, ale zdecydowanie nie jest tak, że nie mogę się opędzić od fanów. Każde miłe słowo, pochlebna recenzja czy sympatyczny wpis na Facebooku sprawia mi ogromną radość i motywuje do dalszego pisania.

– A czytelników do czytania twoich książek... Lubisz sam wymyślać temat swoich książek, czy wolisz, gdy proponuje go wydawnictwo?

– Chyba wolę sam wymyślać tematy, a właściwie najlepiej, kiedy one wymyślają się same. Najmilej pisać o tym, co człowieka poruszyło, zdumiało albo załaziło mu za skórę. Często jednak się zdarza, że nic mądrego w danej chwili wymyślić nie mogę. Wtedy sugestie wydawcy bardzo się przydają. To nie znaczy, że za każdym razem muszę z nich skorzystać. Nieraz bywa, że po prostu kierują myśli na nowe tory, gdzieś, gdzie kryją się całkiem niespodziewane pomysły.

– ... zgodnie z powiedzeniem „co dwie głowy, to nie jedna”. Do której ze swoich książek częściej zaglądasz i dlaczego?

– Właściwie rzadko zaglądam do moich książek po wydaniu. Chyba boję się, że znajdę w nich coś, co moim zdaniem dałoby się jeszcze poprawić, a wcześniej jakoś nie zwróciłem na to uwagi. Fakt, że już nic nie można zrobić, bardzo mnie stresuje. Wyjątek stanowi książka „Czy pisarzom burczy w brzuchu?”. Jest to zbiór wierszy będących odpowiedziami na najczęstsze lub najdziwniejsze pytania, jakie mi zadano na spotkaniach autorskich. Często na kolejnych spotkaniach korzystam z tej książki jak ze ściągawki. „Co pan najbardziej lubi jeść?” – pyta ktoś na spotkaniu, a ja nic nie muszę wymyślać. Otwieram książkę i czytam. Wygoda.

ROZMAWIAŁA MAŁGORZATA JANINA BERWID

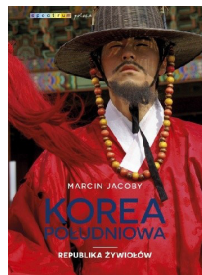
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 2/2019/

Na południe od 38. równoleżnika

ROZMOWA Z MARCINEM JACOBY

– Motorem światowej mody na Koreę jest K-pop?

– K-pop to koreańska muzyka popularna, czyli potężny już dziś przemysł kreatywny, produkujący dziesiątki zespołów i solistów oraz generujący wielomilionowe zyski nie tylko w samej Korei, ale właściwie już na całym świecie. K-pop to nie tylko muzyka, ale taniec, widowisko i pewien wizerunek gwiazdy. Osoby niezwykle zadbanej, modnej, ale przy tym skromnej i dostępnej. Gwiazdy K-popu są dla swoich młodych fanów trendsetterami, napędzają modę na określony ubiór, makijaż czy zachowanie. Dzięki nim pojawia się popyt na koreańskie kosmetyki, kuchnię czy naukę języka koreańskiego. Korea buduje swoją rozpoznawalność poprzez K-pop i to od razu w najciekawszej grupie odbiorców – wśród nastolatków, którzy są nie tylko ważnymi konsumentami sami w sobie, ale którzy wpływają również na konsumenckie zachowania swoich rodzin. A zatem można powiedzieć, że na światowej popularności K-popu korzystają szeroko inne sektory koreańskiej gospodarki.



– Jak wyjaśnić globalny sukces tamtejszych seriali?

– Przede wszystkim są bardzo dobrymi produkcjami od strony technicznej. Gra aktorska, praca kamery, światło, dźwięk – to wszystko, dzięki koreańskiemu perfekcjonizmowi, wznosi lokalne produkcje telewizyjne na niezwykle wysoki poziom. Jednak przyciągają one publiczność międzynarodową głównie dzięki dwóm rzeczom: romantycznym scenariuszom i pokazaniu atrakcyjnego stylu życia. Często obracają się wokół motywu miłości pary młodych ludzi na przekór podziałom społecznym i nieprzychylności rodzin. Nie możemy przy tym zapomnieć o świetnych serialach historycznych, które przyciągają zupełnie czym innym: pokazują niezwykle intrygi dworskie, promują wiedzę o historycznym dziedzictwie Korei, podkreślają tradycyjne wartości konfucjańskie, z którymi również identyfikuje się wiele innych społeczeństw azjatyckich. Koreańskie seriale odpowiadają więc na wiele potrzeb, z którymi identyfikują się widzowie od Japonii przez Chiny po Indonezję.

– Miło poznać Koreę w kuchni...

– W Polsce działa wiele restauracji koreańskich. Warto spróbować, co mają do zaoferowania, choć na ogół brakuje im wiele do prawdziwej kuchni, której możemy posmakować w Korei. Przeważa koreański grill, trudniej znaleźć dobre potrawy warzywne czy z owoców morza, w czym również celuje koreańska gastronomia. Szczególnie polecam kimchi – kwintesencję koreańskiej kuchni – które bardzo trudno zrobić samemu, jeśli nie ma się doświadczenia i dostępu do lokalnych składników. To przystawka nieco przypominająca naszą kiszoną kapustę, choć jest ostra i robiona z kapusty pekińskiej, a nie białej.

– Gospodarka Korei Południowej kwitnie...

– Jej spektakularny sukces to właściwie dopiero lata osiemdziesiąte XX wieku. Pierwsze dziesięciolecie po wojnie domowej, zakończonej zawieszeniem broni w roku 1953, były bardzo trudne: brak infrastruktury, całkowite zubożenie społeczeństwa, rozprzestrzenianie się chorób wynikających z ubóstwa. Historia niezwyklej drogi Koreańczyków do hossy gospodarczej to wypadkowa prężności biznesu, pracowitości i zdolności do poświęceń zwykłych ludzi oraz konsekwentnej polityki kraju, który od 1960 przyjął model „państwa rozwojowego”, wzorowanego w dużej mierze na Japonii. To władze centralne wyznaczały kierunki rozwoju i wspierały wielki biznes, sprzyjając dużym firmom rodzinnym, takim jak Hyundai, Samsung, Daewoo czy LG. Ogromne koszty płaciło za to społeczeństwo: słabo opłacana i wykorzystywana klasa robotnicza, pozbawieni dobrodziejstw państwa opiekunczego ludzie starsi czy niepełnosprawni. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia zaczęto powoli odchodzić od twardej, neoliberalnej polityki koreańskiej prawicy, która niepodzielnie rządziła Koreą do tego czasu, budując bardziej zrównoważoną politykę społeczną. Koreańczycy są bardzo przedsiębiorczy i innowacyjni. Wystarczyło, że państwo stworzyło podstawowe warunki sprzyjające rozwojowi biznesu i technologii, by uruchomić ogromny potencjał tkwiący w tym narodzie.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 2/2019/

Nazywam się ŻYCIE

ROZMOWA Z ANDRZEJEM JANKOWSKIM

– „Wszystko zaczyna się od marzenia” – pisze pan, kapitanie, w swojej książce „Nazywam się ŻYCIE”. Czy człowiek, który żegluje na własnym jachcie dookoła świata, a teraz publikuje książkę, może mieć jeszcze jakieś marzenia?

– Tak, ale to moje kolejne marzenie to – jak poprzednie – wielka przygoda i tajemnica, ku której żegluję w swoim życiu i na jachcie.



– Jeśli „Nazywam się ŻYCIE” nie jest autobiografią, to czym może być dla nas – czytelników?

– Może zainspirować do myślenia na temat własnego życia. Może sprowokować pytanie, ile jest naprawdę Życia w naszym własnym życiu. Mylimy często obowiązki i czyjeś oczekiwania z własnym życiem, własnymi przekonaniem i marzeniami. Najpierw rodzice i szkoła, a później społeczeństwo, partner, dzieci czy praca. Oczekują od nas wiele, a dla nas samych nie pozostaje czasem już niemal nic, bo nawet na urlopie jesteśmy „pod telefonem” i zajęci zwiedzaniem, nie mamy siebie.

Potrzebą współczesnego człowieka jest bezpieczeństwo i stabilizacja. Praca, dom, partner czy samochód. Ale świat nie jest miejscem stabilnym i bezpiecznym, mamy jedynie złudzenie stabilizacji, a co chwilę nasz spokojny świat się burzy, ktoś odchodzi od kogoś, tracimy dom, a samochód ulega wypadkowi. Praca też nas nie potrzebuje, albo my z niej rezygnujemy. A co poświęcamy w zamian za złudną stabilizację? Płacimy życiem. Nie żyjemy pełną piersią, tylko egzystujemy, rezygnujemy, bo coś stracimy, posadę, partnera itd. A przez to tracimy siebie, a przecież tylko to mamy na pewno. Siebie, swoją wolność i niezależność. Te inne zewnętrzne są zmienne. A my zostajemy ze sobą, żyjemy ze sobą.

Tak, książka jest wyjątkowa, bo prawdziwa, i stoi za nią nie tylko moje pisanie, ale również moje życie, opowiedziane w kilkudziesięciu – czasem

niewiarygodnych, ale zawsze prawdziwych – anegdotach i historiach. Jedna myśl jest w nich obecna: nie gadam, tylko robię, nie wynajduję kolejnych pretekstów i wyjaśnień, dlaczego „nie”. Wstaję i działam, a jeśli czuję opór, to zmieniam metodę. Ale cel, od początku jasno określony, osiągam zawsze. Jeśli wypływam z portu, to przecież chcę dotrzeć bezpiecznie do następnego. I jak dotąd docieram.

– Czy zostanie pisarzem i opublikowanie książki to właśnie ten kolejny port?

– Dokładnie. Fizycznie jacht jest teraz na Sycylii, gdzie ostatnio dopłynąłem w sztormowych warunkach, ale z uwagi na rajskie warunki życia osiedliłem się tam na pół roku, nim poześluję dalej.

Ale w mojej podróży po życiu to właśnie pisanie jest tym kolejnym wspinałym oceanem, który zamierzam poznawać. Pisarz to ktoś, kto bardzo dużo przeżył i nadal przeżywa, kto dużo czuje, widzi i robi. Pisarz nie podąża z głównym nurtem, tylko ma odwagę popłynąć we własnym kierunku, dalej niż ludzie na lądzie. Wziąć mapy i zaplanować podróż w przyszłość i zobaczyć, co jest poza codziennością, za horyzontem. Mam tyle samo czasu co inni, ale więcej z niego przeznaczam na życie, na zatrzymanie się, na uważność. A potem o tym piszę.

Pisarz może być latarnią morską. W świecie pełnym impulsów i informacji, opinii i agresywnej konsumpcji. Moje przestanie to przestanie spokojnego światła latarni morskiej, które omiata ciemność białym światłem. Bym ja sam, ale również ktoś, kto czyta moją książkę, odnalazł podstawowe kierunki. W geografii i nawigacji wszystko jest jasne. Północ geograficzna i północ magnetyczna. Mam kompas i płynę. A gdzie jest północ w naszym życiu?

– Joseph Conrad Korzeniowski był pierwszym oficerem na statku, pan jest kapitanem. Czy morze pomaga w pisaniu?

– Morze jest źródłem wszelkiego życia. Z niego wyszło. Jest w nim, poza sztormami, które uświadamiają, jak kruche jest ludzkie życie, również nieograniczona przestrzeń, czas i cisza. Każdy, kto stanął choć raz i poczuł bezkres morza czy oceanu, poczuł absolutną wolność. Cisza potrafi dać wgląd w rzeczy, które na lądzie wciąż zagłusza internet, ruch uliczny, pośpiech i gonitwa myśli. Tam tego nie ma. Jest spokój i głębokie odczuwanie.

Nasza planeta jest z kosmosu błękitna, nie zielona. Kocham oceany i morza, płynę. Tam jest prawdziwie, bez pozorów. Sztormy są prawdziwe i ludzie są prawdziwi. Nie da się udawać odwagi, gdy się jej nie ma. Nie da się kupić kompetencji i doświadczenia. Trzeba wszystko brać na siebie, nie da się zlecić na zewnątrz. Wszystko zależy od kierunku i siły wiatru, od zafalowania i już. Pracuję, to płynę, nie działam, to ginę, a czasem morze przetestuje cię tak, że nawet jak bardzo chcesz, to nie dajesz rady. Na razie daję. Conrad dużo pisał o odpowiedzialności, bo sam przeżył tragedię i czuł jej skutki. Każdego dnia, gdy biorę do ręki ster, to czuję odpowiedzialność, wiem, jak wiele zależy ode mnie: losy jedenastotonowego jachtu, życie załogi i na końcu moje.

A przecież życie człowieka jest cudem, a on sam doskonałym stworzeniem, które w naturalnym środowisku było zdrowe i silne. Człowiek może być wspinałym fragmentem naszej planety, jednym z jej dzieci. Może żyć w niemal idealnym świecie, który byłby jak marzenie. A wszystko zaczyna się od marzenia. Trzeba tylko marzeniu trochę pomóc. Na morzu nie jestem już tylko człowiekiem, jestem falą, która pojawiła się na jakiś czas na wodzie, rośnie w czasie, a następnie zanika. Zatem w głębi jestem oceanem. Jestem Planetą. Tak jak ty – jestem Życiem.

ROZMAWIAŁ PIOTR DOBROŁĘCKI

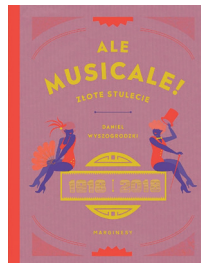
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 2/2019/

Południowy Pacyfik z bezludną wyspą

ROZMOWA Z DANIELEM WYSZOGRODZKIM

– **Musical przyszedł na świat w USA. Przypadkowo? Miał ciężkie dzieciństwo?**

– Narodził się w Stanach Zjednoczonych, bo nie było innej możliwości. Razem z falami imigrantów z Europy trafiały na amerykańskie sceny (głównie na wschodnim wybrzeżu) przedstawienia z Londynu, Paryża czy Wiednia. Ale nie były to spektakle przemawiające do publiczności Nowego Świata. Amerykanie byli i są społeczeństwem młodym, energicznym i – co ważne – egalitarnym. Potrzebowali zatem własnej formy rozrywki, sztuki odpowiadającej dynamice ich kraju. Narodziły się rewie i wodewile, a takie skupiska show-businessu jak Broadway przyciągały utalentowanych twórców. Pierwsi klasycy – Jerome Kern, Irving Berlin, a nawet George Gershwin – nie tworzyli jednak musicali we współczesnym sensie, po prostu pisali piosenki do kolejnych broadwayowskich rewii. To właśnie z teatrów pochodziły ówczesne przeboje. Dzieciństwo musicalu nie było trudne, ale za to dość długie. To stosunkowo młody gatunek sztuki, ma wiele źródeł i najtrudniej było mu zapewne na coraz mniej dzikim zachodzie, gdzie wykluwał się na scenach wędrownych trup. Natomiast w miastach miał status beniaminka, dopieszczanego przez tłumy widzów. Musical współczesny – jeszcze nie nowoczesny, ale już współczesny – rodzi się, kiedy amerykańscy żołnierze zaczynają wracać z frontów I wojny światowej, czyli w 1918 roku. Stabilizacja jego formy następuje nieco później, kluczowym dziełem był „Show Boat” Kerna i Hammersteina II z 1927 roku. Od tej chwili mówimy o rewolucji w musicalu.



– **Jak to się stało, że ze sceny trafił na ekran?**

– Teatr XX wieku rywalizuje z kinem. Musical rywalizuje z filmem muzycznym od czasu udźwiękowienia, czyli od premiery „Śpiewaka jazzbandu” w 1927

roku. Stany Zjednoczone mają dwa potężne ośrodki kultury popularnej: Broadway na wschodnim wybrzeżu i Hollywood na zachodnim. Tu teatr, tam film. Oba stały się zresztą głównymi „eksporterami” amerykańskiej kultury. I to na cały świat. Od lat trzydziestych ubiegłego stulecia trwa między nimi nieustająca rywalizacja, ale też nie przestają się inspirować. Broadway i Hollywood podkradały sobie pomysły i artystów, ale też udzielały sobie nawzajem licencji – na adaptacje. Powstawały filmy według musicali i musicale według filmów. Niektóre dzieła – przykładem „West Side Story” Bernsteina i Sondheim – stały się zarówno arcydziełem musicalu, jak i filmu muzycznego. Proces przenoszenia na scenę musicalową filmowych pomysłów trwa w najlepsze – miałem okazję pracować przy teatralnych wersjach „Tańca wampirów” według filmu Romana Polańskiego i przy „Deszczowej piosence” według hollywoodzkiego klasyka. Jak pokazują ostatnie filmowe adaptacje takich musicali jak „Opowieści lasu” czy „Les Misérables”, proces odwrotny również obfituje w udane zjawiska artystyczne. Warto zwrócić uwagę na cudowne połączenie obu źródeł w filmie „La La Land” – jest to opowieść o miłości do musicalu i do filmu muzycznego. Ponad podziałami.

– Dla mnie nr 1 to „West Side Story”, zaś w kategorii piosenka – „Taki piękny wieczór” z „Południowego Pacyfiku” (w interpretacji Bernarda Ładysza!). A jakie są typy najlepszego znawcy tematu w PL?

– Całkowicie popieram pański wybór – „West Side Story” to i dla mnie musical wszech czasów, nie potrafię sobie wyobrazić niczego lepszego. Zdecydował o tym geniusz jego twórców, ale także wykorzystanie elementów modern jazzu. Nie słyszałem nic równie ponadczasowego, zaś aranżacja rozpisana jest z perfekcją Mozarta – nie sposób dodać czy odjąć ani jednej nuty. Nie oznacza to jednak, że zatrzymałem się na musicalach z połowy wieku, przeciwnie. Podziwiam rewolucję, jakiej dokonał Lin-Manuel Miranda i jego „Hamilton”, jednak najbliższe memu sercu pozostają musicale Stephena Sondheim. Jego „Niedziela w parku z Georgem” to mój musical na bezludną wyspę, gdybym miał wybrać tylko jeden. „Taniec wampirów” byłby zapewne drugi, ale nie ma już bezludnych wysp, albo są bardzo drogie.

Nigdy nie robiłem osobistego rankingu piosenek musicalowych. Jak słusznie pan zauważył, wiele zależy wtedy od wykonawcy. Ja na przykład uwielbiam głos Pauliny Janczak i w jej wykonaniu mogę słuchać wszystkiego

– najchętniej jednak duetu z „Upiora w operze” albo czegoś z musicalu „Doktor Żywago”. Też bardzo lubię „Taki piękny wieczór” (ostatnio rozbroił mnie wykonaniem tego standardu sam Bob Dylan). W ogóle żałuję, że nadrabianie musicalowych zaległości zaczęło się w Polsce od musicali z lat sześćdziesiątych i nowszych. Podobnie było też z rockiem – kiedy Polskie Radio zaczęło nadawać tę „imperialistyczną” muzykę, zaczęliśmy jej słuchać od środka, od The Beatles i The Rolling Stones. Bez świadomości, skąd się wzięły te zespoły, jakie są ich korzenie. A w teatrze muzycznym nie byłoby takich musicali jak „Skrzypek na dachu” czy „Kabaret”. Bardzo chciałbym zobaczyć na polskich scenach musicale tych przełomowych twórców, zwłaszcza „Południowy Pacyfik” i „Król i ja”. Bo my w musicalu też właściwie od środka. A śpiewał śpiewak: „Zacznij od Bacha”.

– Pierwszym polskim musicalem była „Miss Polonia” Marka Sarta i Jerzego Jurandota ze szlagerem „Każda miłość jest pierwsza”?

– Musical rodził się w międzywojennej Polsce podobnie jak film – muzyczny i nie tylko. Polska się rodziła. I można przypuszczać, że gdyby proces ten nie został tragicznie przerwany na lata II wojny światowej i następne, wszystko by poszło normalnym torem. Czyli i polski teatr muzyczny, i polskie kino rozwijałyby się, podążając za amerykańskimi wzorcami. Wierzę, że na przykład Jerzy Wasowski i Jeremi Przybora doskonale by się odnaleźli na Broadwayu. Nasze „Metro” powstało bez wątpienia na bazie przemian społecznych, jest tu więc analogia do narodzin musicalu w USA. Polski musical objawi się nam prędzej czy później, a wszystkie próby tworzenia go są cenne. Gdy pisaliśmy z Andrzejem Korzyńskim i Wojciechem Kępczyńskim „Akademię Pana Kleksa”, powstało przedstawienie, w którym było siedem tekstów Brzechwy i trzydzieści moich. Prawie nikt tego nie zauważył, co traktowałem jako komplement. Nauczyłem się tego, będąc tłumaczem – kiedy nikt nie mówi o przekładzie, to znaczy, że jest dobrze. Zawsze mi to zresztą wystarczyło, jako ocena mojej pracy tłumacza.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 2/2019/

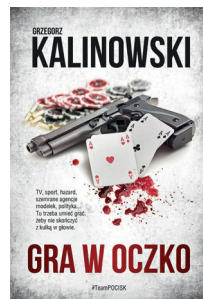
Chmielewska w spodniach

ROZMOWA Z GRZEGORZEM KALINOWSKIM

– Co sprawiło, że Grzegorz Kalinowski porzucił mię-dzywojenną Warszawę na rzecz współczesnej?

– Nazwijmy to raczej „skokiem w bok”, kończę właśnie trzecią część przygód śledczego Kornela Strasburgera i nie postawiłem jeszcze kropki nad „i” w „Śmierci fraje-rom”. Wszystko się wzięło od chęci stworzenia współ-czesnego kryminału, który nie byłby komedią, ale zawierałby kilka zabawnych scen i satyrycznych opisów.

Nazwałem to sobie „Chmielewską w spodniach i bez cenzury”. Impulsem była anegdota opowiedziana przez Mateusza Borka, o piłkarzu, który był kłopotliwym sąsiadem. Wyobraziłem sobie, co może zastać lokator z pię-tra niżej w mieszkaniu młodej gwiazdy futbolu i... dopisałem resztę intrygi. Mam nadzieję, że „Gra w oczko” zostanie doceniona przez czytelników, bo mam dwa pomysły na kolejne książki z tej serii. Pierwsza z nich sięgnie lat osiemdziesiątych i okresu powstawania niezależnej sceny muzycznej, a druga to historia przebiegłego mordercy, który ośmiesza policję. Pisa-nie o przeszłości jest intrygujące, bo zmusza mnie do doskonalenia wiedzy historycznej i odbijania się od prawdziwych zdarzeń, z kolei współczesne powieści dają możliwość skorzystania z warsztatu dziennikarza i oparcia się na obserwacji.



– **To chyba nie do końca czysta kreacja – zwłaszcza fragmenty dotyczące funkcjonowania rodzimego futbolu i mediów...**

– Wybór z rzeczywistości. Podobnie zrobił Janusz Zaorski w „Piłkarskim pokerze”. Zbrodnia to sprawa fikcyjna, ale cała reszta stanowi odbicie sytuacji panującej w polskim futbolu, mediach, biznesie i polityce. Pokazałem życie codzienne, kulisy pracy dziennikarskiej i funkcjonowania klubów. Zostało popełnione zabójstwo, zatem podążając za policyjnym i dziennikarskim śled-zstwem, czytelnik siłą rzeczy poznaje nie tylko prymusów, lecz i skończonych łobuzów. Perypetie Wisły Kraków pokazały, że nie jest w naszej piłce zbyt

ciekawie, zresztą różowe okulary zostały zerwane kibicom z nosów w Rosji i w kolejnych eliminacjach do europejskich rozgrywek klubowych.

– Duchowym patronem tej prozy jest Joanna Chmielewska? Sądziłem, że Jan Purzycki.

– „Piłkarski poker” jest mi bliski, „Wielki Szu”, który wyreżyserował Sylwester Chęciński – także, więc porównanie bardzo mi schlebia. To mnie ośmieli, by wysłać książki panu Januszowi Zaorskiemu, tym bardziej, że się znamy. A wracając do pytania o Joannę Chmielewską, to tworząc parę głównych bohaterów, wzorowałem się na jej książkach. Podjąłem ryzyko, bo wiem, że czytelnicy kryminałów szukają przede wszystkim widowiskowych zbrodni, tortur, seryjnych morderców i seksu. Obserwacje obyczajowe i dowcip nie są towarem pierwszej potrzeby, ale ja – czytelnik Grzegorz Kalinowski – jestem już zmęczony Hannibalami Lecterami i mam potrzebę pisania nie tylko o tym, że pan policjant miał dobry seks i złapał groźnego bandytę.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 3/2019/

Dziecko Czytelnika w świecie wydawców

ROZMOWA Z PROF. JERZYM W. BOREJSZĄ

– Bliski związek ze światem wydawniczym odziedziczył pan oczywiście po ojcu, Jerzym Borejszy, legendarnym twórcy największego w całej polskiej historii koncernu medialnego, czyli Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik”. Jak pan zapamiętał czasy, gdy tworzył go pana ojciec?

– To było wspaniałe! Jak przypomniał Eryk Krasucki w biografii mojego ojca zatytułowanej „Międzynarodowy komunista”, w ciągu kilku lat prezesury Jerzego Borejszy powstało charakterystyczne określenie, a mianowicie „dzieci Czytelnika”, do których zaliczał Jerzego Jedlickiego, jednego z najznakomitszych historyków polskich, humanistę o renomie europejskiej, którego matka była redaktorem w „Czytelniku”, i mnie. „Czytelnik” to było przedsiębiorstwo, w skład którego wchodziły nawet majątki ziemskie w Wielkopolsce czy trzy domy wczasowe w centrum Bukowiny i dom w Świdrze. Jak wspominał dzieciństwo, to wspominał wakacje w Świdrze i wakacje w Bukowinie, wspominał też wyjazd – nie do domów „Czytelnika” – ale do pustych poniemieckich domów w Międzyzdrojach. Grzegorz P. Babiak w książce „Na rogu Stalina i Trzech Krzyży. Listy do Jerzego Borejszy 1944-1952” określa „Czytelnik” jako „wielki koncern wydawniczo-oświatowy, gromadzący sto tysięcy ludzi, majoryzujący 70 proc. drukarni w Polsce, skupiający ponad trzydzieści dzienników, tygodników oraz innych czasopism i wydający w wielkich nakładach książki”. Niestety Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik” nie doczekała się dotąd solidnej monografii. Co gorsza, nie zachowały się jej archiwa z lat 1944-1949.

– Odwiedzał pan ojca w „Czytelniku”?

– Początek „Czytelnika” to ul. Piotrkowska 96 w Łodzi. Pamiętam ten ogromny gmach i dużą świetlicę dla dzieci, do której chodziłem. Tam też chodził Jarek



Rymkiewicz, dzisiaj klasyk polskiej poezji, wtedy mój najbliższy przyjaciel. Jego ojciec, pisarz i adwokat, Władysław Rymkiewicz, był radcą prawnym w „Czytelniku”, ale głównym prawnikiem spółdzielni był Jan Brzechwa.

– Potem państwo przenieśli się z Łodzi do Warszawy...

– Ojciec mieszkał od razu w Warszawie, ja z mamą przenieśliśmy się w 1946 roku. Ojciec miał pokój przy gabinecie w budynku przy ul. Wiejskiej 12. Mieszkanie, chyba na pierwszym piętrze, zostało podzielone. Pokój przy wejściu dostała Zofia Dembińska, która od połowy sierpnia 1944 roku była „prawą ręką” ojca i obok znakomitego spółdzielcy Stanisława Tazbira główną osobą odpowiedzialną za kwestie wydawnicze – jako wiceprezes „Czytelnika”. Dalej był jeden czy dwa pokoje, a potem korytarzem dochodziło się do niedużego pokoju, w którym był sekretariat. Gabinet ojca był może trochę większy, stała tam rzeźba głowy ojca, świetna praca, którą wykonał rzeźbiarz Tadeusz Stulgński. Z gabinetu wchodziło się do następnego pokoju, gdzie stał duży tapczan, na którym sypiałem z ojcem, kiedy przyjeżdżałem z Łodzi.

– Budynki przy ul. Wiejskiej 12 i Wiejskiej 12a należą do „Czytelnika”...

– Jak to wygląda formalnie, proszę zapytać obecnego prezesa Mariana Sewerskiego. Za czasów mojego dzieciństwa były cztery domy w rzędzie, włącznie z podziemnym garażem.

– Czy obecny gabinet prezesa „Czytelnika” w budynku przy ul. Wiejskiej 12a był też gabinetem pana ojca?

– Gmach przy Wiejskiej 12a dobudowano do istniejących budynków już za prezesury ojca, a gabinet dostał, kiedy pozbawili go już prezesury „Czytelnika”, bo to był gabinet Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, którego był sekretarzem generalnym. Po wypadku samochodowym 1 stycznia 1949 roku i wcześniejszym usunięciu z „Czytelnika” w 1948 roku sprawował kolejno na wpół fikcyjne funkcje, które wymyślał dla niego często Józef Cyrankiewicz. Ten gabinet musiał też oddać po kilkunastu miesiącach.

– Czyli jednak pana ojciec pracował w obecnym gabinecie prezesa „Czytelnika”?

– Tak, w gabinecie, który teraz zajmuje Marian Sewerski, prezes „Czytelnika”.

– **Czy jest w tym miejscu genius loci?**

– Jest!

– **Jak zaczęła się pana współpraca z wydawnictwami? Był pan jednym z twórców serii „Omega”, która wychodziła w Państwowym Wydawnictwie Naukowym, czyli w PWN...**

– Nie byłem twórcą, bo stworzył ją mój przyjaciel Krzysztof Pomian, a ja jako najmłodszy należałem do doborowego grona konsultantów serii popularnonaukowej „Omega”, w którym byli też m.in.: Krzysztof Murawski, Marcin Czerwiński, Ignacy Sachs, Ignacy Wald i Ryszard Herczyński. Kierownikiem redakcji była Alicja Dyczek, w zebraniach brałem prawie zawsze udział któryś z dyrektorów PWN. Na nasze spotkania przychodzili Leszek Kołakowski czy Bronisław Baczko. „Omega” osiągnęła najwyższy poziom światowy i była jedną z najlepszych serii popularnonaukowych, obejmujących wiele dziedzin nauki, nie tylko humanistykę. W momencie jej zawieszenia co najmniej dziesięć oryginalnych polskich autorów miało zgłoszenia do tłumaczeń na język angielski.

– **Seria obejmowała też tłumaczenia prac zagranicznych na język polski...**

– Tak, w serii ukazywały się tytuły oryginalne i tłumaczone. Nasze oryginalne tytuły już „chodziły po świecie”, pomimo że seria w PWN istniała tylko sześć lat. Na wiosnę 1968 roku razem ze wszystkimi kolegami dostałem wymówienie z PWN.

– **Seria „Omega” przeszła więc do Wiedzy Powszechnej, ale już bez komitetu redakcyjnego...**

– „Omega” przeszła do Wiedzy Powszechnej i szybko straciła swój poziom promującej dzieła nowatorskie i oryginalne. Stała się łupem żony wicepremiera i ministra kultury, jednego z członków Biura Politycznego PZPR. Ale dwóm osobom z komitetu redakcyjnego zaproponowano zaprzęstwo: jedna zdaje się zgodziła, druga nie. Ja się nie zgodziłem.

– **Po serii „Omega” stworzył pan kolejną znaczącą serię popularnonaukową...**

– Kiedy rozwalili serię „Omega”, rzuciłem w „Czytelniku” projekt serii „Pano-rama”, którą prowadziłem, ale to już była tylko humanistyka. Seria była oparta

na zasadzie antologii tekstów i miała dobry Komitet – był Jerzy Szacki, Michał Głowiński, Marek Siemek, Ryszard Stemplowski.

Trochę książek wydaliśmy. Prowadziłem ten biznes jako szef, ale nie pamiętam nawet, czy brałem za to pieniądze.

– W swoich wspomnieniach opisuje pan nieudany epizod współpracy z Wydawnictwem MON, czyli poprzednikiem Bellony...

– W gorącym okresie, bo 16 lipca 1968 roku, z dwutygodniowym opóźnieniem złożyłem w Wydawnictwie MON maszynopis biografii pułkownika powstania styczniowego i generała Komuny Paryskiej Walerego Wróblewskiego. Redaktor przyjął maszynopis. Wyjechałem zaraz potem, a kiedy wróciłem w sierpniu, na klatce schodowej pod drzwiami mieszkania znalazłem paczkę, a w niej wszystkie egzemplarze maszynopisu. Paczka leżała na schodach kilka dni, mieszkanie było zamknięte, bo matka wyjechała na urlop. Do paczki dołączono list o rozwiązaniu umowy z uwagi na opóźnienie. Zażądano zwrotu zaliczki w trybie natychmiastowym. Pułkownik Edward Szpital (niebawem generał) i pułkownik Stanisław Reperowicz należeli podobno do znanych zwolenników frakcji partyzanckiej Mieczysława Moczara. Ich pisma jako szefów wydawnictwa miały styl dostosowany do poglądów. Mam schowaną teczkę dotyczącą rozwiązania umowy z wydawnictwem MON, w którym nigdy nie wydałem żadnej książki. Również w PIW-ie dyrektor Andrzej Wasilewski odrzucił dwie propozycje moich książek, pewnie nie mógł ich wydać z uwagi na tematykę (Bakunin i anarchizm, Stanisław Mendelson, powstanie PPS i polski antysemityzm).

– Książka o Walerym Wróblewskim ukazała się i miała trzy wydania...

– Sprawa odbiła się pewnym echem w kręgu wydawców. „Czytelnik” zaproponował mi jej wydanie, ale po kilku miesiącach, „aby nie drażnić tych łobuzów z wydawnictwa MON”. To nie moje słowa. Pierwsze wydanie ukazało się w roku 1970. Książka nosiła prowokujący tytuł „Patriota bez paszportu”, bo był to czas, kiedy tysiące ludzi, uważających się za Polaków, wyganiało z Polski, odbierając im paszporty. Książkę wydałem dwa razy w „Czytelniku”, a trzecia edycja ukazała się nakładem wydawnictwa Instytutu Historii PAN i oficyny Neriton. Miała swoich wielbicieli, od prof. Aleksandra Gieysztorą po obecnego dyrektora Instytutu Historii UW prof. Wojciecha Kriegseisena. Bo to jest przejrzysta lektura, dobrze napisana i wydana w dobrym momencie, ale tytuł był bezczelny.

– W pana wspomnieniach jest passus dotyczący autobiografii Jerzego Giedroycia, którą pan umieścił w „Czytelniku”...

– Sporo czasu zabrało mi przekonanie Jerzego Giedroycia, aby przeniósł już zakontraktowane wspomnienia z małego wydawnictwa Pallotynów w Paryżu do warszawskiego „Czytelnika”. Ukazały się w 1994 roku jako „Autobiografia na cztery ręce” (rozmowy z Krzysztofem Pomianem). Mimo nader sprawozdawczego i suchego stylu Giedroycia sprzedano dziesiątki tysięcy egzemplarzy. Dodam tylko, że w archiwum Giedroycia są na piśmie ciche wypowiedzi, które ukazały się gdzieś i w druku, gdzie bardzo mnie chwalił za pracę organizacyjną w Paryżu. Moją ręką napisany jest pierwszy plan serii archiwum Jerzego Giedroycia.

– Ale nie udało się panu namówić prof. Aleksandra Gieysztorę na wydanie wspomnień...

– Trzykrotnie zwracałem się do niego jako przewodniczący rady nadzorczej „Czytelnika” z propozycją zawarcia umowy na pamiętniki, ale trzykrotnie odmawiał. Powodów było wiele: miał ogromną wiedzę o kulisach polskiej i europejskiej polityki i kultury, o setkach spraw i układów drażliwych, nie chciał się wplątać w polemiki i usprawiedliwienia. Czy było mu obojętne, co o nim napiszą po jego śmierci? Nie wiem.

– Można powiedzieć, że w pana życiu zatoczyło się koło, gdy został pan przewodniczącym rady nadzorczej spółdzielni „Czytelnik”...

– Anna Kopińska, sekretarz wydawnictwa, namówiła mnie, abym został członkiem spółdzielni. Zaraz po zwrocie w 1989 roku pojawiła się idea dwóch panów – Artura Międzyrzeckiego, prezesa Polskiego PEN Clubu, oraz Czesława Kuleszy, wówczas najstarszego członka „Czytelnika”. Potem prof. Jan Szczepański, który był wtedy przewodniczącym rady nadzorczej, zaprosił mnie do domu i stwierdził, że chcą przekazać radę w moje ręce. Byłem przewodniczącym ponad dwa lata, ale w marcu 1992 roku po wyjeździe do Paryża zrzekłem się tej funkcji.

– Zaprosił pan wtedy do „Czytelnika” wiele znanych osób...

– Prezesem zarządu został Stefan Bratkowski, do rady nadzorczej weszli Aleksander Małachowski i Michał Komar. Z początku w Radzie było wielu

znakomitych pisarzy, między innymi Hanna Krall, Ryszard Kapuściński, Władysław Terlecki i Witold Zaleski. Był też jako wybitny menedżer Andrzej Olechowski. Premier Tadeusz Mazowiecki podpisał rozporządzenie, że „Czytelnikowi” należy zwrócić część rozparcelowanego po 1948 roku majątku. Niestety, nie był to dobry czas dla „Czytelnika”, tracił prawa wydawnicze, zostały praktycznie tylko lokale do wynajęcia. Dla mnie „Czytelnik” przestał być wydawnictwem. W aktach „Czytelnika” jest mój list sprzed trzech lat, gdzie napisałem, że nie zapisałem się do biura nieruchomości. Można powiedzieć, że winien jest mój ojciec, który stworzył struktury, aby mu się w jego czasach nie wtrącali ludzie z Komitetu Centralnego. Ale ta struktura teraz jest samobójcza. Śmieszne jest, że jedyną osobą, która zachowała jakieś papiery, dotyczące tego, że premier Tadeusz Mazowiecki podpisał prawa do zwrotu „Czytelnikowi” jego kamienic, jestem ja! Ale nic nie dają – to dzisiaj jest tylko papier.

– W dalszym ciągu jest pan członkiem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” i bierze pan udział w walnych zgromadzeniach...

– Nie, pojawiając się już rzadko, oszczędzam moje nerwy.

– Właśnie wydał pan szczególną książkę, bardzo osobiste wspomnienia zatytułowane „Ostaniec, czyli ostatni świadek”. Jak pan trafił z tym tytułem do wydawnictwa Wielka Litera?

– Za poradą mojego starego przyjaciela Wiktora Dłuskiego, wydawcy i jednego z najlepszych polskich tłumaczy, oraz Marka Radziwona, który kiedyś pisał u mnie doktorat o Jarosławie Iwaszkiewiczu i ma duże polskie i rosyjskie doświadczenie wydawnicze, zapukałem do drzwi Wielkiej Litery. Jeżeli dwóch ludzi różnych generacyjnie miało te same skojarzenia, to był to dla mnie sygnał... Zadzwoiłem do Pawła Szweda, z którym widziałem się wcześniej tylko raz w Świecie Książki, więc go właściwie nie znałem. Trafiłem, jak to się mówi, z wolnego wyboru. Gdybyśmy to sformułowali na piśmie, to byłoby, że szef Wielkiej Litery cieszy się opinią wschodzącej gwiazdy. I z tego, co czytam i widzę, chyba zasadnie.

ROZMAWIAŁ PIOTR DOBRZEŃSKI

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 3/2019/

Pisane w Pradze

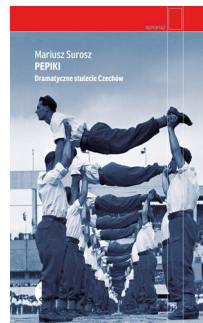
ROZMOWA Z MARIUSZEM SUROSZEM

– Gustáva Husáka na wierzchołek władzy wyniosła operacja „Dunaj”? Jak to możliwe, że wieloletni więzień komuny pozostał jej wierny?

– Inwazja wojsk Układu Warszawskiego była dla niego tylko okazją, którą bezwzględnie wykorzystał. Na łamach książki przytaczam anegdotkę z jego dzieciństwa o tym, jak dzieci w szkole odwiedził biskup katolicki. I mały Gustáv zadał mu pytanie: „Co trzeba zrobić, aby zostać księdzem?”. Biskup odpowiedział, jaka droga wiedzie do kapłaństwa. „A gdybym chciał zostać biskupem?” – zabrzmiało drugie pytanie. Duchowny cierpliwie odpowiedział i na to pytanie. „A jak zostać papieżem?”. Biskup się roześmiał, wziął to za żart, ale ta dykteryjka ukazuje, jak ambitny był Husák. Poślednie miejsce wśród rządzących nie zadowalało go, dążył do najwyższych stanowisk. A czemu doświadczając komunistycznego systemu represji, widząc, jak morduje się prawdziwych i urojonych wrogów komunizmu, został w partii? Myślę, że to wynikało z zimnej kalkulacji i właśnie wybujałej ambicji. Zapewne nie brał pod uwagę zmiany systemu w najbliższych latach, zatem chcąc rządzić, musiał to robić w jego ramach.

– Gdyby Karel Čapek żył dłużej, zostałby pierwszym czeskim noblistą literackim? Jego dorobek zwierzał?

– Czy zostałby doceniony przez Akademię Noblowską? To wróżenie z fusów. Można powiedzieć, że znalazł się w klubie wielkich pominiętych. To przykład intelektualisty, który nie kontestuje rzeczywistości, lecz stara się mieć na nią wpływ i ją kształtować. Wierzył w system liberalnej demokracji, ocenił, że jest najlepszy i został temu przekonaniu wierny do końca. A zatem postawa godna szacunku. Moim zdaniem, by móc mówić o kulturze Czechów, Čapka trzeba koniecznie poznać. Jego teksty publicystyczne do dziś są czytane i przypominane. A literatura? Kto mówi, że interesuje się Czechami, a nie zna jego „Inwazji jaszczurów” czy „Fabryki absolutu”, jest dla mnie osobą niewiarygodną.



Lubię Čapka, jego styl i sposób argumentacji jest wciąż świeży i na pewno bardzo dużo mówi o atmosferze międzywojennej Czechosłowacji. Zawsze jednak w takim przypadku polecam, aby poczytać również jego adwersarzy np. świętego katolickiego pisarza Jaroslava Durycha.

– Nie wiedziałem, że Słowacy odmówili jesienią 1939 roku przyjęcia w prezencie od Niemców Zakopanego.

– Udział Słowaków w II wojnie światowej nie jest powszechnie znany w Polsce. Ich słynna dywizja zmechanizowana gromiła Armię Czerwoną, a słowaccy piloci bardzo skutecznie walczyli z lotnikami sowieckimi. Niemcy byli bardzo zadowoleni z ich postawy, dbali natomiast o to, aby jednostki słowackie i węgierskie na froncie wschodnim nie znajdowały się zbyt blisko siebie. Oba kraje były sojusznikami III Rzeszy, ale nie oznaczało to, że Słowacy wymazali z pamięci wcześniejsze wydarzenia, kiedy doszło do zatargu zbrojnego między Bratysławą a Budapesztem.

– Wstawiennictwo Watykanu nie uchroniło księdza Jozefa Tiso od egzekucji – nawiasem mówiąc, wykonanej po partacku...

– Jego śmierć była na rękę rządzącym Czechosłowacją. Klement Gottwald, przywódca komunistów, powiedział: „Ten chłop musi wisieć!”. Prezydent Edward Benesz uważał, że to dobre rozwiązanie. Pozbywano się problemu. „Za Tisa pełna misa” – takie powiedzonko funkcjonowało wśród Słowaków. Na Słowacji nie żyło się źle w porównaniu do innych krajów. Po wojnie łatwiej było wskazać jednoznacznych wrogów niż analizować swoje błędy. Proste oceny dominowały. Politycy, którzy znaleźli się w obozie zwycięskim dbali wyłącznie o siebie. Tiso to również drażliwa kwestia słowackiej niezależności od Czechów. Po cóż się do niej ustosunkowywać, skoro można problem zamieść pod dywan?

– Oficerów armii czeskiej – Emanuela Moravca i Heliodora Pikę – łączą jedynie nienaturalne zgony?

– Obaj byli nietuzinkowymi i barwnymi postaciami. Na pewno nie możemy powątpiewać w ich patriotyzm. Przecież Moravec uzasadniał swe postępowanie w czasie wojny dobrem narodu czeskiego. Przyszłość Czechów widział przy boku Niemców, starał się ochronić co się da. Sytuację ocenił na chłodno,

był nieprzeciętnie zdolnym analitykiem. I w to wierzył. Gdyby był cynikiem, nie wtłaczałby swoim dzieciom idei narodowosocjalistycznych. Widząc fiasko swych przewidywań, wybrał samobójstwo. Pika pozostał wierny idei Czechosłowacji. Jako żołnierz usiłował nie mieszać się do polityki. Wadził jednak komunistom. Wytoczyli mu proces zakończony wyrokiem śmierci. To było klasyczne zabójstwo sądowe.

– Księgarz i mechanik to postacie dla Polaków anonimowe. A dla Czechów?

– Moim zdaniem Polacy interesujący się motoryzacją znają nazwiska Vaclavów: Laurina i Klementa, wybitnych postaci na tym polu. Podobnie jest w Czechach. Czy jest to wiedza powszechna? Wprawdzie od kilku lat żyję w Pradze, lecz trudno mi stwierdzić, czy w czeskich szkołach są oni wspomniani. Wielokrotnie natomiast słyszałem od Czechów, że ich konstruktorem samochodów był Emil Škoda, bo przecież tak się nazywa marka. Kiedy wyjaśniałem, że ten przedsiębiorca zmarł na długo zanim jego fabryka zaczęła motoryzacyjne zabawy, spotykałem się z niedowierzaniem.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 3/2019/

Wymarła stolica

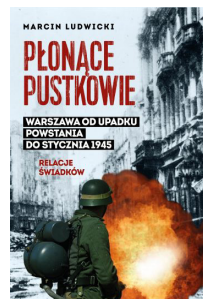
ROZMOWA Z MARCINEM LUDWICKIM

– Niemcy po upadku Powstania Warszawskiego zdestawowali stolicę metodycznie, niszcząc zabytki i dobra kultury ze względów ideologicznych?

– Adolf Hitler chciał, by Warszawa zniknęła z powierzchni ziemi. Nienawdził tego miasta i jego mieszkańców. Po kapitulacji Powstania Heinrich Himmler przekazał Paulowi Ottonowi Geibelowi, dowódcy SS i policji na dystrykt warszawski Generalnego Gubernatorstwa, osobiste życzenie Hitlera. Po ewakuacji całej ludności i wywiezieniu z Warszawy wszystkiego, co posiadało jakąkolwiek wartość, budynki z wyjątkiem urządzeń technicznych i obiektów kolei żelaznych miały zostać zburzone do fundamentów, a pomieszczenia dla wojska niemieckiego urządzone w piwnicach. Na gruzach miasta powstać miała twierdza. Życzenie to było o tyle irracjonalne, że z punktu widzenia wojskowego organizacja obrony wymagała zachowania zabudowań miejskich, lub przynajmniej większej ich części, jako punktów oporu w wypadku toczenia walk ulicznych. Z jednej więc strony Niemcy budowali twierdzę, z drugiej systematycznie niszczyli Warszawę. Charakterystyczna jest treść depešy, w której gen. Eberhardt Kinzel pisał do Himmlera, że brakuje mu materiałów wybuchowych potrzebnych do budowy twierdzy, ponieważ wszystkie używane są do niszczenia obiektów, których wysadzanie ważne jest ze względów „politycznych”, jednak zupełnie niepotrzebne z taktycznego punktu widzenia. Dowódca saperów skarżył się z kolei, że nie ma amunicji potrzebnej do wysadzania rowów pancernych i schronów, bo ta w całości używana jest do niszczenia miasta.

– Ilu było „robinsonów”? Czemu pozostali w ruinach?

– Dokładnej liczby nie uda się chyba nigdy ustalić. Do stycznia 1945 roku w ruinach Warszawy przetrwało zapewne kilkaset osób. Powody, dla których – ryzykując życie – zdecydowali się pozostać w mieście, były różne. Część nie wierzyła w niemieckie gwarancje bezpieczeństwa, część zamiast udać się



na tułaczkę w nieznaną, wolała przeczekać, ukryć się na kilka, kilkanaście dni i tak doczekać rychłego, jak im się wydawało, wejścia Armii Czerwonej. W mieście pozostali także odcięci od swoich oddziałów powstańcy. Na pozostanie zdecydowali się także Żydzi, których „żywy wygląd” wyróżniał z masy ludzi wychodzących z Warszawy i skazywał na pewną śmierć.

– Dobytek warszawiaków szabrowali nie tylko okupanci...

– Cóż, wychodzący z Warszawy mogli zabrać ze sobą tylko tyle, ile zdołali unieść. Zaludnili podwarszawskie osiedla i miejscowości. Musieli się jakoś tymczasowo urządzać. Nic dziwnego, że znajdowali się śmiałkowie, którzy ryzykowali wejście do Warszawy (od 14 listopada wchodzenie do miasta bez specjalnej przepustki wydawanej przez policję i komendanta twierdzy zabronione zostało pod karą śmierci) i dostarczenie chętnym czegokolwiek potrzebowali. Niemcy traktowali wszystko, co pozostało w mieście, jako swoją własność. Bardzo drobiazgowo rewidowali przy wyjeździe z Warszawy wszystkich pracujących przy akcji wywożenia dóbr. Zabierali nawet termosy, ołówki czy chustki do nosa. Jeśli padło na kogoś podejrzenie o próbę zabrania czegoś dla siebie, był rozstrzeliwany na miejscu. Ciało pozostawiano na rogatkach jako ostrzeżenie dla innych potencjalnych indywidualnych szabrowników.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 3/2019/

Śmiech ciężko wypracowany

ROZMOWA Z MARCINEM WILKIEM

– Jak to się stało, że Irena Kwiatkowska wybrała aktorstwo?

– Właściwie trudno orzec. Chciałoby się powiedzieć: los, przeznaczenie. I coś faktycznie byłoby na rzeczy. Ale nie do końca. Po głowie nastolatki Ireny Kwiatkowskiej chodziły różne pomysły. W jej dziennikach są na przykład próby literackie. Młoda dziewczyna tworzy „powiastki”, próbuje naśladować największych. Nie powstają arcydzieła, ale widać tam miłość do literatury. I to jest najważniejsze. Niewątpliwie wpływ tutaj miał tata przyszłej aktorki. Z zawodu był zecerem, z zamiłowania – bibliofilem. W skromnym warszawskim domu przy Grzybowskiej 29 zawsze było pełno książek. Kwiatkowska kochała literaturę od dziecka i za tym, tak sądzę, poszła miłość do teatru. Poza tym w szkole dostrzeżono w niej talent aktorski. Tak się wszystko zaczęło. Studiowała aktorstwo w legendarnym Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej. Zajęcia miała z wybitnymi pedagogami, przy czym najbardziej znaczącą postacią był Aleksander Zelwerowicz. Wobec Kwiatkowskiej potrafił być szczery – mówił jej na przykład, że powinna więcej pracować, umiał być też szczodry. Zdarzało się, że pomagał studentom, także materialnie. Rodzice Kwiatkowskiej nie mieli za wiele do powiedzenia, jeśli chodzi o wybory życiowe swojej córki. Już wtedy była niezależna. Nie bez powodu rodzina mówiła o niej: „przebojowa”.



– W pamięci pozostała jako aktorka komediowa. To był wybór, czy tak została obsadzana?

– Miała niebywałą siłę komiczną. Rozśmieszała do łez, ale za każdą rolą stało precyzyjne przygotowanie. Tu nic nie działo się przypadkiem. Każdy gest, każde słowo – wszystko było dopracowane. Słyszała nie tylko z warsztatu, ale i z dyscypliny. Nigdy się nie spóźniała i nie akceptowała tego typu zachowań u innych. Znała na pamięć nie tylko swój tekst, ale i kwestie partnerów scenicznych. Odstawała w ten sposób od innych. Nie wszyscy aktorzy byli tak

pracowici jak ona. Można zaryzykować stwierdzenie, że śmiech Kwiatkowskiej był ciężko wypracowany.

– Jak przetrwała II wojnę światową?

– Najpierw wpadła w rozpacz. „Teatry spalone!” – zapisywała w dziennikach. Potem przyszła beczynność, czarne myśli, które, nawiasem mówiąc, od czasu do czasu jej towarzyszyły przez całe życie. Na szczęście była człowiekiem umiejącym się w rozpaczliwych sytuacjach życiowych dźwignąć. Prędko zajęła się pracą, prawdopodobnie uczestniczyła w kursie kosmetyczno-medycznym.

Brała udział w Powstaniu Warszawskim. Jako łączniczka. Nie lubiła o tym mówić. A raczej: nie lubiła się tym chwalić. Nie wiemy więc wszystkiego, choć zaprzyjaźnionemu księdzu zwierzyła się z ogromnego strachu, jaki czuła, gdy musiała dostarczać meldunki.

– Widzów zawsze interesowało życie prywatne gwiazd...

– A tymczasem Irena Kwiatkowska prawie w ogóle o nim nie mówiła. Oczywiście męża, Bolesława Kielskiego, znano. Czarujący gentleman, erudyta, a przede wszystkim spiker radiowy i prowadzący telewizyjny teleturniej „Kółko i krzyżyk”. Tworzyli udane małżeństwo, oparte na przyjaźni i wspólnych pasjach. Sporo podróżowali, razem chodzili do kina, prowadzili dość dostatnie – jak na siermiężne czasy Polski Ludowej – życie. Mieszkali w tzw. bloku dziennikarskim przy Tamce. Ich sąsiadami byli m.in: Wanda Chotomska, Jeremi Przybora, Stanisław Szwarc-Bronikowski, Anatol Potemkowski, Zofia Nasierowska z Januszem Majewskim i Irena Karel z Zygmuntem Samosiukiem.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

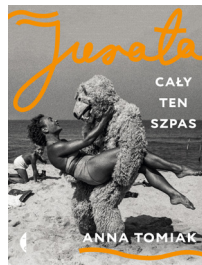
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 4/2019/

Kurort z morza

ROZMOWA Z ANNĄ TOMIAK

– **Czemu akurat na Półwyspie Helskim ulokowano flagowy kurort II RP?**

– Bo to był wówczas najbardziej malowniczy skrawek polskiego wybrzeża. Miał szerokie, piaszczyste plaże. Z jednej strony otaczały go wody Bałtyku, z drugiej – Zatoka Pucka. Zdecydowano, że Jurata powstanie na obszarze 150 zalesionych hektarów, położonych na wschód od Jastarni. O wyborze tego miejsca przesądził też jego zdrowy mikroklimat, charakteryzujący się wysokim stężeniem jodu.



– **Jurata w międzywojniu była dostępna wyłącznie dla zamożnych?**

– Celem spółki akcyjnej, działającej pod nazwą „Jurata” Uzdrowisko na Półwyspie Helu, zawiązanej w 1928 roku, było wzniesienie (od zera!) „miejscowości kurortowo-sanatoryjnej”, nieszablonowej i nowoczesnej, śmiało konkurującej z dziewiętnastowiecznym Sopotem. Niewątpliwie chodziło o propozycję dla ludzi bogatych. Letniskowe wille w Juracie kupowali przemysłowcy, prawnicy, arystokraci, w hotelu Lido bawili znani artyści. Przy ulicy Świętopelka swoje atelier urządził Wojciech Kossak, a w drewnianym bungalowie, sąsiadującym z molo, zatrzymywał się szef dyplomacji II RP Józef Beck. Nawet prezydent II RP Ignacy Mościcki był gościem Juraty, przyjechał latem 1937 roku i zatrzymał się w willi Muszelka, wybudowanej specjalnie dla niego. Świątowy i piękny kurort rozbudowywał się z każdym rokiem. Z czasem powstały w nim też skromniejsze pensjonaty, z których korzystały na przykład rodziny urzędników.

– **Jak jej oblicze odmieniła PRL?**

– W Polsce Ludowej Jurata zmieniła charakter z elitarnego na egalitarny. Bez żalu wyburzano przedwojenne wille i wycinano sosny, choć były nie tylko ozdobą helskiego pejzażu – ich korzenie umacniały piaszczysty grunt półwyspu. W latach sześćdziesiątych w najbardziej atrakcyjnych miejscach zaczęto

wznosić duże, piętrowe ośrodki wypoczynkowe. Nad zatoką przy ulicy Mestwina stanął betonowy Kaper. Chodziło o to, by przypominał cumujący w porcie statek, ale nie ma w nim szlachetnej prostoty i lekkości gdyńskiego modernizmu. Z kolei w sąsiedztwie molo pojawił się ośrodek wypoczynkowy KC PZPR Neptun, a nad pełnym morzem – dom wczasowy o wdzięcznej nazwie Bryza, własność KW PZPR w Katowicach (przebudowany, obecnie jest prywatnym, czterogwiazdkowym hotelem i ulubioną miejscówką celebrytów). Mieszkańcy Juraty pamiętają, że na jej uroczyste otwarcie przybył sam Edward Gierek wraz z małżonką Stanisławą. Oferowany w PRL zorganizowany wypoczynek miał niewiele wspólnego z przedwojenną Juratą. Inaczej się też podróżowało. Przepadła luksusowa Strzała Bałtyku, która w 1937 roku zawoziła letników z Warszawy na Hel w 6 godzin i 50 minut. Teraz dojazd koleją był wyzwaniem. Zawsze w tłoku, często wśród rozwrzeszczanych kolonistów. Przedział zdobywał ten, kto wskoczył przez okno. Inni spędzali podróż w toalecie albo przysypiając na walizkach w korytarzu. Przed wojną potrzebne były pieniądze albo koneksje, w PRL-u – skierowanie Funduszu Wczasów Pracowniczych, przydzielane na podstawie przynależności partyjnej i związkowej oraz opinii zakładu pracy. No i wypoczynek był pod kontrolą. Na wczasach obowiązywało na przykład punktualne stawianie się na posiłki. W stółwce nikt nie siadał tam, gdzie chciał, każdy otrzymywał numer i przynależne mu miejsce. Oczywiście, korzystano z plaży i słońca, ale program wczasów przewidywał też zajęcia integracyjne – wieczorki zapoznawcze i pożegnalne, zawody sportowe, a także obowiązkowe propagandowe pogadanki.

– Raj nuworyszy – to dobre określenie dla losów osady po roku 1989?

– Niekoniecznie. Dzisiaj przyjeżdżają tam różni ludzie. W ofercie są piekielnie drogie apartamenty oraz znacznie skromniejsze prywatne kwatery, dostępne dla przeciętnej kieszeni. Współczesna Jurata ma jednak ambicje nie mniejsze od przedwojennej. Też chce być kurortem dla elit, nad zatoką startuje budowa ogromnego, luksusowego hotelu. Stale znikają dawne pensjonaty i bungalowy. Inne czasy, inne gusty i potrzeby.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 4/2019/

Historie i postaci mało znane

ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM JANEM DROZDOWSKIM

– **Ma pan rodzinne tradycje literackie...**

– Mój ojciec, Bohdan Drozdowski, był pisarzem, dzisiaj troszeczkę zapomnianym, choć przez wiele lat prowadził miesięcznik „Poezja”, a jego sztuki teatralne, felietony czy eseje wywoływały sporo szumu. Mogę powiedzieć, że przejąłem od niego zainteresowanie jednym tematem: I Samodzielną Brygadą Spadochronową gen. Stanisława Sosabowskiego. Ojciec napisał powieść „Arnhem. Ciemne światło” (1968). Tak mi ten temat mocno utkwił w głowie, że stał się przedmiotem pracy magisterskiej, jak też pierwszej mojej książki. Mogę powiedzieć, że ojciec mnie zainspirował.



– **Jak pan zbierał materiały do pracy magisterskiej, a potem do książki? Kontaktował się pan z oficerami i żołnierzami, którzy walczyli o Arnhem?**

– To trwało dłuższy czas. Wpierw przygotowałem bibliografię pozycji, jakie ukazały się w literaturze polskiej, ale przede wszystkim w anglosaskiej. Był też wyjazd do Londynu, zbieranie materiałów podczas spotkań w Studium Polski Podziemnej oraz w Instytucie im. gen. Władysława Sikorskiego, rozmowy z ludźmi związanymi z Brygadą, z weteranami. Przede wszystkim z gen. Antonim Rawicz-Szczerbo, ostatnim dowódcą Brygady, który zmarł w wieku 100 lat. Zbieranie materiałów siłą rzeczy nie zakończyło się po wydaniu pierwszej książki „Brygada spod Arnhem”, która ukazała się w 1988 roku. Potem były kolejne spotkania, nowe materiały i w efekcie powstała książka „Sosabowcy”, która ukazała się w 2014 roku.

W tej drugiej pracy poświęconej Brygadzie Spadochronowej spora część materiałów pochodzi wprawdzie z pierwszej książki, ale znaczna część stanowi nowe spojrzenie na ten temat, wynikające z nowych materiałów.

– **Czy nazwa „Sosabowcy” była wcześniej używana, czy pan ją wymyślił?**

– U nas jest to raczej mało używany sposób odnoszenia się do określonej

grupy ludzi. Pomysł przyszedł mi do głowy przy okazji zupełnie innej postaci, literackiej, ale przede wszystkim historycznej, która dzięki ojcu funkcjonowała w mojej świadomości od najmłodszych lat. Był nią pułkownik, później generał, jedna z bardziej interesujących postaci wojny domowej w Rosji, Michał Drozdowski. Oficer armii carskiej, jeden ze stosunkowo nielicznych, którzy nie ulegli demoralizacji i nie rozpięzchli się po pierwszej rewolucji do domów. Chciał walczyć z bolszewizmem i walczył skutecznie. Zmarł jakoby w wyniku ran odniesionych w jednej z bitew. Tytuł wydanego stosunkowo niedawno zbioru wspomnień o nim i o jego żołnierzach brzmi po rosyjsku „Drozdowcy”. I tak przyszło mi do głowy, by zastosować ów niezwykle zgrabny rusycyzm i o ludziach gen. Sosabowskiego mówić „Sosabowcy”. Taka była kolej rzeczy.

– „Drozdowcy” byli regularną formacją wojskową?

– Tak, bo Michał Drozdowski stworzył, można powiedzieć, pułk. Działo się to na froncie rumuńskim na przełomie 1917 i 1918 roku. Kiedy rząd rosyjski rozpadał się, a władze przejęli bolszewicy, on, z grupą oficerów, zebrał żołnierzy, którzy nie ulegli demoralizacji. Zgromadził w sumie około tysiąca ludzi wraz ze sprzętem wszelkiego rodzaju. Stworzoną w ten sposób jednostkę przeprowadził z Rumunii do walczących już z bolszewikami na południu Rosji wojsk Denikina.

– I dołączył do nich?

– Dołączył. Stąd moje zainteresowanie jego walką z bolszewikami i całą skomplikowaną sytuacją, w jakiej się znalazł. Samo przejście przez Ukrainę do Denikina nie należało do łatwych i oczywistych, bo tam już nie było Rosji, tylko Ukraina pod panowaniem austriackim, a na północy niemieckim. Sukces jego przejścia do swoich zależał od wielu czynników, takich jak orientacja w terenie czy skuteczne unikanie zbędnych spotkań z wojskami okupacyjnymi, o szczęściu nie wspominając.

– Opisał pan to również?

– W mojej książce „Meandry wojny Bieszczadom naznaczone” jest spory fragment temu wątkowi poświęcony. To powieść historyczna, bardzo mocno osadzona w realiach.

– Czy jakieś pańskie związki rodzinne z gen. Michałem Drozdowskim udało się panu ustalić?

– Mogę mówić teraz tylko o poszlakach. Sam nie mam zbyt wielu dokumentów. Moja rodzina po ojcu wywodzi się z Litwy i jakoby tam są one przechowywane. Z tego, co mi „od zawsze” wiadomo, gen. Michał Drozdowski wprawdzie urodził się na Ukrainie, jednak jego pradziad wyemigrował właśnie z Litwy trzy pokolenia wcześniej. Rodzinna legenda znajduje potwierdzenie w zbieżności pewnych faktów, miejsc i dat.

– Pana kolejna książka jest o arystokracji...

– Ma tytuł „Zmierzch świata arystokracji”. Popelniliśmy ją razem z moją żoną Marią. Mogę powiedzieć, że powstała właściwie dzięki jej inspiracji. Materiały, czyli głównie wywiady z bohaterami, były nagrywane w latach osiemdziesiątych w Polsce i w Anglii, ale potem przez ćwierć wieku leżały sobie uśpione w kasetach. Dopiero żona zmobilizowała mnie do przekształcenia ich w książkę.

– Dlaczego podjął się pan zebrania tych nagrań?

– Rozmowy nagrywałem, by wykorzystać je w jakiejś formie publikacji. Niestety różne zdarzenia sprawiły, że pomysł długo – jak widać – czekał na realizację. Obecnie wszystkie nagrania, skopiowane i zremasterowane, są przechowywane w Archiwum Historii Mówionej w warszawskim Domu Spotkań z Historią. Dzięki temu rozmowy rejestrowane na różnej jakości magnetofonach zostały wyczyszczone i obecnie są zachowane w formie cyfrowej. Złożyłem je w Archiwum jeszcze przed powstaniem książki, nie wierząc, że kiedykolwiek wrócę do tego tematu. Ale szczęśliwie nasza książka powstała. Dodam jeszcze, że do kilku bohaterów dotarliśmy już razem z żoną pod koniec pracy nad nią, dzięki czemu uzupełniliśmy listę o kilka znaczących postaci.

– Czyli była to państwa własna inicjatywa. Bez dotacji czy grantów?

– Nie, nie! To własna inicjatywa, własne nagrania, wyjazdy finansowane z własnej kieszeni. Moja żona twierdzi, że gdyby jeszcze poszperać w naszym archiwum, to można by znaleźć wiele wywiadów, jakie przeprowadzaliśmy także dla własnej przyjemności i potrzeby. I kilka książek można by z tego stworzyć. I stworzymy.

– „Zmierzch świata arystokracji” zawiera relacje odnoszące się do pierwszych lat II wojny światowej, ale zebrali też państwo materiał do kontynuacji...

– Oczywiście mamy również ciąg dalszy wspomnień. Tom pierwszy obejmuje lata od 1939 roku do czerwca 1941 roku, czyli do napaści Niemiec na Związek Sowiecki. A tom drugi sięga 1945 roku. Takie było założenie, choć niektórzy rozmówcy wybiegają poza ów graniczny rok. Staramy się jednak zachować konsekwencję. Inną sprawą jest to, czy pozostaniemy przy podziale na odrębne tomy. Wydarzenia po 1945 roku to już ocean kolejnych tematów podejmowanych w wielu książkach. Dlatego zatrzymamy się na 1945 roku.

– **Do ilu osób udało się dotrzeć?**

– W sumie jest około 30 osób. To są nazwiska podręcznikowe: Radziwiłłowie, Potoccy, Czartoryscy, Lubomirscy, Tyszkiewiczowie, Tarnowscy, Sapiehowie. Potomkowie rodów, które tworzyły polską historię.

– **Jak pan do nich trafił?**

– Po nitce do kłębka. Nie pamiętam, kto był pierwszą osobą, z którą się skontaktowałem i jak do tego doszło, ale potem polecano mi kolejnym. Zaczęło się to na początku stanu wojennego i bardzo pociągało mnie poznanie dziejów „politycznie niewygodnych”. Do tego czasu ukazywały się bardzo szczątkowe informacje o życiu naszej arystokracji przed i po wojnie, a to wymagało, według mnie, znacznego rozszerzenia. Głosy w różnych dyskusjach wskazywały na ogromny wpływ dezinformacji i zakłamania propagandowego. Książka miała powstać również dlatego, aby to odkłamać.

– **Inny temat zawarł pan w powieści „Meandry wojny Bieszczadom naznaczone”...**

– Sporo czasu mieszkamy z żoną w Bieszczadach. Niedaleko tego naszego ulubionego miejsca na Ziemi znajduje się cmentarz żołnierzy z I wojny światowej. Najstarsi sąsiedzi zaś nieraz przywoływali urywkowe wspomnienia swoich dziadków. To sprawiło, że zacząłem się interesować wspomnianym okresem historii i tym, co się wówczas działo w naszych stronach. Powolutku rozszerzałem swoją wiedzę na podstawie m.in. pamiętników uczestników wydarzeń, w tym wspomnień i opracowań gen. Denikina, który w Bieszczadach dowodził IV „Żelazną” Brygadą. Jego żołnierze na „chwilę” zajęli

nawet kilka słowackich miejscowości. Wojska rosyjskie nie dały jednak rady utrzymać się po węgierskiej stronie Karpat i musiały się wycofać. Denikin był jedną z tych postaci, które odcisnęły swoje piętno na historii frontu wschodniego, a potem wojny domowej w Rosji. On niejako zainspirował mnie do ukazania mało znanej historii okolic, w których mieszkamy. Miałem nadzieję, że przybliżenie ich czytelnikowi w formie powieści będzie łatwiejsze. To kolejny mało znany wątek z historii I wojny światowej. Innym są dzieje polskich formacji wojskowych w Rosji. Wszyscy słyszeli o legionach Piłsudskiego, ale mało kto wie o polskich formacjach na Wschodzie, które były znacznie liczniejsze niż legiony Piłsudskiego i też walczyły o Polskę. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, jakie znaczenie miał I Korpus stworzony przez gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego. Dzięki jego wybitnym zdolnościom organizacyjnym i charyzmie przez prawie rok na terenie obecnej Białorusi, w okolicy Bobrujska, istniała namiastka państwa polskiego. Formowano polskie wojsko walczące z bolszewikami, funkcjonowała polska administracja. Obchodzono polskie święta. Później, z nadejściem wiosny 1918 roku, pod naciskiem Niemców przystąpiono do rozwiązywania Korpusu. Dzięki zdolnościom dyplomatycznym generała nie doszło na szczęście do jatki. Żołnierze Korpusu zostali przewiezieni przez Niemców do Królestwa Polskiego. Kilka miesięcy później, w listopadzie 1918 roku, ci sami żołnierze Niemców rozbrajali.

– Czy planuje pan dalej zajmować się wątkami bieszczadzskimi?

– W zamyśle mam coś w rodzaju monografii naszego domu. Jest to położony nieopodal Leska dworek, który swego czasu był ośrodkiem majątku, jaki istniał tu od XV wieku. Należał m.in. do potężnych w Bieszczadach Balów, potem do Lubomirskich i Fredrów. Monografia będzie oczywiście mocno związana z okolicą – Cisna, Sanok, Przemyśl – i siłą rzeczy zahaczy o wszystko, co się tam działo. A w Bieszczadach działo się bardzo wiele – od łupieżczych najazdów rozbójników węgierskich i konfederacji barskiej po czasy I i II wojny światowej i późniejszych ludzkich dramatów.

– Pan jest również tłumaczem?

– Przez pewien czas rzeczywiście sporo tłumaczyłem, ale doszedłem do wniosku, że znacznie bardziej interesuje mnie pisanie własnych tekstów niż tłumaczenie, czyli przetwarzanie cudzych.

– Co obejmuje pana dorobek translatorski?

– Jest całkiem spory. Tłumaczyłem wiele tytułów dla ówczesnego wydawnictwa Jacka Santorskiego, takich jak „48 praw władzy” Roberta Greena czy „Toksyczne namiętności” Susan Forward, co siłą rzeczy obejmowało m.in. psychologię i psychologię biznesu. Ale nie tylko, bo dla innego wydawnictwa przetłumaczyłem m.in. wspomnienia ostatniego cesarza Chin zatytułowane „Obywatel cesarz”. Tłumaczyłem też listy dialogowe do filmów dla Telewizji Polskiej. To były dziwne czasy i dziwne tłumaczenia.

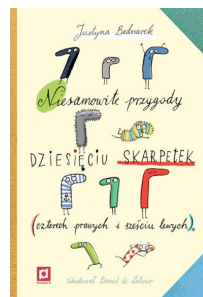
ROZMAWIĄŁ PIOTR DOBROŁĘCKI

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 4/2019/

Lubię „unieśmiertelnić” fajne kawałki życia

ROZMOWA Z JUSTYNĄ BEDNAREK

– W 2015 roku rozmawiała pani z Małgorzatą Stuch o „Niesamowitych przygodach dziesięciu skarpetek” jako swojej pierwszej prawdziwej książce. Dzisiaj przygody czterech prawych i sześciu lewych skarpetek zajmują poczytne miejsce w kanonie lektur szkolnych, a w pani dorobku w ciągu zaledwie kilku lat pojawiło się mnóstwo nowych tytułów. Wena twórcza pani nie opuszcza?



– Zanim zaczęłam pisać książki, całymi latami marzyłam o tym, żeby je pisać. Wiele razy zaczynałam, potem te urwane kawałki lądowały w szufladzie. Niektóre pomysły były nawet nienajgorsze – dlatego, kiedy już odważyłam się zająć literaturą na poważnie, powyciągałam z biurka te notatki i dokończyłam stare historie. Pewnie udało mi się zrobić dość dużo w krótkim czasie.

– Dotarłam do informacji, że ma pani na swoim autorskim koncie 26 tytułów. Czy jest to aktualna liczba?

– Chyba nie. Wydaje mi się, że w tej chwili jest 31 tytułów, proszę jednak wziąć pod uwagę, że książką nazywa się i króciutką czytankę, i tomik, który ma sporo tekstu. Tych „cieniasów” w ogólnej liczbie jest dużo.

– Nagroda Literacka m.st. Warszawy w kategorii „literatura dziecięca – tekst i ilustracje” za książkę „Niesamowite przygody dziesięciu skarpetek” (2016 r.), ta sama książka została Najlepszą Książką Dziecięcą 2015 w konkursie „Przecinek i Kropka”. Zadebiutowała pani i od razu została dostrzeżona. Taki sukces na pewno dodaje skrzydeł i motywuje do dalszej pracy?

– Na pewno nagrody mi pomogły – bo wiele osób dowiedziało się, że piszę. Kilku wydawców zaproponowało mi współpracę, i to też była moja korzyść.

Jednak, tak naprawdę, ogarnia mnie lęk, że już nigdy nie uda mi się „doskoczyć do poziomu skarpetek”. Tak więc nie tylko motywacja, ale i błąd strach.

– **Dziewięcioletni Michał, mój bratanek, rozczytywał się w przygodach skarpetek w czasie ferii zimowych, które spędzał u babci. Oboje byli zachwyceni, co należy docenić zwłaszcza w przypadku dzieci, bo nie wszystkie lektury zyskują ich życzliwe przyjęcie. Mali odbiorcy wydają się bardziej wymagający niż dorośli. Zapytam przewrotnie: czy docierają do pani negatywne opinie od dziecięcych czytelników?**

– Nie docierają, co nie znaczy, że ich nie ma. Pewnie są – nie każdemu musi się podobać moje poczucie humoru czy pomysły. Tyle że jeśli jestem zapraszana na spotkanie autorskie, to tam, gdzie moje książki się podobały – trudno żeby zapraszali nieulubianego pisarza, prawda? Tak więc, póki co, mam dość optymistyczną wizję odbioru własnej twórczości.

– **Z relacji córki i jej koleżanek wiem, że świetna jest „Babcocha”. Czytelniczym zainteresowaniem cieszą się bajki „W to mi graj” i dziennik „Tropem jeźdźca na słońcu”. „Pięć sprytnych kun” królowało w lubuskich Dyskusyjnych Klubach Książki. I nie jest to takie sobie bajanie. W muzycznych bajkach poznajemy słynnych kompozytorów. Śledząc perypetie sympatycznego naukowca obarczonego rodziną, zgłębiamy cechy dziennika jako gatunku literackiego, a sprytnie kuny kuszą, by w praktyce skorzystać z rymowanych przepisów kulinarnych. Nauka przez zabawę jest pani bliska?**

– Szczerze? Pisząc, raczej nie myślę o nauce. Myślę o zabawie. Samą mnie bawią różne rzeczy, pisząc – sięgam po tematy, które dla mnie samej są ciekawe, ważne. Jeśli przy okazji ktoś się czegoś dowie, to świetnie. Ale nie jest to moja główna motywacja w czasie pisania.

– **„Babcocha” z ilustracjami Daniela de Latoura została nominowana w konkursie „Przecinek i Kropka” na Najlepszą Książkę Dziecięcą 2018 roku w kategorii wiekowej 6-8 lat oraz w konkursie Książka Roku 2018 serwisu Lubimyczytać.pl w kategorii literatura dziecięca. Książka „Pan Kardan i przygoda z vetustasem” została uhonorowana 25.**

Ogólnopolską Nagrodą Literacką im. Kornela Makuszyńskiego i statuetką Koziołka Matołka. Grono zagorzałych czytelników oraz nominacje i laury w ogólnopolskich konkursach chyba potęgują satysfakcję?

– Owszem, jest to bardzo przyjemne.

– W 2018 roku ukazały się dwa tytuły dla dorosłych odbiorców: „Ogród Zuzanny” i „Okruchy dobra”. Sygnowane są przez dwie autorki. Pisanie w duecie jest łatwiejsze?

– Poprawię panią: trzy tytuły, bo „Ogród Zuzanny” miał dwie części. Właśnie skończyłyśmy z Jagną Kaczanowską, współautorką powieści dla dorosłych, pisać część trzecią i lada moment zabieramy się za nowy cykl. Nie powiedziałabym, że pisanie w duecie jest łatwiejsze, bo czasem się sprzeczamy, ale na pewno jest szybsze. No i każda z nas wnosi kawałek siebie, więc – mamy taką nadzieję – nasze opowieści są bogatsze.

– Czy Zuzanna ma w sobie coś z Justyny Bednarek? Ogrody, które projektuje bohaterka i mowa roślin... Nadal studiuje pani zielarstwo?

– Zuzanna to postać Jagny Kaczanowskiej i ja nie jestem do niej podobna ani trochę. Zielarstwa już nie studiuję, życiowe komplikacje sprawiły, że musiałam przerwać kurs. Za to czytam w cichości czterech ścian i sadzę własne ziółka w ogródku.

– Bohaterowie pani książek mają pierwowzory w rzeczywistości?

– Większość ma. Bardzo lubię wyobrażać sobie konkretnych ludzi pod bajkowym kostiumem. Robię to niezależnie od tego, czy piszę dla dzieci, czy dla dorosłych. W ogóle, wkładam mnóstwo prawdziwych wydarzeń do swoich opowieści. Nawet tych, których bohaterami są skarpety.

– Jak reagują osoby z pani otoczenia, kiedy odnajdują siebie na kartach opowieści? Wyrażają wcześniej zgodę, czy działa pani z zaskoczenia? Akceptują tekst przed wydrukiem? A może czytając, nie identyfikują się ze swoim literackim odbiciem?

– Nie identyfikują się. To są zabawy raczej na mój osobisty użytek. Wtedy praca jest zabawniejsza.

– Powiedziała pani kiedyś, że pomysł na „Babcochę”, jak wszystkie inne, ulepiła pani z życia. Czy taka strategia ma głębszy podtekst: utrwalenia pewnych zdarzeń, postaci, zapisania, by ważne momenty pozostały na stronach opowieści?

– Jest dokładnie tak, jak pani powiedziała: lubię „unieśmiertelnić” w książce fajne kawałki życia.

– Publikacje pani autorstwa ukazały się także w serii „Czytam sobie” wydawnictwa Egmont. Wspiera pani naukę czytania, by dzieci jak najszybciej mogły oddawać się lekturze samodzielnie, z przyjemnością. Towarzyszy pani poczucie dobrze spełnionego zadania w tym obszarze?

– Nigdy nie towarzyszy mi poczucie dobrze spełnionego zadania, zawsze – gdy już książka się ukáže – coś bym w niej jeszcze poprawiła. No trudno, tak już mam.

– W wywiadach podkreśla pani rolę oprawy graficznej, ilustracji. Pani zdaniem walory edytorskie są ważne dla dzieci, czy również dla dorosłych?

– One są ważne dla wszystkich, natomiast jeśli chodzi o dzieci, spełniają rolę nie do przecenienia. Bywa, że obcowanie z piękną ilustracją to pierwszy kontakt małego człowieka ze sztuką. Pierwszy krok na drodze edukacji estetycznej.

– Wydaje się, że udany duet tworzy pani z Danielem de Latourem. To pani ulubiony ilustrator?

– Daniela znam od czasów szkolnych i uważam, że bardzo do siebie pasujemy: mamy podobne poczucie humoru, podobny świat skojarzeń. Niektóre wymyślane przeze mnie historie po prostu nie mogą się obyć bez kreski Daniela. Jednak ulubionych ilustratorów mam znacznie więcej i mam nadzieję, że z każdym z nich uda mi się wydać książkę.

– Dużo pani pisze i zapewne dużo czyta. Ma pani domową bibliotekę? Może jakiś klucz, według którego gromadzony jest prywatny księgozbiór... Proszę opowiedzieć o książkach i autorach z prywatnej biblioteki.

– Muszę panią rozczarować. Im więcej piszę, tym większe mam zaległości czytelnicze. A to dlatego, że gdy już odejdę od komputera, to odpoczywam, absorbując inny zmysł niż wzrok. Dużo słucham muzyki. Uwielbiam muzykę etno i muzykę dawną, a także dobrą elektronikę, która opowiada historie tak plastycznie, jakby to była sztuka wizualna. Owszem, zdarza mi się gromadzić książki tematami. Na przykład mam sporą kolekcję książek o rękodziele ludowym, sporą biblioteczkę zielarską. Natomiast beletrystykę czytam i puszczam dalej w świat. Mało jest książek, które mam ochotę zatrzymać na zawsze. Nie oddaję poezji, której mam sporo, bo do tego na pewno będę wracać.

Czy książki przez panią napisane mają wyodrębnioną półkę? Ekspozuje pani w domu swój dorobek twórczy?

– Nie ekspozuję i ciągle dokupuję, bo jak już zbiorę wszystkie, to natychmiast rozdaję. Mam w domu straszny bałagan i te książki – moje i cudze – leżą wszędzie stosami, w wielkim nieporządku.

– Jest pani mamą Bartka, Antka i Basi. Czy każde dziecko ma swoją biblioteczkę z ulubionymi książkami? A może w domu pisarki Justyny Bednarek wydzielony został specjalny pokój – czytelnia, gdzie wszystkie ściany zabudowane są regałami z książkami całej rodziny?

– Znowu będzie rozczarowanie. Nie ma czegoś takiego. Zamiast pokoju-biblioteki mamy korytarz-bibliotekę i tam lądują książki ¾ naszej rodziny. Tylko ¼ rodziny, czyli mój syn Bartłomiej, ma swoją potężną bibliotekę, w której gromadzi wszystko, co mu się kiedykolwiek spodobało. Są to przede wszystkim ambitne komiksy i fantastyka.

– Niesamowite przygody skarpetek mają już ciąg dalszy, w przygotowaniu jest trzeci tom „Ogrodu Zuzanny”. Czy ma pani zaplanowaną konkretną ilość publikacji na rok 2019? Zagadnienia, które chciałaby pani przybliżyć młodszym i starszym odbiorcom?

– Wyjdzie trzecia Zuzanna, pierwszy tom nowego cyklu dla dorosłych, trzecie skarpetki, ważna dla mnie książeczka zrobiona z Pawłem Pawlakiem, czyli „Pan Stanisław odlatuje”, trzeci i czwarty tom książeczek dla przedszkolaków o Dusi i Psinku-Świnku, jakaś książeczka w serii „Czytam sobie” i... to chyba wszystko?

– Na koniec podsumowanie: w czym pani zdaniem tkwi moc literatury i dlaczego warto czytać?

– Literatura pozwala nam przeżywać wydarzenia, w których nie mielibyśmy szansy uczestniczyć, gdyby nie książki. Pomaga nam marzyć i radzić sobie z samotnością, pomaga zapominać o tym, co złe i tworzyć wizje dobrego. Uwrażliwia nas na piękno, pomaga zaglądać do głów innych ludzi – i tak dalej, i tak dalej. Umberto Eco powiedział to skrótem: kto czyta, żyje podwójnie. Trudno o lepsze podsumowanie.

ROZMAWIAŁA MONIKA SIMONJETZ

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 5/2019/

Niedoszły noblista

ROZMOWA Z ANNĄ MATEJĄ

– Czemu Napoleon Cybulski jest zapomniany?

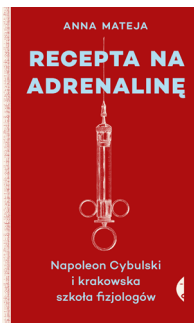
– A czy pamiętalibyśmy o Marii Skłodowskiej-Curie, gdyby nie otrzymała Nagrody Nobla? Obawiam się, że nie... W mojej książce przypominam zresztą nieudane starania Skłodowskiej – wówczas młodej uczoniej po studiach na Sorbonie, ukończonych ze znakomitymi wynikami – o objęcie posady asystentki w Katedrze Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Powody, dla których Cybulski nie jest tak pamiętany, jak na to by zasługiwał z racji swoich odkryć i zaangażowania społecznego, są wyłącznie moimi spekulacjami. Być może stało się tak dlatego, że przystępny opis, np. badań nad nadnerczami, by poznać substancje warunkujące życie, albo nad zasadami działania mózgu są trudne do przystępnego przedstawienia (gdy pisałam książkę, przekonałam się o tym nie raz), a bez tego wysiłku nie sposób spopularyzować tego rodzaju dokonania. A może powodem jest rodzaj socjalizacji, jaki otrzymujemy w polskiej szkole – krew przelana na barykadach jest bohaterstwem, a jej ofiara nie powinna być bezimienna, natomiast życie spędzone na stawianiu teorii naukowych i ich żmudnej weryfikacji w licznych eksperymentach wydaje się mało atrakcyjne, choć w istocie takie nie jest.

– Kilkakrotnie kandydował do Nobla...

– Widać inne kandydatury były bardziej przekonujące. W latach największej aktywności naukowej Cybulskiego Nobla otrzymali tacy uczeni jak Iwan Pawłow czy Robert Koch. Ewentualne laury (które przecież wcale nie muszą się pojawić, mimo nawet bezdyskusyjnych osiągnięć) to za mało, by przetrwać trudny czas niezrozumienia, ciężkiej pracy czy problemów finansowych.

– Najbliższym jego współpracownikiem był Odo Bujwid?

– Bujwid i Cybulski pracowali w różnych dziedzinach naukowych (pierwszy był bakteriologiem, drugi – fizjologiem), więc nie mogli wspólnie prowadzić



badania naukowych. Wzajemnie się cenili, a Cybulski, który, jak się wydaje, miał radar ustawiony na wykrywanie nieprzeciętnych umysłów naukowych, zrobił wiele, aby Bujwid – uczeń Kocha i Pasteura, założyciel pierwszej na ziemiach polskich stacji szczepień przeciwko wściekliznie – zostawił Warszawę i rozpoczął pracę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zostali przyjaciółmi. Ale współpracownikami też. Połączyli siły, realizując inicjatywy, których celem, ogólnie rzecz ujmując, było uczynienie ze świata lepszego miejsca do życia.

– Służyć temu miała m.in. emancypacja pań?

– Realizowana m.in. przez poszerzanie możliwości ich kształcenia się była uważana za zamach na ustrój społeczny. Cybulski niestrudzenie tłumaczył, że system, w jakim żyjemy, nie jest ani „przyrodzony”, ani „wiekami uświęcony”. Chęć zdobycia wykształcenia to nie pęd do zaszczytów, bo nauka i bez tych walorów jest pociągająca. Dla każdego, bez względu na płeć. Dołożył więc starań, wraz z gronem przyjaciół, by w Krakowie powstało pierwsze gimnazjum żeńskie, które kończyło się egzaminem dojrzałości. A następnie przekonywał najbardziej opornych, że należy dopuścić kobiety do studiów i pracy naukowej. Pierwsze studentki pojawiły się w Krakowie w 1897 roku, na Wydziale Lekarskim trzy lata później.

– Musiał dorabiać jako dentysta?

– Miał rodzinę, na świat przychodziły kolejne dzieci, więc chciał im zapewnić w miarę dostatnie życie. Poza tym to nie było wyłącznie „dorabianie” – Cybulski przyczynił się do profesjonalizacji tych usług (starał się o powołanie przy uczelni instytutu kształcącego takich specjalistów, jeden z jego uczniów badał zębinę). W prowadzeniu prywatnej praktyki dostrzegam przejaw jego osobistej zaradności. Podejmuje ją przecież w tzw. wolnym czasie, mimo jednocześnie prowadzonej intensywnej działalności naukowej. Podziwiam pojemność jego czasu i niespożyty zasób sił.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 5/2019/

Gwiazda Dawida na Syberii

ROZMOWA Z AGATĄ MAKSIMOWSKĄ

– **Żydowski Obwód Autonomiczny zrazu zlokalizowano na Krymie. Bez powodzenia.**

– Powstały w 1924 roku radziecki „Komitet do spraw osiedlania pracujących Żydów na roli” miał plany osiedlenia w koloniach rolniczych minimum pół miliona Żydów. Na Krymie było ponad 80 żydowskich kolonii rolniczych i komun. Osiedliło się tam ponad 50 tys. Żydów. Niestety, okazało się, że ten półwysep był zbyt gęsto zasiedlony, a miejscowa ludność zaczęła niechętnie odnosić się do nowych osadników. Dlatego projekt żydowskiej autonomicznej jednostki na Krymie nie doszedł do skutku.

– **Czemu władze radzieckie postanowiły skoncentrować ludność żydowską akurat na Syberii? Przecież gros przyszłych „lokatorów” mieszkała po zachodniej stronie Uralu...**

– W swoim wyborze władze radzieckie kierowały się przede wszystkim specyfiką danego regionu. Na dobre warunki dla osadnictwa na Dalekim Wschodzie zwrócił uwagę profesor W.R. Williams. Argumentował, że w dolinie Amuru znajdują się żyzne gleby, nadające się pod uprawę. Terytorium było prawie niezamieszkałe, co mogło dawać nadzieję na bezkonfliktowe przeprowadzenie akcji osadniczej. W 1927 roku specjalna ekspedycja naukowa, złożona z geografów, ekonomistów, klimatologów, odwiedziła obszar w dorzeczu rzek Biry i Bidżanu. Przyjmując rekomendacje zawarte w jej raporcie, Prezydium Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRR wydało 28 marca 1928 roku postanowienie o przeznaczeniu regionu birobotyńskiego na osadnictwo przez pracujących Żydów.

– **Z jakim odzewem spotkał się ów pomysł?**

– Prowadzono intensywną akcję agitacyjną na zachodzie ZSRR. Organizowano spotkania, potencjalnym chętnym rozdawano broszury. Agitatorzy



obiecywali bezpłatny przejazd, pracę i mieszkanie na miejscu. Dla wielu zubożałych mieszkańców sztetli była to szansa na odmianę swojego losu. Pierwsi osadnicy przybyli już w maju 1928 roku. Pociąg z Moskwy jechał prawie miesiąc. Niestety do 1933 roku z 20 tys. przybyłych aż 11,5 tys. zdecydowało się powrócić do miejsc, z których przyjechali. Warunki klimatyczne okazały się zbyt trudne, a akcja osadnicza niewystarczająco przygotowana. Wrócić nie było jednak łatwo – biletu powrotnego osadnikom nie finansowano.

– Dlaczego nie udało się przemienić przybyłych w rolników ani oderwać od wiary i tradycji?

– W Birobidżanie do 1939 roku zaledwie 3 tys. żydowskich przybyszów osiadło na roli. Osadnikom trudno było przyzwyczaić się do nowego zajęcia, brakowało sprzętu i wykwalifikowanych specjalistów po szkołach rolniczych. Szybko wyszło na jaw, że kolonie rolnicze nie są opłacalne. Plan pięcioletni – ogłoszony w 1928 roku – zakładał uderzeniowy rozwój kraju: przymusową kolektywizację i szybką industrializację. Większość przybyłych znalazła zatrudnienie w przemyśle.

Żydzi w Birobidżanie zachowali swoją tożsamość, ale lata polityki ateizacyjnej i przejmowane wzorce kultury radzieckiej sprawiły, że bardzo niewielu ludzi było wierzących. Żydowski mieszkańcy Obwodu często nie mieli też nawet ogólnej wiedzy o swej religii. Dopiero kilkanaście lat temu w Birobidżanie pojawił się rabin i synagoga, a judaizm zaczął się odradzać.

– Birobidżanu nie ominęły represje...

– Pierwsze przypadają na lata 1937/38. Wówczas ofiarami stały się osoby podejrzewane o trockizm, bycie wrogiem ludu, szpiegostwo. W latach 1949-1953 czystki spotykają wyłącznie Żydów. Ma to związek z ogólnoradziecką antysemitką nagonką i prześladowaniami. W Birobidżanie skazani zostają przewodniczący Komitetu Obwodowego Partii, redaktorzy lokalnych gazet i działacze partyjni. Prześladowani są również żydowscy pisarze i poeci. W Żydowskim Obwodzie Autonomicznym zamknięto wówczas teatr żydowski, dwa czasopisma literackie, szkołę w języku jidysz, zlikwidowano wystawę poświęconą tematyce żydowskiej w miejscowym muzeum. Na masową skalę niszczone książki w języku jidysz.

– Kim byli subotnicy?

– Na terenie dzisiejszej Rosji już w XV wieku zanotowano istnienie grup chrześcijan, którzy przyjmowali niektóre tradycje od wyznawców judaizmu. Odrzucali oni Trójcę Świętą, boskość Jezusa, nie oddawali również czci świętym, relikwiom i ikonom, przyznawali pierwszeństwo Staremu Testamentowi. Późniejsza nazwa tej sekty bierze się stąd, że świętowali oni sobotę zamiast niedzieli. Subotników w carskiej Rosji prześladowano. Byli objęci zakazem sprawowania kultu, spotykali się potajemnie. Zawsze starali się jednak utrzymywać kontakt ze wspólnotami żydowskimi. Po nastaniu władzy radzieckiej niektórzy z nich zainteresowali się planem utworzenia żydowskiej autonomicznej jednostki. Już na początku istnienia Birobidżanu przyjechała tam grupa subotników. W latach dziewięćdziesiątych ich wspólnota zaczęła powoli zanikać.

– Co z idei Birobidżanu pozostało do dziś?

– Obwód nadal ma w swojej nazwie „autonomiczny” i „żydowski”, choć wielu mówi, że nie jest ani autonomiczny, ani żydowski. Według oficjalnych danych w Birobidżanie mieszka około 1500 osób narodowości żydowskiej, czyli około 1 proc. ogólnej liczby mieszkańców Obwodu. W latach dziewięćdziesiątych wiele osób wyjechało do Izraela, który oferował korzystny program dla repatriantów. Dzisiaj władze Obwodu starają się rozwijać kulturę żydowską. Trudno powiedzieć, na ile jest ona autentyczna, a na ile ma być jedynie turystyczną atrakcją. W Birobidżanie istnieje jednak żydowska gmina religijna i synagoga, a także świecka szkoła oferująca naukę jidysz i hebrajskiego.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 5/2019/

Dla niektórych wciąż jest bohaterem

ROZMOWA Z JOANNĄ SZYNDLER

– **Ucieszyła się pani, jak zobaczyła swoją książkę?**
– Bardzo! Debiut pewnie każdy bardzo przeżywa. Czekałam na ten moment.

– **A długo pani czekała?**

– Pracowałam nad książką dwa lata...

– **„Kuba – Miami. Ucieczki i powroty” – sam tytuł wskazuje, o czym jest ta książka, choć może nie do końca. Książka jest o ucieczkach Kubańczyków do Stanów Zjednoczonych bardzo, bardzo różnymi szlakami wbrew pozorom. To nie jest tak na wprost, przez morze wyłącznie, ale również przez inne państwa.**

– Ścieżki są bardzo różne. Ta przez morze jest bardzo popularna, ponieważ Kuba od Florydy oddziela tylko i aż dziewięćdziesiąt mil, więc Kubańczycy przez wiele, wiele lat pływali na tratwach, łódkach, na pontonach. Robili te tratwy z czegokolwiek, ze styropianu, z drewna, dętek od traktorów i płynęli przez morze. Ale to nie jest jedyna ścieżka. W ostatnich latach bardzo popularna była trasa przez Ekwador, ponieważ ten kraj nie wymaga od Kubańczyków wiz. Sprzedawali więc domy, samochody, kupowali bilet do Ekwadoru...

– **Mogli sobie tak do Ekwadoru pojechać?**

– Tak, od paru lat nie ma już na Kubie potrzeby pozwolenia na wyjazd. Wcześniej trzeba było mieć takie pozwolenie, choć można je było otrzymać dość łatwo. Oczywiście nie dotyczyło to niektórych zawodów, objętych szczególną ochroną – lekarz, żołnierz, nauczyciel. Dziś problemem jest przede wszystkim kupienie biletu lotniczego albo dostanie wizy do kraju, do którego chciałoby się wyjechać.



– **Ten problem wynika z niskich zarobków Kubańczyków?**

– Tak. Kubańczycy wciąż zarabiają dwadzieścia-trzydzieści dolarów miesięcznie. To pensje, które nie pozwalają na przeżycie, na jedzenie, a co dopiero mówić o bilecie lotniczym. Chyba że ktoś ma rodzinę w innym państwie, która mu kupi bilet.

– **Trochę pani koloryzuje. Przeczytałem pani książkę. Siedzi pani sobie na centralnym placu Hawany, chce Pani internetu – nie ma, ale przecież można mieć. Trzeba tylko zapłacić... Więc trochę zarabiają...**

– No tak, oczywiście. Ta oficjalna pensja, dwadzieścia-trzydzieści dolarów, to pensja na państwowej posiadzie. Nie ma wielkiego znaczenia, czy się pracuje w szatni, czy jako kierownik, chyba że bardzo wysoko postawiony, wszędzie płace są podobne. Trzeba więc kombinować. Wielu Kubańczyków szuka pracy w turystyce... Mój znajomy pracujący w Instytucie Biotechnologii robi jogurty i sprzedaje po sąsiadach, żeby trochę dorobić. Czyli tak, jak pan wspominał, obracają się w szarej strefie. Odsprzedają coś, kombinują...

– **Jest jedna rzecz, która mnie bardzo dziwi na Kubie. Mój przyjaciel, Krzysztof Freisler, uciekał z PRL-u, złapali go, dostał bodaj siedem lat więzienia, a z Kuby ucieka się, łapią, przywożą z powrotem i wypuszczają. I znów kolejna ucieczka. Od kiedy tak jest, że oni wypuszczają i nie ma konsekwencji tych ucieczek? Wydaje się, że to jest zasadnicza różnica między realnym socjalizmem w Europie Wschodniej a Kubą.**

– Rzeczywiście, nie spotkałam się z taką opowieścią, aby ktoś trafił do więzienia tylko za ucieczkę, chyba że był to żołnierz, który zdezerterował i był dodatkowy powód, by go wsadzić. Ale te ucieczki są wyciągane, można na przykład za to stracić pracę. Jeżeli ktoś w inny sposób sprawia problemy, może to być dodatkowym powodem, aby trafić do aresztu. Wydaje mi się, że sześćdziesiąt lat rewolucji i ta masa ludzi, która próbowała wyjechać na różne sposoby, i to przecież z wyspy, czyli z miejsca, w którym nie można upilnować granicy...

– **Wejść pani w słowo. Pani opisuje w tej książce przypadek, co tu kryć, morderstwa, kiedy zdesperowani Kubańczycy porwali holownik, a inne holowniki go staranowały, zabijając ludzi. To było wyraźne polecenie.**

Przecież to nie marynarze z tamtych jednostek chcieli zabijać rodaków i zatopić tamten statek.

– To prawda. Śledztwa nie było i oficjalna wersja jest taka, że próbowano ten holownik ratować, ale on był stary i zatonął na morzu. Wszyscy świadkowie jednak, wszyscy, którzy przeżyli, opowiadają co innego. Że wypłynęto za nimi, trzy jednostki dużo potężniejsze uderzały w tamtą jednostkę, polewano ich wodą i doprowadzono do zatonięcia. Dopiero kiedy pojawił się statek pod obcą banderą, zaprzestano zatapiania i zaczęto tych ludzi wyławiać. Nikt do końca nie wie, ilu Kubańczyków zginęło na morzu. Niektórym udało się dopłynąć, część zawróciła straż kubańska, innych zatrzymali na morzu Amerykanie.

– Słynne prawo ziemi, polegające na tym, że jeżeli ktoś postawił stopę na amerykańskiej ziemi, to już go nie odsyłano...

– ...to już był bezpieczny. A jeżeli go złapano na morzu, to odstawiano go na Kubę. To prawo, które stosowano tylko w odniesieniu do Kubańczyków, nazywano prawem suchej i mokrej stopy. Jeden z bohaterów mojej książki próbował tak sześć razy i nigdy mu się nie udało, nigdy nie dopłynął do Stanów.

– Jak liczna jest diaspora kubańska w USA?

– W samym Miami żyje około miliona Kubańczyków, a na wyspie jedenaście milionów.

– I większość tych emigrantów jest źle nastawiona do władz kubańskich. Pani przeprowadziła rozmowy z ludźmi, którzy mocno się zaangażowali w działalność opozycyjną wobec komunistycznego reżimu.

– Tak, i co ciekawe, to zależy też od tego, kiedy kto emigrował. Ta opozycyjność nie jest żelazną zasadą. W latach sześćdziesiątych/siedemdziesiątych emigrowali przede wszystkim przeciwnicy rewolucji albo ci, którzy na początku w nią wierzyli, ale szybko się zorientowali, w którą stronę idą te zmiany. Tak zwana stara emigracja – to są najwięksi przeciwnicy rewolucji, braci Castro, często ci ludzie mówią, że nie wrócą na Kubę, dopóki nie będzie ona wolna, i mimo że loty między Stanami a Kubą są już możliwe, to w ogóle tam nie latają. Ale późniejsza emigracja to często ludzie, którzy

nie byli zaangażowani w działalność polityczną, chociaż wiele osób mówi, że emigracja z powodów ekonomicznych to też jest polityka, bo ona przecież kształtuje ekonomię kraju. Wiele osób, zwłaszcza młodych, twierdzi, że ma dosyć tej codzienności, braku perspektyw, braku możliwości pracy w zawodzie, nie chcą już zarabiać trzydziestu dolarów, chcą czegoś więcej od życia. Rzadziej już mówią o wolności, o wolności słowa, o dostępie do informacji. Mieli po prostu dość codziennego wysiłku, aby godnie przeżyć.

– Ludzie z Kuby uciekają, ale też na Kubę wracają, co jest też zadziwiające. To przecież nie są jednostkowe przypadki.

– Myślę, że to jest zjawisko uniwersalne: wiele osób wyjeżdżając ze swojego kraju do kraju zamożniejszego, gdzie żyje się na wyższym poziomie, ma bardzo duże nadzieje. Przysłowiowy „amerykański sen”, a te historie kubańskie, w Stanach czy gdziekolwiek indziej, są przecież różne. Nie wszystkim się udaje...

– Zaczynają od Ubera?

– Często. To jest najprostsza praca. Wożą ludzi. Całe Miami jest latynoskie i hiszpańskojęzyczne. Nie wszystkim się udaje to życie zorganizować, ale też kultura jest inna.

– Ale pani opisuje też przypadki ludzi, którym się powiodło, a jednak wracają, bo stać ich na przykład, aby odkupić dom, który kiedyś był własnością kogoś z rodziny.

– Te pieniądze zarobione w Miami pozwalają na życie na wyższym poziomie na Kubie. Poza tym oni po prostu tęsknią za rodziną, za znajomymi, za życiem w społeczeństwie, na ulicy, z muzyką, z sąsiadami.

– W Miami tego nie ma?

– No nie. Jest „mała Hawana”, to jest główna ulica, która jest trochę turystyczna, a dalej są normalne osiedla domów i mieszkań, w których, trochę jak u nas, żyje się za zamkniętymi drzwiami. Nie ma życia na podwórku, na ulicy, tak jak na Kubie. Na wyspie się toczy wszystko na zewnątrz, w grupie, w hałasie. Sporo z tych emigrantów cierpi z powodu samotności, jeśli emigrują do innych stanów, często narzekają na pogodę, mają zwykłe problemy

emigranta. Nagle uświadamiają sobie, że emigracja nie rozwiązuje wszystkich ich problemów, że nie wszystkiemu jest winien Fidel Castro, że nie wystarczy od niego uciec i już będzie pięknie.

– Nie będzie?

– Czasami będzie, ale wiele osób mówi, że tego Fidela i tak się zabiera ze sobą, gdziekolwiek by się mieszkało. Zawsze gdzieś tam w głowie pozostaje.

– Pani Joanno, Fidel nie jest bohaterem Kubańczyków?

– Na początku myślałam, że nie chcę pisać o Fidelu Castro, ale o nim nie da się nie pisać, bo on determinuje życie kolejnych pokoleń i każdy się jakoś godzi z nim, z jego historią na Kubie. Czy on jest bohaterem? Na początku pracy nad książką chciałam bardzo szukać prawdy, odpowiadać właśnie na pytania, kto jest bohaterem, a kto nie, kto miał rację, kto zawiódł. Ale szybko okazało się, że każdy z Kubańczyków, z którymi rozmawiałam, ma swoją prawdę. I to stało się dla mnie najciekawsze, że każdy inaczej patrzy na świat, ma swoją prawdę. Są przypadki, jak zatopienie holownika, za które odpowiedzialny jest Fidel Castro, czego nie da się wybaczyć, są inne zbrodnie i nie da się go nie nazywać zbrodniarzem, dyktatorem. Ale dla wielu Kubańczyków jest on wciąż – i myślę, że mówią to szczerze – bohaterem i staram się to zrozumieć.

– Pani opowiada o rozmowach dzieci z rodzicami czy dziadkami, a dla tych starszych to jest jeszcze bohater, bo oni pamiętają nędzę za czasów Batisty, ale dla współczesnego pokolenia to jest już tylko wzruszenie ramion. Bo oni chcą żyć inaczej.

– Ma pan rację, oni nie chcą rozpamiętywać tego, co było kiedyś. Są oczywiście też młodzi ludzie, którzy cały czas wierzą w rewolucję. Przyczyny mogą być różne: wychowanie, ciągle słyszą to, co im przekazują rodzice. Sporo czasu spędziłam z bohaterką Milagros, która prowadziła bardzo nędzne życie przed rewolucją, potem pojawili się brodacze w mundurach, zaproponowali jej mieszkanie w Hawanie, studia, zaprowadzili pierwszy raz do lekarza, nauczyli czytać, więc nie dopuszcza zupełnie do siebie tego, co się zdarzyło potem, w kolejnych latach. Myślę, że woli zostać ślepa na pewne rzeczy, żeby całego swojego życia nie zanegować.

– **A Che Guevara? Przecież morderca... Człowiek, który mordował chłopów ze wsi, a nie burżujów, nie ludzi skłonnych przeciwstawić się rewolucji. On też dalej jest bohaterem?**

– Tak, myślę, że cały czas jest bohaterem, choć niektórym jego zbrodniom nie da się zaprzeczyć. Musimy jednak pamiętać, że to wszystko dzieje się w Ameryce Południowej, w zupełnie innym kontekście historycznym, gdzie Stany Zjednoczone nie są przyjacielem...

– **Yankee go home...**

– Tak. Kolejne przewroty, kolejne dyktatury, złe życie milionów ludzi. A z drugiej strony rewolucjoniści, ten Che Guevara, to też jest jakoś wpisane w historię całego kontynentu. Kubańczycy czasami porównują to do naszych stonków z Rosją czy ze Związkiem Radzieckim. Tego się na pewno nie da przełożyć jeden do jednego, ale na pewno nie patrzą na Stany Zjednoczone tak, jak my patrzymy.

– **A Fiat 126p to dla Kubańczyków „polacco”?**

– Polaquito. Po Kubie cały czas jeżdżą „maluchy” i są nazywane „polaczkami”. To nie ma żadnej złej konotacji. To raczej miłe, „polski samochodzik”.

ROZMAWIAŁ WACŁAW HOLEWIŃSKI

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 5/2019/

Żałować trzeba tylko za grzechy

ROZMOWA Z ANNĄ MILEWSKĄ

– Czy ma pani jeszcze ten płaszcz w czarno-czerwonej pepitkę?

– To wcale nie był mój płaszcz! Na tym polegał cały ten dowcip: koleżanki wiedziały, że idę na ważne spotkanie, pierwsze po kursie taternickim. Tam obowiązywały stroje raczej swobodne, nierzadko podarte, taki był wtedy fason...



– Jednak przyniósł pani szczęście. Poszła w nim pani na spotkanie, na którym poznała pani swoją wielką miłość. Wśród wielu adoratorów, których pani nie brakowało, wybrała pani himalaistę – Andrzeja Zawadę. Co było takiego w panu Andrzeju, że wybrała pani właśnie jego?

– Było wiele. Zarówno cech charakteru, jak i osobowości. Jednak o wyborze zdecydował pierwszy rzut oka. Zwykle tak wybierają mężczyźni.

– Co pani ma na myśli?

– Mężczyźni mają inny punkt widzenia. Na kobiety reagują od razu, zwracają uwagę na ich wygląd, ubiór, sylwetkę. A mnie jako kobietę właśnie uderzył jego sposób chodzenia, jego postawa i wyraz twarzy. Zobaczyłam szczupłego mężczyznę, który poruszał się z wdziękiem, sprężystością, z dystansem.

– Zachwyciła się nim pani?

– Tak! To była miłość od pierwszego wejrzenia. Lubię to określenie po francusku, ładnie ten zachwyt oddaje: *coup de foudre*, czyli uderzenie pioruna.

– Państwa miłość nie była jednak łatwa. Wiedziała pani, że mąż miał romanse i skoki w bok.

– Byłam po prostu tolerancyjna.

– To wystarczy? Skąd taka postawa?

– Z zapewnień męża, pisemnych i ustnych. Mówił, że jestem wspaniałą żoną i że nigdy się nie rozstaniemy, że jest mu ze mną dobrze. Ja mu wierzyłam. Ważnym łącznikiem między nami był fakt, że nie mieliśmy dzieci. Inaczej wyglądają i układają się związki w małżeństwie, gdy są dzieci. To one stanowią w wielu wypadkach przyczynę rozwodów.

– Jak to? Mówi się, że dzieci scalają związek...

– Ale o dzieci są też spory, dzieciom poświęca się uwagę, często zaniedbując potrzeby partnera. Zdarza się, że gdy w związku zdradzi mąż, to żona wysuwa argument, że zdradził nie tylko ją, ale i dzieci; problem zaczyna być wtedy dużo szerszy.

– Państwa małżeństwo było partnerskie?

– Tak, jak najbardziej. O tyle partnerskie, że każdy zachował swoją linię postępowania, dawał wolność drugiej osobie. Nasze zawody i zajęcia były inne, bez punktu styczności. W tym znaczeniu byliśmy równorzędnymi partnerami.

– Miałaby pani przepis na udany związek?

– Trudno komuś radzić, bo jak to się mówi, dobrymi radami piekło wybrukowane, ale bardzo ważna jest tolerancja. Nierobienie kwestii o głupstwa. Często zaczyna się od sporu o jajko na twardo czy na miękko, potem rośnie wzajemna uraza, zaczynają się wypominki i problem narasta; nie należy skupiać się na drobiazgach, a poprzez tolerancję w stosunku do drobnych codziennych potknięć wyrabia się pogląd na sprawy zasadnicze.

– Państwo byliście silnie związani, wasza miłość niczemu się nie opierała, a był to zarazem długoletni związek. Czy po śmierci męża czuje się pani samotna?

– Poniekąd tak, oczywiście. Samotna czuję się, myśląc o nim, tylko że jego już nie ma. To jest uczucie nie tyle osamotnienia, co straty, ale ono na szczęście ustępuje; nie jestem samotna w sensie towarzyskim – mam wielu przyjaciół i przyjaciółek, to pomagają. Samotność jest bardzo ogólna, a strata siedzi w nas i nigdy raczej nie opuszcza, w każdym razie mnie na pewno nie. To

uczucie straty przyciszyło się po wydaniu tomiku „Kolory czerni”, w którym napisałam parę wierszy na temat śmierci, odchodzenia i choroby.

– Jako poetka zadebiutowała pani tomikiem „Ludzie mnie pytają”. Zaciekawiał mnie ten tytuł.

– Ten tytuł wynikał z sytuacji codziennych. Różni ludzie pytali mnie o różne rzeczy i czasem wciąż pytają, choć teraz głównie cudzoziemcy. Może pytają dlatego, że ja na nich patrzę? Czy pani zauważyła, że w Polsce ludzie unikają kontaktu wzrokowego? A ja patrzę na nich, nie opuszczam oczu. Dziś wszyscy wpatrują się w smartfony, nie spoglądają przez okno w tramwaju czy autobusie, przechodzą obok, nie patrząc jedni na drugich. A wracając do poezji. Mój wiersz „Pytania” już się zdezaktualizował. Wszystko się zmieniło i o nic szczególnie nie trzeba pytać, ani o drogę, ani o godzinę, aptek jest pełno, a każda podświetlona neonami, więc nie można nie trafić; jak dojść do konsulatu – o to także już nie pytają. Jesteśmy przecież w Schengen!

– Porozmawiajmy o teatrze. Grała pani ponad czterdzieści lat, ma pani na swoim koncie setki ról teatralnych, grała pani u Szajny, Grzegorzewskiego, potem przyszły znakomite role filmowe. Co jest najwspanialszego w aktorstwie?

– Ta zmienność, to, że człowiek przerzuca uczuciami. W życiu też zmieniamy uczucia, ale z tym związane są inne koszty. Zmiany uczuć w życiu są inne niż te na scenie, te wymagają od nas wysiłku, opanowania roli, uświadomienia sobie, jak się zaprezentować. Nigdy nie miałam ochoty wcielać się w rolę dosłownie. Może wskutek szkoły krakowskiej, która uczyła dystansu aktora w stosunku do roli? Może ten dystans zatrzymałam w sobie? To jednak przeszkadzało mi w filmach. Nie przechodziłam próbných zdjęć, bo ten pierwszy moment zetknięcia się z rolą był dla mnie obcy. To często nie podobało się reżyserom, którzy oczekiwali, by jak najszybciej z postacią się utożsamić.

– Czy aktorstwo czegoś w życiu uczy?

– Oczywiście! Uczy w planie emocjonalnym, ale również w planie socjalnym. Uczy bycia i grania w zespole, a to w mniejszym stopniu odczuwa się w filmie. Chociaż ja miałam szczęście grać w wyjątkowym serialu, gdzie wiele się nauczyłam.

– „Złotopolscy”?

– W tym serialu ekipa się wspaniale konsolidowała. Zwykle ekipy są przygodne i łączą się na pewien czas, poprzez miejsca kręcenia danych scen i plenerów. My byliśmy bardzo zgrani, mimo że było czterech reżyserów, którzy kręcili różne odcinki.

– Na planie bardzo się państwo zżyliście.

– To prawda, przez ten czas wspólnego przebywania ze sobą poznaliśmy się dość dobrze. Znało się słabości innych i nikt nie miał ochoty ukrywać własnych. Było wśród nas dużo zrozumienia, tolerancji i akceptacji.

– Aktorstwo ma też drugie dno. Z wiekiem trafia się mniej ról, aktorzy popadają w depresję lub nałogi. Jak pani radzi sobie z przemijaniem?

– Dojrzałość, starzenie się to trudny moment. Gdy nadchodzi, trzeba sobie uświadomić, że przechodzi się na inny etap zawodowy. Z amantek, które się grało, przechodzi się do roli statecznej żony, a potem gra się matki, babcię. Repertuar jest duży, podobnie jak repertuar życiowy. Bardzo ważne jest także, by dbać o zdrowie, fizyczne, psychiczne, ogólną kondycję. Jak ona jest w normie, to wtedy można sobie z naszym przemijaniem jakoś poradzić. Trzeba też walczyć z zanikiem pamięci, a to jest spory problem dla aktorów – że się nie pamięta, że nie trzyma się tekstu, jak się fachowo mówi. Bywa, że to jest główna przyczyna, dla której reżyserzy nie proponują już żadnej roli.

– Ja bym dodała, że trzeba w życiu mieć jeszcze jakąś odskocznnię, pasję, która pozwoli oderwać się od codzienności. Pani pisze wiersze, uprawia ogród i obserwuje ptaki.

– Na każdym etapie życia, prywatnego i zawodowego, zawsze pomaga to, że się ma wiele zainteresowań. Mnie interesowała historia, byłam kronikarzem rodzinnym, pisałam o swoich przodkach. Napisałam wspomnienia o dziadkach, o mamie, tacie, które zostały dodatkowo zilustrowane, na szczęście fotografie rodzinne ocalały. Teraz przygotowuję, właściwie to jestem już na półmetku, cykl pism mojego męża Andrzeja Zawady – są to artykuły i wywiady. Gromadzę je w porządku chronologicznym, a moja młoda przyjaciółka Dorota Rudawa pomaga mi przy tomie „Everest”, niedługo więc będę miała komplet. Wydałam już sześć tomów, a będzie ich razem osiem.

– A pisze pani jeszcze wiersze?

– Niestety już nie. Jak zaczęłam się zajmować tymi sprawami historyczno-faktograficznymi, pierzchła jakoś chęć i możliwość poetyzowania. Moje wiersze to nie rymowanki, one opierają się na rytmie, który przychodzi i pulsuje. Kiedyś to się samo układało i płynęło.

– Wierszy pani już nie pisze, ale zdecydowała się pani wydać bardzo osobistą książkę.

– Nie ukrywam, że inicjatorską tego całego zamieszania była Anna Binkowska. Poznałyśmy się i bardzo polubiłyśmy. Ania przekonała mnie do tej książki, bo to nie było oczywiste, że się zgodzę, ale ona dotarła do opinii innych o mnie, co mnie ośmieliło. Podobało mi się, że nie tylko ja mówię o sobie, ale że jestem w pamięci innych ludzi. A jeżeli jestem w ich pamięci, to może przez tę pamięć uda się wiele zachować.

– „Żałować trzeba tylko za grzechy, i to nie wszystkie” – pisze pani w książce. Naprawdę niczego pani nie żałuje?

– Staram się niczego nie żałować. Żal to bierne uczucie. Co z tego, że żałuję, jak nie mam już wpływu na to, co się stało, nie cofnę rzeczy, które minęły. Żałować nie warto, ale warto się zastanowić, co można zrobić inaczej, lepiej, by nie powtarzać błędów przeszłości.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA DOMAŃSKA

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 6/2019/

Szlakiem Ordonki

ROZMOWA Z ANNĄ MIESZKOWSKĄ

– Czy w życiorysie Hanki Ordonówny jest jeszcze jakaś niewiadoma?

– W jej biografii istnieje wiele nieznanych (lub trudnych do weryfikacji, choćby data urodzenia) faktów. Dopiero w roku 1924, gdy kariera artystki nabrała tempa, pojawiły się recenzje, wywiady, fotografie, nagrania, wspomnienia czy filmy. Pomocne w rekonstrukcji życiowego szlaku.



– Kto wymyślił Marii Pietruszyńskiej pseudonim?

– To dzieło zbiorowe. W Annę Ordon „przemienił” ją Karol Hanusz. Dzięki Januszowi Sarneckiego została Hanką. Za sprawą Zofii Bajkowskiej pojawiła się Ordonówna. A Ordonka jest zasługą Tadeusza Boya-Żeleńskiego, zachwyconego jej występem.

– Z Januszem Sarneckim, Fryderykiem Jarosym, Juliuszem Osterwą, Igo Symem łączyła ją wyłącznie Melpomena?

– Z trzema pierwszymi także Amor. Podejrzewam jednak, że rzekomy romans z Symem to tylko fakt medialny. Przemawiają za tym relacje prasowe, pisane jakby „pod publiczkę”. Sygnalizowano: „Ordonka i Sym – nowa para artystyczna Warszawy”, a sugestywne zdjęcia Stanisława Brzozowskiego utwierdzały czytelników „Kina” i „Światowida”, że śpiewających wykonawców łączy coś więcej. Nie znalazłam żadnego potwierdzenia, że dla Ordonki Sym był kimś tak ważnym jak Sarnecki, Jarosy czy Osterwa. W latach 1926-1928 potajemnie flirtowała z Michałem Tyszkiewiczem. Ich uczucie ujawniła dopiero po rozstaniu z Jarosym (Lwów, lipiec 1928). Zwracam w swojej książce uwagę, że pierwszą piosenkę autorstwa przyszłego męża („Zapomniana melodia”) zaśpiewała już w marcu 1926 roku. Chociaż przez dekady za takową uznawano „Uliczkę w Barcelonie” – powstały trzy lata później muzyczny hołd zakonchanego w Ordonce Tyszkiewicza.

– Utrzymywała męża-hrabiego?!

– Orniany, majątek Tyszkiewicza, wymagały stałej obecności gospodarza. I dużych nakładów finansowych. Obciążenia podatkowe przewyższały dochody ze sprzedaży produktów rolnych, ryb z licznych stawów, drewna itd. Ponadto pracowali w majątku oddani robotnicy (z rodzinami!), których należało opłacać. To była tajemnica poliszynela, że duża część honorariów za występy Ordonówny ratowała Orniany przed bankructwem. Poza kontraktami teatralnymi, koncertowymi oraz filmowymi wysoką gażę gwarantowały nagrania płytowe, jak również udział w sesjach reklamowych (choćby futra Apfelbauma czy obuwie Leszczyńskiego). W II RP jej zarobki należały do jednych z najwyższych w artystycznym świecie. Tyszkiewicz nie był dobrym „dziedzicem”. Wolał towarzyszyć Haneczce w jej licznych podróżach zagranicznych. W wyjazdach do Wiednia, Budapesztu, Paryża pełnił funkcję impresario i konferansjera. A podczas kameralnych koncertów był nawet jej akompaniatorem. Co bardzo lubił!

– Obala pani mit, że w ręce Niemców wydał ją Tymoteusz Orтым.

– Funkcjonuje kilka wersji dotyczących okoliczności aresztowania artystki przez gestapo. Podaję wszystkie. Ona sama, siedząc na Pawiaku, przypuszczała, że powodem był donos, że jest Żydówką. Już w 1938 roku prasa rozprzestrzeniła takie plotki. Nazywano ją „Żydówką Gorgonówną”. W zapiśkach emigracyjnych Ordonki odnalazłam wpis, że zatrzymano ją 1 listopada 1939 roku przed jej domem. Była umówiona z Orтымem, który obiecał jej konserwy. To mógł być przypadek. Aniela Lawińska (sąsiadka matki Syma) była przekonana, że miał z tym coś wspólnego Igo Sym. Tyszkiewicz – w audycji Radia Wolna Europa poświęconej Ordonce – przypomniał, że aresztowanie nastąpiło po jej proteście przeciwko niemieckiemu filmowi propagandowemu. Ktoś mógł zobaczyć, że ostentacyjnie wyszła z kina – tak przypuszczam! Gdyby Orтым naprawdę zadenuncjował Ordonkę, tak zwane środowisko jakoś by się o tym dowiedziało. Na pewno byłby co najmniej bojkotowany. A nic takiego nie nastąpiło.

– Jak to się stało, że została Litwinką?

– Przeistoczyła się w nią automatycznie, będąc małżonką Michała Tyszkiewicza, który zmuszony przeżyciami wojennymi, przyjął litewskie obywatelstwo

jesienią 1939 roku. Tylko w ten sposób mógł pomóc żonie opuścić Pawiak i wyjechać z Warszawy do Wilna, gdzie sam przebywał. Rok przetrwali w spokoju.

– Odnoszę wrażenie, że opieka nad polskimi sierotami zastąpiła pieśniarce macierzyństwo...

– Bardzo lubiła dzieci. Miała grupę podopiecznych w Ornianach i na warszawskim Powiślu. Sprawiało jej przyjemność obdarowywanie ich zabawkami i słodyczami. Opieka nad polskimi sierotami to nie tylko zaspokojenie niespełnionego macierzyństwa. Dla niej to było duże wyzwanie i zadanie prawie ponad siły. Ale, jak sama pisała, nie mogła postąpić inaczej. Dokładnie relacjonuję, jak doszło do ewakuacji pierwszej grupy 170 dzieci, którym towarzyszyła „pani Anna”. To było bohaterstwo z jej strony, chociaż sama nic by nie zrobiła. Na sukces skomplikowanego logistycznie i niebezpiecznego przedsięwzięcia nałożyły się niezwykle współdziałania wielu ludzi.

– Weroniką Hort stała się ze względów politycznych?

– Wspomnienia „Tułacze dzieci” wydał w 1948 roku własnym sumptem Michał Tyszkiewicz (także ich współautor i redaktor). Instytut Literacki dał tylko – jakbyśmy to dzisiaj określili – logo. Jerzy Giedroyc odmówił edycji. Nie miał na to pieniędzy i pewnie nie wierzył w powodzenie rynkowe książki. Zważywszy że sygnowała ją osoba absolutnie dla czytelników anonimowa. Ordynówna użyła kolejnego pseudonimu z obawy o los bliskich w Polsce Ludowej. Przecież publikacja w znacznej mierze traktuje o wojennych losach Polaków w Związku Sowieckim... Rzeczywiście sprzedawała się kiepsko. Tysięczny nakład nie rozszedł się jeszcze do początku lat sześćdziesiątych! Za to pierwsze wydanie krajowe (PIW, 1990 r.) z inicjatywy Jerzego Waldorffa – sprzedało się w nakładzie 50 tys. egzemplarzy! Zapewne wydatnie pomogło w tym ujawnienie tożsamości autorki.

– Śmiertelna choroba stanowiła plon przeżyć wojennych?

– Chociaż przez lata cierpiała na gruźlicę, odnowiła się w warunkach wojennych, zmarła 8 września 1950 roku na tyfus. Zaraziła się od męża, którego uratowano w szpitalu. Osłabiony organizm artystki nie miał siły walczyć z kolejną, ciężką chorobą.

– Dlaczego Michał Tyszkiewicz zniszczył znaczną część zapisków i korespondencji żony?

– O to należałoby jego samego zapytać. Poszatkował i spalił nie tylko notatki żony, ale i część własnych. Może były zbyt osobiste? Z tekstów, które ocalały, można wnioskować, że wzajemne relacje małżonków wcale nie były łatwe.

– A czemu ofertę napisania biografii Ordonki odrzucił Jan Lechoń?

– Pomysł Giedroycia, aby Lechoń przygotował książkę o Hance Ordonównie, uważam za niepoważny. I, jak podejrzewam, nie wyszedł poza relację Giedroyc-Tyszkiewicz. Zabawny jest ten komentarz Giedroycia o Lechońcu, że: „on tak dobrze nie pisze, jak mówi”! Podejrzewam, że złożył taką propozycję Tyszkiewiczowi trochę „na odczepnego”. I tak wiadomo było, że nic z tego nie wyjdzie. Jedynym człowiekiem na emigracji, który mógłby (gdyby chciał lub gdyby taką propozycję otrzymał) podjąć się przygotowania takiej publikacji był Marian Hemar. Wtedy w Londynie mieszkali: Fryderyk Jarosy, Konrad Tom, Ludwik Lawiński, Zofia Terne, Irena Brzezińska i Zbigniew Blichewicz, kompozytor Ludo Philipp, poeta Zdzisław Broncel i wielu innych wielbicieli pieśniarki. Przy niewielkim wysiłku można było książkę zatytułowaną „Hanka Ordonówna we wspomnieniach przyjaciół” przygotować. Niestety, nic takiego się nie stało.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 6/2019/

Czarna owca w mundurze SS

ROZMOWA Z NATALIĄ BUDZYŃSKĄ

– Jak wyjaśnić ideologiczny wybór (anty)bohatera książki, pani wujka?

– Nie uzyskamy na to pytanie odpowiedzi. Wprawdzie pozostawił po sobie pamiętnik, miałam także wgląd w jego listy – wszystko to pisał w więzieniu już po wyroku sądu brytyjskiego, który skazał go na śmierć. Czytałam też wnikliwie jego zeznania z czasu procesu i nigdzie nie wspomniał, co skłoniło go do wstąpienia do SS. I to już w 1932 roku. Możemy więc tylko domniemywać. Staram się nakreślić obiektywnie jego portret, aby czytelnik sam wyrobił sobie zdanie na jego temat. Przypuszczam, że Alfreda Trzebńskiego nęciła elitarność SS, tego „rycerskiego zakonu”, jak mówił Heinrich Himmler. Trzebinski czuł się lepszy, bo był wykształcony, kulturalny, obyty, rozmiłowany w sztuce. Ale musiał też zgadzać się z narodowosocjalistycznymi ideami i być antysemitą, choć na procesie twierdził, że nic do Żydów nie ma, a w dzieciństwie bardzo się z nimi przyjaźnił.

– Polska krew nie przeszkodziła mu w karierze w SS?

– Jak widać nie. Jego matka była Niemką, ojciec – Polak – nauczał w niemieckiej szkole. Syna wychowano w kulturze niemieckiej, studiował na niemieckich uczelniach. Drzewo genealogiczne, którego potrzebował, aby dostać zgodę na wstąpienie do SS, przygotował mu mój pradziadek. Chodziło tylko o to, aby wykazać, że wśród przodków nie było Żyda. Alfred Trzebinski nie zmienił sobie nawet tak bardzo polsko brzmiącego nazwiska, jak inni mający korzenie słowiańskie. Chyba był zadowolony ze szlacheckiego pochodzenia polskich antenatów, i to „von” przed nazwiskiem, które mógł w związku z tym postawić, napawało go dumą. W czasie procesu przyznawał, że z powodu nazwiska miał problemy koleżeńskie w obozach, podejrzewano go, że sprzyja Polakom, ale czy tak było naprawdę? Twierdził, że zdawał sobie sprawę z tego, że w każdej chwili może w obozie



Natalia Budzyńska
Dzieci nie płakaly
Wzrost mojego wujka Alfreda Trzebńskiego,
lekarza SS



natknąć się na kogoś z polskiej rodziny i nie była to dla niego komfortowa sytuacja.

– Czemu zdecydował się „praktykować” w obozach koncentracyjnych?

– To nie był jego wybór. Na froncie potrzebowano lekarzy, ale on chorował i tam się nie nadawał, toteż otrzymał powołanie do służby w obozie koncentracyjnym. Najpierw w Auschwitz, jeszcze przed wielkimi selekcjami, lecz już po pierwszych próbach z cyklonem. Potem Majdanek, sam początek tworzenia obozu. Wreszcie Neuengamme, gdzie pełnił już funkcję nie zwykłego lekarza obozowego, ale głównego lekarza odpowiedzialnego za cały obóz i załogę. Twierdził, że w Auschwitz przeżył załamanie nerwowe, po Majdanku chorował nie tylko na tyfus, ale i na depresję, starał się o zmianę kategorii, ponoć chciał iść na front. No, ale powikłania potyfusowe ostatecznie zniweczyły te plany. Został w obozie i miał nadzieję, że jakoś to będzie. Wystarczy tylko się nie wychylać, grzecznie wypełniać rozkazy i żyć swoim życiem.

– Służba w lazaretach nie wchodziła w rachubę?

– Mógł poinformować przełożonych, że nie chce mieć do czynienia z więźniami. Przeniesienie do pracy w szpitalu dla obozowej załogi SS było realne – znamy takie przypadki. Jednak tego nie zrobił.

– Zamordowanie dwudziestki dzieci w kwietniu 1945 roku miało zatuszować eksperymenty medyczne, jakim ich poddawano?

– Dokładnie tak. Chodziło o to, żeby alianci nie zobaczyli niepełnoletnich ofiar doświadczeń lekarskich. Rozkaz został wydany przez najwyższe władze w Oranienburgu. Dlaczego Trzebinski go wykonał? Jego odpowiedzi na pytania zadawane przez brytyjskiego prokuratora są bardzo pokrętne i przedstawiają nazistowską moralność, jaką znamy z innych rozpraw. Twierdził, że nie mógł zrobić inaczej, bo rozkaz to rozkaz. Jednocześnie usprawiedliwiał siebie z porażającym przekonaniem, że właściwie nie dość, że nie zrobił nic złego, to jeszcze dzieciom pomógł. Pomoc ta polegała na tym, że wstrzyknął im dawkę morfiny, która ich uspiła. Dopiero nieświadome zostały przez strażników powieszane.

- **Brak mi w książce wiadomości o losach rodziny Alfreda Trzebinskiego.**
- Wspominam o spotkaniu niemieckiego dziennikarza z dorosłą córką Alfreda, a także z jego żoną. Wiemy, że małżonka Trzebinskiego była przekonana o jego niewinności. Gdy został stracony, zaczęła pić. Córka powiedziała, że ma już własną rodzinę i ojciec, którego nie znała (miała rok, kiedy go powieszono), jej nie interesuje. Szukałam z nią kontaktu, wysyłałam maile – nikt nie odpowiada.

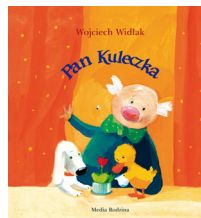
ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 6/2019/

Pan Kuleczka to mój dobry znajomy

ROZMOWA Z WOJCIECHEM WIDŁAKIEM

– Katastrofa, Bzyk-Bzyk, Pypeć i Pan Kuleczka stanęli na podium. Publikacje z serii przygód tytułowego Pana Kuleczki były kilkakrotnie typowane do różnych nagród i wyróżniane. „Pan Kuleczka” wydany w 2002 roku zyskał m.in. tytuł Ważnej Książki 10-lecia kampanii społecznej Fundacji ABCXXI „Cała Polska czyta dzieciom”.



Książka „Pan Kuleczka. Skarby” zdobyła tytuł Najlepszej Książki Dziecięcej 2018 roku w konkursie „Przecinek i Kropka”. Nominowana przez profesjonalne jury, zwyciężyła w internetowym głosowaniu. Zdecydowali czytelnicy. Zwycięstwo głosami czytelników chyba cieszy najbardziej?

– To strasznie trudne pytanie! Sam nie wiem, co mnie najbardziej cieszy – czy uznanie wielce profesjonalnego jury, czy wierność i pracowitość licznych czytelników internautów, którzy zdzierali opuszki palców w codziennym głosowaniu, czy po prostu fakt, że Pan Kuleczka ma tylu małych i dużych przyjaciół. Tak czy inaczej, bardzo dziękuję im wszystkim.

– Jaka jest geneza narodzin gwiazdy, czyli Pana Kuleczki?

– Najpierw sprostowanie, czy może raczej uwaga. Otóż słowo „gwiazda” (w znaczeniu „celebryta”), podobnie zresztą jak inne słowa, na przykład „sukces”, nie bardzo mi pasują do Pana Kuleczki, który kojarzy się raczej z sympatycznym sąsiadem, dziadkiem, może wujkiem, niż z kimś, kto bryluje na salonach i wystawia się na flesze paparazzi. Wracając zaś do narodzin, to choć Pan Kuleczka mieszka przy ulicy Czereśniowej jak Mary Poppins, nie sfrunął tam na parasolu. Jego portret w meloniku i w muszce pojawił się najpierw na kartce Eli Wasiuczynskiej, wspaniałej krakowskiej ilustratorki, która przysłała ten rysunek właśnie mnie, naocznie redaktorowi miesięcznika „Dziecko”. Delikatna zachęta, która towarzyszyła portretowi („może Cię natchnie”), sprawiła, że w czterdziestym pierwszym pierwszym roku życia napisałem pierwsze opowiadanie dla dzieci. Ukażało się ono w czerwcu 1998 roku. Kolejne historyjki o Panu Kuleczce, psie Pypciu, kaczkę Katastrofie i musze Bzyk-Bzyk pojawiały się co miesiąc przez

prawie pięć lat, a w 2002 roku, dzięki życzliwości wielu osób, między innymi naczelnej „Dziecka” Justyny Dąbrowskiej, znalazły się też w pierwszym zbiorku, zatytułowanym po prostu „Pan Kuleczka”. Teraz zbiorków jest już osiem, a poza tym powstało ponad dwadzieścia książeczek z innymi bohaterami.

– Przyjmując zaproszenie do rozmowy, odpisał pan: „który tata nie chciałby z dumą opowiadać o swoim dziecku?”. Pan Kuleczka stał się członkiem rodziny Wojciecha Widłaka? A może przejął cechy dzieci, wnuków?

– Pan Kuleczka rzeczywiście jest mi bliski, ale bardziej jako dobry znajomy, a nie członek rodziny. Jeśli miałbym się w nim doszukiwać czyichś cech, to raczej moich dziadków niż dzieci czy wnuków, o sobie nie wspominając. Pan Kuleczka jest niemal idealnym dorosłym: cierpliwy, uważny, otwarty, czasem stanowczy, zawsze łagodny. Pozwala zadawać pytania i zachęca do szukania odpowiedzi. Pokazuje urok świata i sensowność rządzących nim praw. Może brzmi to zanadto podniośle i wręcz drętwo, ponieważ jednak opowiadania rozgrywają się w scenerii znanej każdemu byłemu i obecnemu dziecku – wszystko staje się prostsze. Natomiast pisząc o dumie z dziecka, miałem na myśli nie postać bohatera książki, lecz samą książkę. Relacja autor-książka bardzo przypomina relację tata/mama-dziecko. Dziecko zawsze jest nasze i w czymś tam wykazuje do nas podobieństwo (choć niekoniecznie w tym, w czym byśmy chcieli), jednak nie jest nami, tylko sobą – kimś odrębnym, oddzielnym i wyjątkowym. Dziecko – tak jak książka – w pewnym momencie opuszcza nas i zaczyna żyć własnym życiem. Krytyczne opinie na temat dziecka bardzo boją, nawet jeśli są zasadne. Przychylne cieszą, entuzjastyczne wprawiają w zakłopotanie podszyte dumą i radością.

– W jednym z rozdziałów książki „Pan Kuleczka. Skarby” bohaterowie zawędrowali do księgarni. To bardzo miłe, zwłaszcza że księgarnia okazała się przyjaznym miejscem; po pierwsze fotel, po drugie koń na biegunach. Do takiej księgarni chodzi się z przyjemnością, chociaż w mojej głowie natychmiast rodzi się pytanie: dlaczego nie poszli do biblioteki?

– Może księgarnię mieli bliżej albo tego dnia była im jakoś po drodze? Tak czy siak, myślę, że powinni w którymś opowiadaniu pójść także do biblioteki, tylko że oni wcale niekoniecznie się mnie słuchają, a może raczej – nie

wszystko ze swojego życia pozwalają mi zobaczyć, a więc też – opisać. Może to i dobrze, bo jest nadzieja, że trochę do opisania wciąż pozostaje?

– Sympatyczni bohaterowie ulubioną lekturę poznali dzięki Panu Kuleczce. A jak to było w pana przypadku? Pamięta pan swoją pierwszą ulubioną książkę?

– Zawsze przywołuję „Kubusia Puchatka”, a to ze względu na bohaterów, delikatny humor, powiedzonka używane przeze mnie do dziś („z pszczołami nigdy nic nie wiadomo”), język, przekład, ilustracje... No, i tak dalej, i tak dalej. Ale pamiętam też książeczkę „Pan Tom buduje dom”, której wznowienie kupiłem po kilkudziesięciu latach i dopiero wtedy się dowiedziałem, że stworzył ją Stefan Themerson. Z nieco późniejszych lektur chciałbym wymienić serię o doktorze Dolittle z ilustracjami Zbigniewa Lengrena, „Niewiarygodne przygody Marka Piegusa” Niziurskiego i „Pięć przygód detektywa Konopki” Domagalika, obie zilustrowane przez Bohdana Butenkę. No i grube książki, chyba wspólne dla mojego pokolenia – wszystko Niziurskiego, „Pan Samochodzik”, „Tomki”, przygody Sherlocka Holmesa, Verne. Potem był Lem i Bradbury, Bułhakow i Konwicki, Józef Mackiewicz i Ferdynand Goetel. Ale to trochę później. Tak sobie myślę, że ważne było w moim dzieciństwie coś wówczas oczywistego: rodzice prenumerowali dla mnie pisma. Przeszedłem przez wszystkie szczeble: najpierw „Miś”, potem „Świerszczyk”, „Świat Młodych”, „Płomyczek” i „Płomyk”. Już w podstawówce podczytywałem też felietony Hamiltona w „Kulturze” i Bywalca w „Polityce”. O tym, że istnieje ktoś o pseudonimie Kisiel, dowiedziałem się znacznie później. Od podstawówki bardzo lubiłem komiksy, których wtedy właściwie nie było. Pamiętam pierwszy tomik „Tytusa, Romka i A'Tomka” kupiony w kiosku Ruchu, a potem paski z historyjkami o tej trójce publikowane w „Świecie Młodych”. Pamiętam „przeczytany” w szóstej klasie komiks o przygodach Tintina. Ponieważ był po angielsku, bardzo mnie zachęcił do nauki tego języka. Dziś mam na półce trochę zeszytów o Tintinie po angielsku i francusku oraz komplet po polsku. I chociaż dla mnie to już oczywiście nie to samo, cieszę się, że sięgają po te komiksy moje wnuki.

– Pan Kuleczka czyta książki, a ponieważ nie ma telewizora i innych medialnych rozpraszaczy, wydaje się, że czyta dużo. Może dzięki temu ma również więcej czasu na rozmowę, pięknie objaśnia swoim przyjaciółom świat, zabiera ich w różne ciekawe miejsca...

– Ależ oczywiście! Zastanawiałem się kiedyś nad powszechnie używanym sformułowaniem „nie mam czasu”. Otóż jest to oczywista nieprawda. Póki żyjemy, każdy z nas ma czas, i to w dodatku bardzo równo przydzielony – po 24 godziny na dobę. Dowcip polega na tym, na co te 24 godziny dzielimy. Na co nam czasu starczy, a na co nie, na co nam czasu szkoda, a na co nie, w co „inwestujemy” swój czas i na co go trwonimy. Wydaje mi się pewną zagadką, że gdy się nad tym wszystkim zastanowić, okazuje się zwykle, że wcale niekoniecznie dajemy swój czas temu, co jest dla nas samych istotne. Pan Kuleczka stanowi wyjątek, ponieważ ma chyba jakiś niezwykły dar, który pozwala mu chwycić czas, zatrzymać te drobne, a ważne chwile i podzielić się nimi – najpierw z Katastrofą, Pypciem i Bzyk-Bzyk, a potem ze mną. Dzięki temu ja z kolei mogę dzielić się z czytelnikami tym, co udało mu się złapać. Sam czas zresztą – jako fascynujący fenomen – powraca w niejednym opowiadaniu.

– Uwagę w pana tekstach zwraca piękna polszczyzna. Wszystkie opowiadania czyta się z prawdziwą, również leksykalną przyjemnością. Kryje się za tym cel edukacyjny: uczyć małych czytelników czystości języka i poprawnego wysławiania się, aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa?

– Oj, po pierwsze dziękuję, bo „leksykalna przyjemność” brzmi dość niezwykle. A po drugie, widocznie sam ją cenię jako czytelnik, choć nigdy nie udało mi się tak jej nazwać. Natomiast jako autor... no, nie wiem. Z pewnością nie mam ambicji pedagogicznych. Mogę powiedzieć, że to nasz język jest piękny, bogaty, daje wiele powodów do rozmyślań, ale i do uśmiechu. Widać to choćby w wierszach Małgorzaty Strzałkowskiej, Agnieszki Frączek czy Rafała Witka. Inna sprawa, że boli i wzburza mnie fakt erozji języka, zmiana znaczeń słów niegdyś jednoznacznych lub budzących jednoznaczne konotacje. Jestem przekonany, że to jeden z istotnych powodów trudności, jeśli nie wręcz niemożności znalezienia tego, co wspólne, a zatem także współdziałania mimo różnic. A moja polszczyzna? Oj, różnie z nią bywa. Nie sądzę, żebym nadawał się na mentora. Na pewno nadużywam kolokwialnego słowa „jak” w znaczeniu „gdy”. W szkole miałbym obniżony stopień, a tu – pani mnie chwali!

– Wśród znanych bohaterów Wojciecha Widłaka jest też Wesoły Ryjek. Cudownie pozytywny bohater, który każdego dnia uczy się czegoś

nowego, istotnego. Bardzo mi się podobają podsumowania: dziś dowiedziałem się... Każde opowiadanie rozpoczyna się też kulturalnym powitaniem: dzień dobry, nazywam się **Wesoły Ryjek**. Animowana Świnka Peppa mogłaby od **Wesołego Ryjka** wiele się nauczyć.

– Wesoły Ryjek samym swym imieniem, ale i całą postacią, wykreowaną przez Agnieszkę Żelewską, budzi ciepłe uczucia. Uśmiecham się, ilekroć na niego patrzę. Nie wiem, jak wyglądałoby spotkanie Wesołego Ryjka z jego daleką anglojęzyczną kuzynką. Oni pewnie jakoś by się porozumieli, mimo różnic językowych, bo dzieci to potrafią, więc świnki i prosiaczki też. Lubię Wesołego Ryjka, zresztą tak jak wszystkich moich bohaterów. Czegóż się od nich uczę. Od Ryjka – pogody ducha, nieegzaltowanego zachwytu codziennością i wyciągania nieoczywistych wniosków z oczywistych sytuacji. Myślę, że ważne jest także i to, że Ryjek nie zachowuje swych przemyśleń dla siebie, ale dzieli się nimi, dzięki czemu stają się dobrem wspólnym. Oto przykład jednej z Ryjkowych konkluzji wynikających z całodziennych doświadczeń: „Dziś dowiedziałem się, co żona ma wspólnego ze śniegiem, świętami i szarlotką: na żonę też trzeba poczekać, tylko dłużej”.

– W „Magazynie Literackim **KSIĄŻKI**” jest rubryka zatytułowana „**Książka zaczyna się od okładki**”. Współpracuje pan ze znakomitymi ilustratorami. Jak taka współpraca przekłada się na finalny efekt pracy nad książką, a później na reakcje odbiorców? Ilustracje są dla pana ważne? Bywają sytuacje, kiedy nie zgadza się pan z wizją rysownika?

– To w gruncie rzeczy temat na oddzielną rozmowę, ale spróbuję odpowiedzieć jak najzwięźle. Tak, ilustracje są dla mnie bardzo ważne, zresztą były ważne także w dzieciństwie. Nie zawsze łatwo jest powiedzieć (a może w ogóle nie warto), który element w książce dla dzieci ma większe znaczenie – tekst czy obraz. Kiedy się uzupełniają, prowadzą ze sobą dialog, dopowiadając coś albo się przekomarzając, dodają smaku, dowcipu, poezji – jest fantastycznie. O sile oddziaływania ilustracji niech świadczy fakt, że to właśnie one przyciągnęły na targach w Pekinie uwagę właścicielki pewnego wydawnictwa, co doprowadziło w efekcie do wydania kilku książek o Panu Kuleczce po chińsku. Bariera językowa sprawiała, że urok tekstu na pewno tu nie zadziałał. W każdym razie nie od razu. Ilustracje są dla mnie bardzo ważne także dlatego, że bywają inspiracją. Wiele opowieści o Panu Kuleczce, ale nie tylko, powstało do gotowych

obrazków. Mam ogromne szczęście, że spisane przeze mnie historie ilustrują wybitni polscy twórcy. Poza tymi, o których już mówiliśmy, chciałbym wymienić Ewę Poklewską-Koziello, Annę Sędziwy, Joannę Rusinek.

– Niezwykle połączenie tworzy grafika i zdjęcie w książce „Samotny Jędrusień”. Rozumiem, że to pomysł Joanny Rusinek. Zna pan Natalkę, która pozowała do zdjęć z Jędrusiem?

– Proszę sobie wyobrazić, że najpierw poznałem Samotnego Jędrusia, a dopiero potem Joannę Rusinek, która mi go zaprezentowała i przedstawiła za pośrednictwem poczty elektronicznej. Zakapturzona postać narysowana, a właściwie dorysowana kredą na chodniku, obdarzona intrygującym imieniem zachęcała do podążenia jej śladami i opisanie. Ilustracje i tekst powstawały na zmianę: zaczęło się od kilku ilustracji, potem była zapisana historia, a w końcu pojawiła się reszta ilustracji. A Natalki nie poznałem do dziś, więc pozostaje dla mnie Jędrusiową Joasią z książki...

– Jako podsumowanie, pytanie o plany wydawnicze. Zdradzi pan tytuły książek, których czytelnicy mogą spodziewać się w roku 2019? Czy seria z Panem Kuleczką będzie kontynuowana?

– Z Panem Kuleczką, jak z pszczołami, nigdy nic nie wiadomo. Na pewno chciałbym się z nim jeszcze spotkać, ale czy się uda i kiedy by to mogło nastąpić – nie wiem. Ktoś powiedział, że najskuteczniejszy sposób na rozśmieszenie Pana Boga polega na opowiedzeniu mu o swoich planach. No, ale może plany wydawnicze to trochę co innego. Jesienią powinien ukazać się drugi tomik opowiadań o bohaterach, o których jeszcze nie mówiliśmy. Zwią się Figiel i Psikus i jak same imiona wskazują, są chochlikami. Psocą i figlują, a przy okazji pokazują, czym jest przyjaźń. Narysowała ich Ela Wasiuczyńska, która chyba się uśmiechała przy tej pracy. Mam nadzieję, że jej uśmiech udzieli się czytelnikom. Z Agnieszką Żelewską przygotowujemy kolejny tomik o Wesołym Ryjku. Ponieważ ma tytuł „Wesoły Ryjek i wiosna”, można się spodziewać, że nie ukaże się latem, jesienią ani zimą. A co więcej? Któż to może wiedzieć? Dostałem już w życiu tyle niespodziewanych prezentów, że właściwie spokojnie mogłoby już wystarczyć, ale może coś tam jeszcze czeka za rogiem?

ROZMAWIAŁA MONIKA SIMONJETZ

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 7/2019/

Życie w rytmie mexicany

ROZMOWA Z ANDRZEJEM ZBROŹKIEM

– Pański udział w produkcjach Hollywoodu wyniknął z przypadku?

– Tak, z przypadku, a nawet – mówiąc w dużym uproszczeniu – z konieczności. Tydzień po moim kolejnym, trzecim przylocie do Meksyku ogłoszono w Polsce stan wojenny. Była to pamiętna data 13 grudnia 1981. Znalazłem się w trudnej sytuacji. Co prawda mogłem po tygodniu wrócić do Polski, ale przyleciałem do Meksyku po wielką przygodę, podjąłem więc ryzyko pozostania w tym kraju przynajmniej na jakiś czas. Nie sądziłem, że po roku niepowodzeń i przymierania głodem tą przygodą okaże się praca w wielkich produkcjach filmowych, realizowanych przez hollywoodzkich producentów i reżyserów. Z braku możliwości lepszego zarobku zgłosiłem się na casting do filmu Davida Lyncha „Dune”, według powieści Franka Herberta. I tak się zaczęło. Całą tę walkę o przetrwanie oraz pierwsze kroki w filmie opisuję w mojej najnowszej książce. Pragnę przy okazji wspomnieć o pomocy, jakiej mi wtedy udzielił znany meksykański pisarz, tłumacz i dyplomata – Sergio Pitol. Poznałem go jeszcze w Polsce. Gościł nawet na moim weselu. W Warszawie pracował jako attaché kulturalny Ambasady Meksyku. To on był jednym z tych, którzy wyciągnęli do mnie życzliwą dłoń, zanim trafiłem do filmu. Często odwiedzałem go w jego przyjaznym domu w dzielnicy Roma przy placu Rio de Janeiro w Mexico City.

– Na czym polegały zadania aktorskie Andrzeja Zbrożka?

– Te zadania nie przysły od razu. Początkowo pracowałem jako tzw. stand-in (dubler techniczny), dubler oraz – po intensywnych, morderczych, ociekających potem i krwią, długich treningach – jako dubler kaskader, zastępując aktorów w ryzykownych scenach. Po kilku miesiącach zaproponowano mi niewielkie role w filmach. I tak się zaczęło. Występowałem pod pseudonimem artystycznym Andres Boris.



– Na „liście płac” figurował pan jako dubler czy kaskader?

– To zależało od tego, co robiłem. Praca kaskadera jest znacznie lepiej opłacana od dublera z racji ryzyka, jakie ze sobą niesie. W tamtym jednak okresie najistotniejsze było dla mnie utrzymanie się na powierzchni życia, a warunkiem koniecznym były, brutalnie mówiąc, pieniądze. Chciałem wreszcie stanąć na nogi i odnaleźć się w zaistniałych okolicznościach – w całkowicie obcym kraju o innej mentalności, kulturze i obyczajach. Okazuje się, że pieniądze i zdrowie, jak życie dowiodło, muszą, a przynajmniej powinny chodzić ze sobą w parze.

– Co sprawiło, że z Andresem Borisem spoufaliły się legendy kina – zazwyczaj pilnie strzegące prywatności?

– Może nie aż tak – ale jeśli już, nie przychodziło to od razu, ponieważ jednak produkcja trwa z reguły kilka miesięcy, codzienne kontakty na planie stawały się coraz bliższe i aktorzy z każdym tygodniem nabierali do mnie zaufania. Jako dubler tworzyłem tzw. second team i zawsze musiałem być w zasięgu wzroku reżysera oraz aktora, z którym pracowałem. Bez przerwy rzucałem się w oczy. Dodam, że największe legendy złotego wieku Hollywood, z którymi miałem zaszczyt pracować: Burt Lancaster, Gregory Peck, Paul Newman, Tom Hanks, Benicio del Toro, Jane Fonda, Timothy Dalton, Grace Jones, Wilt Chamberlain – że wymienię tylko te najszynniejsze nazwiska – okazały się niezwykle skromnymi, życzliwymi ludźmi. No może poza Arnoldem Schwarzeneggerem, któremu brakowało odrobiny skromności, chociaż wobec mnie zawsze zachowywał się niezwykle fair.

– Czym zapisał się oni w pańskiej pamięci?

– Trudno w kilku słowach scharakteryzować każdego z nich, powiem jedynie, że naprawdę wielcy artyści, a przynajmniej ci wymienieni, to wspaniali, bezpośredni ludzie. Wszyscy oni są bohaterami pierwszej części mojej książki, noszącej podtytuł „Zapiski niedoszłego celebryty”, i każdemu z nich poświęciłem osobny rozdział. Nie znajdziemy w niej tabloidowej, niezdrowej sensacji, jest natomiast rzeczywisty, w moim odczuciu, wierny portret każdego aktora, z którym miałem przyjemność pracować przez co najmniej dwa-trzy miesiące. Najserdeczniej wspominam Gregory Pecka, będąc u jego boku podczas długiego okresu kręcenia filmu „Old Gringo” (Stary Gringo), na podstawie

powieści znanego meksykańskiego pisarza Carlosa Fuentes. „Gringo” to pogardliwa nazwa Amerykanina w Meksyku. Z tym filmem mam dodatkowe, niezwykle wspomnienie, kiedy to Fuentes przyjechał na plan zobaczyć, jak przebiegają prace nad realizacją obrazu według jego scenariusza. Reżyser filmu, zaprzyjaźniony ze mną Luis Puenzo, przedstawił mnie słynnemu pisarzowi i na miłej pogawędce spędziliśmy we trójkę co najmniej dwa kwadransy. Puenzo zapytał, czy znam Elenę Poniatowską, cieszącą się wielką estymą meksykańską pisarkę, pochodzącą z rodu książąt Poniatowskich. Dużo o niej wiedziałem, nigdy jednak nie poznałem jej osobiście. To wyjątkowe spotkanie z reżyserem i pisarzem uwieczniono wspólnymi fotografiami, a jedną z nich opublikowałem w mej książce.

– Czemu obiecująca przygoda ekranowa się zakończyła?

– Trudna odpowiedź, ponieważ przywołuje najgorsze wspomnienie, kiedy zakażony w Kolumbii niebezpiecznymi bakteriami, musiałem przerwać moją zaplanowaną podróż po sąsiednich krajach i natychmiast wracać do Meksyku. Bakterie spowodowały sepsę, a ona, jak wiadomo, najczęściej prowadzi do śmierci. W tej sytuacji postanowiłem zakończyć życie w Polsce i chciałem jak najszybciej przylecieć do kraju, co nie było proste, ponieważ holenderskie linie lotnicze nie chciały mnie przyjąć na pokład. Podobno wyglądałem jak zombie i podejrzewano, że pożegnany się z życiem, zanim samolot wyląduje w Amsterdamie. Nie byłaby to komfortowa sytuacja dla przewoźnika. Koniec końców ulokowano mnie w klasie pierwszej przy samym dziobie, mimo że miałem bilet w klasie turystycznej. Maksymalnie rozłożono mi fotel i doleciałem do Holandii na leżąco, ze stewardessą czuwającą podczas całej podróży. To, że żyję, zawdzięczam polskim lekarzom i – poza szczęściem – wyjątkowo silnemu organizmowi.

– Napomyka pan też o pracy w reklamach, ale bez szczegółów...

– W przerwach, czasami długich, między pracą w amerykańskich filmach biegałem na castingi do telewizyjnych reklam. W sumie nakręciłem ponad 30 comerciales (reklam) dla różnorodnych produktów lub wydarzeń, reklamowanych na wszystkich kanałach nie tylko meksykańskiej telewizji. Najzabawniej wspominam reklamę orzeźwiających dropsów Halls. Z powodu braku miejsca w tym sympatycznym wywiadzie, na który mnie pan zaprosił, odsyłam

szanownych czytelników do jednego z rozdziałów w książce. Pracowałem też jako aktor drugiego planu, grając cudzoziemców w co najmniej dwudziestu filmach meksykańskich. Zawsze były to negatywne role: gangstera, mafioza albo policyjnego agenta – co wcześniej czy później skutkowało przedwczesną, ale ze wszech miar zasłużoną śmiercią z rąk innego bandyty albo gliny. Żartem dodam, że upatruję w tych niewielkich, epizodycznych rolach główną przyczynę artystycznej porażki. Moje rzemiosło aktorskie nie rozwinęło skrzydeł, ponieważ w kilkuminutowych scenach nie miałem możliwości, żeby się rozkręcić i odebrano mi szansę na ujawnienie większego talentu.

– Polska kinematografia się o pana nie upomniała?

– Nigdy nie miałem z nią kontaktu, ponieważ pracowałem w meksykańskich wytwórniach filmowych przy realizacji obrazów amerykańskich producentów. Ta największa, gdzie kręcono wszystkie superprodukcje, to Estudios Churubusco Azteca SA. Niestety, obecnie została zredukowana do minimum, a większość jej gigantycznych atelier przejęły małe wytwórnie filmowe i telewizyjne. Poza tym wracając chory do kraju, wyglądałem jak więzień obozu koncentracyjnego; ze 110 kg (przy wzroście 194 cm) waga spadła mi do 76 kg i mógłbym jedynie występować w horrorach, a takich w Polsce nie kręcono. Moja atletyczna i wysportowana sylwetka należała do przeszłości. Powrót do zdrowia trwał bardzo długo, zwłaszcza że doszły kolejne choroby i operacje. Pamiętam starą prawdę, że nic nie jest nam dane na zawsze. Dlatego należy cieszyć się życiem w korzystnym dla nas momencie, bo drugi może się nie powtórzyć. Chcąc wrócić do tych szczęśliwych chwil, napisałem wspomnienia pt. „Latynoska euforia z Hollywoodem w tle”. Obecnie mieszkam w Warszawie, gdzie uczę języka hiszpańskiego.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 7/2019/

King bez tajemnic

ROZMOWA Z ROBERTEM ZIĘBIŃSKIM

– Stephen King to ulubiony pisarz Roberta Ziębińskiego? Pytam, bo poświęcił mu pan już drugą książkę.

– W sumie – co wiele osób zaskoczy – nie. Bardzo go szanuję i cenię, ale nie nazwałbym go moim ukochanym autorem. Podziwiam Joe Lansdale’a. Uwielbiam Michaela Connelly’ego. No i Raya Bradbury’ego. To był mistrz i geniusz. A co do Kinga, to wszystko zaczęło się od pierwszego polskiego wydania „Miasteczka Salem”. Miałem chyba trzynaście lat, wampir na okładce mnie zaczarował, a potem wsiątkiem i kupowałem wszystko, co się ukazywało.



– Za najlepsze ekranizacje jego prozy uważam „Lśnienie”, „Misery” oraz „Skazani na Shawshank”. A pan?

– Dwa pierwsze bardzo tak. Dodałbym jeszcze „Carrie” – film, który zmienił historię horroru. Brian de Palma zamienił powieść – moim zdaniem nie do końca udaną – w małe arcydzieło. I te dwie sceny, czyli prysznic, tampony i finał z grobem. Obie cytowano wiele razy w kinie, ale nikt nigdy nie zbliżył się nawet na milimetr do geniuszu reżysera. Podziwiam też „Christine”, skądinąd oba te filmy są kapitalnymi metaforami dojrzewania. „Christine” to także opowieść o chłopcu, który z pomocą dziwnych mocy mści się na tych, którzy go nie szanowali. A wszystko z samochodami i Ameryką Ronalda Reagana w tle. No i jeszcze dwa tytuły: „Cujo” – czysty brud, uwielbiam, oraz „Martwa strefa” – za każdym razem, gdy ktoś pyta mnie o to, jak scharakteryzować zimę, polecam obejrzenie „Martwej strefy” – ten film to zima. David Cronenberg stworzył rzecz, która powala chłodem, a Christopher Walken – jako Johnny Smith – stworzył jedną ze swych najlepszych ról.

– Były jakieś nieudane filmy wedle jego prozy?

– Niestety większość. King przez kontrakty z Dino de Laurentiisem stracił kontrolę nad wieloma swoimi tytułami, dlatego rynek zalała fala fatalnych

adaptacji. W efekcie w latach dziewięćdziesiątych zupełnie wypadł z hollywoodzkiego obiegu, a w pierwszej dekadzie XXI wieku nie było go wcale. Dopiero sukces „To” przywrócił Kinga kinu. Teraz mamy sytuację, którą można porównać do tej, w jakiej King był pod koniec lat siedemdziesiątych. Kino znów go kocha, a producenci ścigają się z wykupywaniem praw do ekranizacji kolejnych książek.

– Dlaczego twórczość prozaika nie jest w Polsce znana w całości?

– Jest znana niemal cała. Przekładów nie doczekały się jedynie jego opowieści o bejsbolu, ale umówmy się – ten sport w Polsce jest tak niepopularny, że nawet King nie pomógłby w jego promocji.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 7/2019/

Dalej jadę z tym koksem...

ROZMOWA Z WOJCIECHEM CHMIELEWSKIM

– Czy zebrane w tomie „Magiczne światło miasta” opowiadania pisałeś ostatnio, czy są to rzeczy starsze?

– Opowiadania pochodzą mniej więcej z ostatnich pięciu lat. Niektóre z nich już publikowałem, chyba ze trzy były w prasie. Reszta dopiero teraz się ukazała. Cieszę się, że mogłem wydać kolejny zbiór opowiadań, bo po pierwsze, jest to świadectwo tego, czym zajmowałem się ostatnio, a co ważniejsze – to moja kolejna próba uchwycenia współczesności, rzeczywistości, obrazu ludzi i miasta, w którym przyszło mi żyć.



– Dziesięć opowiadań... Czy ty czujesz się „pisarzem warszawskim”?

– Trudno powiedzieć. Mieszkam w Warszawie od urodzenia, tu się wychowałem, chodziłem do szkoły, potem studiowałem. Jestem związany z Warszawą i tak już pozostanie. Chcąc zachować uczciwość wobec czytelnika, piszę o tym, o czym wiem najlepiej, co najlepiej czuję. W większości tych tekstów realia są warszawskie.

– A czy jest jakiś fragment tego miasta, który lubisz bardziej od innych, czy to miasto jest w całości „twoje”?

– Najbliższe są mi okolice Hali Mirowskiej i osiedle Za Żelazną Bramą. Tam się wychowałem. Krochmalna, Waliców, Chłodna, Grzybowska, Ciepła, Żelazna – to są moje ulice. Na pewno będę do nich powracał, mają w sobie coś, co wyzwala potrzebę pisania. To ścisłe centrum miasta, ale i mojej wyobraźni. Obecnie tak się złożyło, że mieszkam w Rembertowie, dzielnicy w granicach Warszawy od 1957 roku, w której są jednak ulice czy rejony, które sugerowałyby, że to nie jest jeszcze miasto albo już nie jest. To mnie bardzo zainspirowało, o tej dzielnicy pisałem dużo w mojej poprzedniej książce „Belweder gryzie w rękę”.

– Kim są bohaterowie twoich opowiadań? To są ludzie ulicy, takie szaraki, czy zamknęci w swoich niszach outsiderszy? Potrafisz dla nich znaleźć jakiś wspólny mianownik?

– Tym wspólnym mianownikiem jest terażniejszość. Moi bohaterowie żyją tu i teraz, to nie są opowiadania historyczne czy wybiegające w przyszłość. Łączy ich czas, a pochodzą z różnych sfer, różnych rodzin, są szczęśliwi, nie-szczęśliwi, bogaci, biedni, uzależnieni, bezdomni. Krótko mówiąc: różne są losy tych zwyczajnych ludzi, których na co dzień widzimy na ulicy, a którzy przy bliższym poznaniu okazują się bardzo inspirujący.

– W jednym z opowiadań opisujesz przypadek człowieka, który idzie i zostaje uderzony przez narkomana, ale zadziwiająca jest jego reakcja. Co tu dużo mówić, katuje tego nieszczęśnika.

– Zadziwiająca? Mój bohater odpowiada agresją na agresję. Nie widzę w tym nic dziwnego, choć nie zachowuje się po chrześcijańsku, a przecież wcześniej wziął udział w nabożeństwie adwentowym w kościele ewangelicko-augsburskim. Widocznie uważnie nie słuchał Ewangelii.

– Czy bohaterowie twojej książki to ludzie przegrani?

– Są uchwyceni w jakimś momencie ich życia i do końca nie wiemy, dokąd ich ono doprowadzi. Czasami jest to moment podniosły i pozytywny, chociażby bohater otwierającego tom opowiadania „Umierać po chorwacku”. Ma udane małżeństwo, piękną żonę i być może z tą żoną niebawem poczną dziecko. Całe życie jest przed nimi...

– Trochę tu się wykręcasz. Bo wcześniej spotyka się ze swoim kolegą, idą na pogrzeb nauczycielki, która w gruncie rzeczy ich ukształtowała. Mówisz o szczęśliwym zakończeniu, ale wcześniej przecież oni idą do burdelu. To jest taka bardzo mocna zbitka, jak rozumiem świadoma, aby uwypuklić później to szczęście. Ale jednak mamy w tym zdradę, odejście od ideałów, które wpajała im ta nauczycielka, bez wątpienia zresztą wspaniałą pedagog – zostaje za swoje przekonania usunięta ze szkoły, część uczniów idzie za nią do innej placówki, bo ją pokochała, czyli musiała być pewnym wzorcem. A Twój bohater łamie te zasady.

– Zapewne wielu z nas miało takich nauczycieli, którzy w jakiś sposób nas formowali. Nauczycieli ulubionych przedmiotów, do których potem się powraca w myślach, odwiedza, chodzi się na ich pogrzeby. To są smutne okazje, ale samo życie pokazuje, że to, jak powiedziałaś, „kształtowanie” może umknąć w jednej sekundzie, jak bohaterowi opowiadania, gdzieś ono zanika i człowiek zachowuje się jak zwierzę, czego potem żałuje. Tak bywa.

– Czym jest dla ciebie szczęście? Wiem, że to pytanie egzystencjalne, ale mam wrażenie, że sytuujesz szczęście, poprzez postaci ze swoich tekstów literackich, inaczej, w takiej przyziemności, w drobiazgu, w szczególności, na które inni by nie zwrócili uwagi. Szczęście jest w takich małych kawałeczkach naszego życia?

– Dziękuję, że zwróciłeś na to uwagę, bo uważam, że w każdym dniu i w każdej jego godzinie można doświadczyć czegoś niezwykłego. Chociaż większość z tych postaci i zdarzeń, które opisuję, dotyczy ludzi zwyczajnych, a nawet przeciętnych, to przecież w ich życiu dzieje się też dużo rzeczy niespodziewanych, a nawet wspaniałych. Bliska jest mi chasydzka afirmacja życia i radosny trud zbierania „świętych iskier”, które mogą być wszędzie: w człowieku, zwierzętach, rzeczach martwych. Staram się o nich pisać. Czy to szczęście? Bardzo możliwe.

– Ale czy można się cieszyć z tego, że jest się człowiekiem całkowicie zniszczonym, który ma luki w pamięci, którego wyniszczają narkotyki? Myślę o opowiadaniu „Bajka spod szaletu”. Poprzez nagłe przypomnienie przeszłości bohatera nagle widzimy, że przed laty to był ktoś zupełnie inny.

– Najwyraźniej niewiele go to obchodziło. Wybrał tak zwane „chodzenie na bajkę”, czyli dawanie sobie w żyłę, wolał się odurzać niż śpiewać songi Brechta z gitarą. I z tym jest mu raczej dobrze, w pewien sposób jest szczęśliwy i spełniony. Dopóki się nie wykończy. Obiektywnie ponosi klęskę, ale nie narzeka, w narkotykowym odurzeniu kontempluje swoje miasto: od kładki nad torami przy Dworcu Gdańskim po Ogród Saski. A wszystko to w letni, słoneczny dzień. Czy to nie jest piękne?

– Czy współczujesz swoim bohaterom?

– Tak, współczuję. Współczuję także temu ćpunowi, bo przecież za swe uniesienia poniesie straszną cenę. Nie tłumaczę go, w ogóle nikogo nie tłumaczę

i niczego nie wyjaśniam. Za moim ulubionym Isaakiem Bashevisem Singe-rem powtarzam sobie, że pisarz nie musi wyjaśniać i tłumaczyć czytelnikowi świata. On powinien go tylko opisać. Co staram się od kilku lat robić na miarę moich możliwości, rzecz jasna.

– Wojtku, dlaczego wojna? Wojna współczesna w twoim opowiadaniu, Afganistan. Dlaczego taki temat, śmierć najbliższej osoby, osierocone dziecko? Mówimy o własnych wyborach. Przecież ten człowiek nie pojechał na wojnę dla pieniędzy. Żołnierz, przygoda, „bo inni chłopcy wrócili”, ale przecież nie wszyscy wracali.

– I jeszcze coś, co starałem się w opowiadaniu „Kolibier i ja” uwydatnić. On pojechał tam, bo czuł się żołnierzem, a obowiązkiem żołnierza – tak jak go rozumiał – jest walczyć. Ponadto wydało mi się, że to jest temat jeszcze nieobecny w literaturze, i że jeszcze nikt nie opisał losów wdowy po żołnierzu z misji w Afganistanie. A przecież było tych ofiar kilkadziesiąt, a dokładnie 43 żołnierzy. Pomyślałem, że warto skreślić portret młodej kobiety z dzieckiem, wdowy, która musi żyć z poczuciem straty, tęsknić, borykać się z lękiem o siebie i o przyszłość dziecka. Są przecież żony, matki, dzieci, które zostały opuszczone i żyją koło nas, chodzą po ulicach, siedzą w kościele w ławce obok, stoją w kolejce do kasy w sklepie. To też jest sprawa dzielnicy, w której mieszkam. Obok mnie żyje wiele rodzin żołnierzy, jest przecież Akademia Sztuki Wojennej, a w Warszawie-Wesołej stacjonuje wielka jednostka pancerna i jest poligon. W nocy i w dzień czasem słyszę strzały stamtąd. To na pewno była dla mnie inspiracja podczas pisania tego opowiadania. Poza tym muzyka. Lubię akustyczne brzmienia i wyobraziłem sobie, że wdową po żołnierzu z Afganistanu jest dziewczyna śpiewająca i grająca bluesa. Zapytam raz jeszcze, Wacku, czy to nie jest piękne?

– Kim dla ciebie jest Zosia Posmysz, wybitna pisarka, nasza koleżanka ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich? W jednym z opowiadań zatytułowanym „Psie żarcie” jest bohaterką drugiego planu, ale przecież niezwykle ważną, powiedziałbym nawet, że kluczową, bo jest punktem odniesienia do tego, co robi główny bohater.

– Dla mnie to zaszczyt i świetna sprawa, że mogę być kolegą ze Stowarzyszenia takiej osoby jak Zofia Posmysz. Kiedyś robiłem z nią wywiad

dla „Rzeczpospolitej”, a potem pomyślałem, że szkoda, by ten materiał przepadł. Gazeta, wiadomo, rzecz ulotna, chciałem to jakoś utrwalić. A potem doszło też do mnie, że cierpimy na zalew drugorzędnej literatury o Auschwitz. Jakieś romanse, tatuażysta w Auschwitz, historia doktora Mengele w popularnym sosie, wszystko to jest jakąś próbą zagarnięcia tamtego koszmaru przez popkulturę, co wydaje mi się mocno niezdrowe. Chciałem trochę odwrócić tę sytuację, napisać prawdę. W opowiadaniu mamy więc dzieje Zofii Posmysz, pisarki, autorki „Pasażerki”, od momentu jej aresztowania w Krakowie, poprzez pobyt w Auschwitz, w Ravensbrück i Neustadt-Glewe, aż do wyzwolenia tego obozu. A przeplotłem to historią dziennikarza, faceta, który robi z nią ten wywiad, a do tego przypadkiem próbuje psiego żarcia z zapasów swego pupila. Dlaczego tak czyni? Zachęcam do lektury całości.

– Niektóre z twoich opowiadań to migawki. Chodzi mi o twoją umiejętność łapania różnych zewnętrzności, jak w opowiadaniu „Orzech”. Dla mnie to jest trochę symboliczne – otwarte okno, słyszysz rozmowę, nie dostrzegasz ludzi, ale budujesz jakąś historię. To jest bardzo plastyczne.

– „Orzech” to ważne dla mnie opowiadanie, choć krótkie. Historia drzewa, chłopca i dwóch psów. Mam nadzieję, że może ktoś dotrze do tych tekstów za dwadzieścia pięć, pięćdziesiąt lat i będzie mógł wyobrazić sobie takie podwórko. Może nawet poczuć zapach zupy pomidorowej z kuchennego okienka, a więc znaleźć się na chwilę w dawnym mieście, bo przecież takiej Warszawy już wtedy nie będzie.

– Ten tom kończysz prawdziwym hołdem dla Marka Nowakowskiego, naszego kolegi, przyjaciela. Z racji wieku znałem Marka znacznie dłużej od ciebie, ale ja nie biegałem po flaszkę, a tobie się zdarzało. Jak często chodziłeś z Markiem po Warszawie? To były częste wyprawy?

– Bywały. Kiedy nastał odpowiedni czas i coś się zebrało, umawialiśmy się i gdzieś szliśmy. Czy to w jakimś celu czy bez celu. Różnie to bywało. W opowiadaniu „Magiczne światło miasta” starałem się to ocalić. W tym roku mija pięta rocznica śmierci Marka Nowakowskiego i szczęśliwie się złożyło, że w mojej książce znalazł się ten tekst. Czas leci, my też już nie jesteśmy najmłodszy i nie chciałem, aby gdzieś zniknęły te wszystkie gorące wrażenia, które

wówczas miałem, chodząc z pisarzem po Warszawie, rozmawiając czy słuchając, jak czyta mi fragmenty tego, co właśnie pisał...

– Czytał ci, bo chciał wysłuchać twojej oceny?

– Prawdopodobnie. Ale Marek w ogóle lubił czytać głośno i chciał sprawdzić, jakie to jest, sam przed sobą. Był krytyczny wobec tego, co sam pisał, co pisali inni.

– Mnie się zdarzyło kilka razy bywać z Markiem w „Samsonie”, ale nie wędrowałem z nim po mieście. I trochę ci zazdroszczę tej przygody. Nie wszystkich dopuszczał do tych wypraw. A jego znajomi? Niby nikt szczególny, jakiś pan, który naprawia maszyny, ale gdyby poznać jego historię... Bo przecież historia życia człowieka to pewna suma zdarzeń, ciekawych, mniej ciekawych, ale takich, które się układają w pewną całość, i dla Marka te obserwacje to był niewątpliwie materiał do pisania. Ty się czujesz w jakiejś mierze kontynuatorem tej tradycji. Nie chcę powiedzieć, że w jakiegokolwiek mierze jest to naśladownictwo Marka, tylko czy czujesz, że idziesz takim samym tropem?

– Marek miał też bardzo dużą umiejętność słuchania. Zwykle gdy się spotykamy, to mówimy jak najwięcej o sobie, a mało słuchamy innych. Natomiast on potrafił każdego wysłuchać, każda z tych historii była dla niego ważna, dlatego Ignęli do niego różni ludzie, i prości, i profesorowie. I kochali to jego słuchanie, stawali się ważni i podniesieni przez swą opowieść. Oczywiście, jakieś wątki później wykorzystywał podczas pisania. Czy ja działam podobnie? Raczej intuicyjnie, emocjonalnie. Nigdy zresztą nie zakładałem, że – tak jak Marek Nowakowski – będę pisał opowiadania. Kiedy go po raz pierwszy spotkałem, w 1996 roku, w ogóle nie myślałem o pisaniu prozy. Nie poznałem go więc dlatego, że chciałem zostać pisarzem i moim zamiarem było podpatrywanie warsztatu mistrza. Nic z tych rzeczy. Raczej chciałem przekonać się, kim jest facet, którego książki od lat czytałem i były dla mnie ważne. Kto to jest, jak mu się żyje, jak się zachowuje, co myśli naprawdę. Wtedy pisałem jedynie recenzje do gazet i robiłem wywiady. Coś większego? Nie miałem odwagi. Pisanie przyszło samoistnie, z wewnętrznej potrzeby. Zresztą uważam, że jakiegokolwiek prawdziwe pisanie musi się z tym wiązać. Prawdziwe, czyli nienarzucone, nieschlebiające modzie, zapotrzebowaniu rynkowemu,

ideologii czy własnym ambicjom. Jeśli ktoś bardzo chce zostać pisarzem, to trzeba to uszanować, ale nie zawsze tak bywa, że nim zostaje, nawet jeśli wydadzą mu książkę i jest ona szeroko reklamowana. Dziś wokół jest wiele osób, które pisarzy udają.

– Nowakowski był jednym z pierwszych recenzentów twoich opowiadań?

– Czasami pokazywałem mu swoje teksty, zwłaszcza te pierwsze. Czytał i o niektórych mówił bardzo krytycznie, a niektóre podobały mu się. Myślałem wtedy tak: jeśli moje opowiadanie podoba się Markowi Nowakowskiemu, to już nikt nie ma prawa mi powiedzieć, że jest słabe. Płynąłem na fali. I dalej jadę z tym koksem, jak to się kiedyś mówiło. Markowi jestem wdzięczny przede wszystkim za to, że poświęcał mi swój czas i dodawał odwagi do pisania.

ROZMAWIAŁ WACŁAW HOLEWIŃSKI

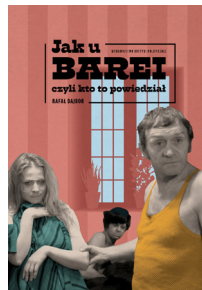
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 8/2019/

Skrzydlate słowa nieśmiertelności

ROZMOWA Z RAFAŁEM DAJBOREM

– Epizody były solą komedii Stanisława Barei?

– Oczywiście! W ogóle są solą dobrego filmu czy serialu, a bywa, że gdy sam obraz oraz wykonawcy (nie lubię słowa „odtwórcy”) głównych ról pozostawiają wiele do życzenia – to właśnie one stają się największym walorem. U Stanisława Barei dochodził jeszcze dodatkowy czynnik – fabuły jego komedii były jawnie pretekstowe. Nić fabularna służyła temu, by obudować ją dziesiątkami sytuacji, w których absurd peerelowskiej codzienności dawał się odczuć w całej swojej mocy. Przy takiej konstrukcji scenariusza wykonawcy ról epizodycznych zyskiwali wielkie pole do popisu! Proszę zwrócić uwagę, że mamy wiele kultowych filmów, z których pochodzą kultowe cytaty. Trylogia o Kargulu i Pawlaku, „Rejs”, seriale Jerzego Gruzy, komedie Juliusza Machulskiego, „Piłkarski poker”, „Psy”, filmy Marka Koterskiego i Olafa Lubaszenki... Ale wszędzie te najślynniejsze kwestie przypadały aktorom grającym role główne, a nawet jeśli np. w „Kingsajzie” słynne słowa: „Nie kop pana, bo się spocisz” wypowiedziała wykonawczyni epizodu, to była nią Beata Tyszkiewicz, celowo obsadzona w epizodzie jako „guest star”. Bareja jest pod tym względem wyjątkowy. W jego filmach gros słynnych cytatów wypowiadają ci naprawdę o wiele mniej znani aktorzy.



– Aby „odkurzyć” bohaterów książki, musiał się pan przeistoczyć w archiwistę i detektywa?

– Jestem nim z natury, więc nie tyle się przeistoczyłem, co po prostu uruchomiłem właściwe mi cechy charakteru. Zebranie wiadomości do książki wymagało wielu rozmów, spotkań, odwiedzin w czytelni Instytutu Teatralnego (wspaniałej instytucji, której zasoby archiwalne są naprawdę niezastąpione), kwerendy książek, gazet, czasopism i internetu. Ponieważ bohaterowie książki byli aktorami drugiego planu, nierzadko wspomniano o nich tylko „przy okazji”, niewiele artykułów napisano o nich samych. W przypadku

niektórych jedynym tekstem poświęconym konkretnie im był pośmiertny tekst autorstwa Witolda Sadowego... Smutne, ale prawdziwe. Oczywiście zupełnie innym przypadkiem był Mariusz Gorczyński – mój ulubiony aktor epizodu, którym zajmuję się w specjalny sposób już od 2003 roku, zaś od 2007 prowadzę poświęconą mu stronę internetową.

– Jak doszło do jej powstania?

– Temu tematowi moglibyśmy poświęcić osobny wywiad. Czasami tak się zdarza, że czyjaś sztuka aktorska, czyjś sposób grania zafascynuje. A ponieważ zawsze bardziej interesowałem się aktorami drugiego planu niż tymi grającymi role wiodące, to nic dziwnego, że obiektem mojej fascynacji stał się epizodysta. Dlaczego akurat Gorczyński? Złożyło się na to wiele rzeczy. Na początku – oczywiście samo jego aktorstwo. Stonowane, pozbawione nadmiernego okazywania emocji, bardzo filmowe, wręcz „amerykańskie”. Następnie – mój patriotyzm lokalny związany z warszawskim Powiślem, gdzie się urodziłem, gdzie chodziłem do przedszkola, podstawówki i liceum i gdzie do dziś mieszkam. To właśnie na Powiślu, na skrzyżowaniu Ludnej i Solca, Mariusz Gorczyński nakręcił swoją słynną scenę ze „zdanżaniem na czas” i wyrwaniem dachu fiata 125p, a potem, na tym samym skrzyżowaniu, w serialu Barei „Zmiennicy”, był przesadzany z taksówki do taksówki. Na moście Poniatowskiego, niemal pod oknami mojego mieszkania, kręcił sceny spotkania marszałka Piłsudskiego i prezydenta Wojciechowskiego w „Zamachu stanu” Ryszarda Filipskiego, gdzie wcielił się w towarzyszącego Piłsudskiemu oficera. Wreszcie – moja sympatia do serialu „07 zgłoś się”, w którym Gorczyński zagrał kilka niezwykle smakowitych ról, by wspomnieć tu choćby Edwarda Gabora – w odcinku „Wisior” kieszonkowca, a w odcinku „Strzał na dancingu” już awansowanego w przestępczej hierarchii gospodarza nielegalnego kasyna. Te czynniki zwróciły moją szczególną uwagę właśnie na Gorczyńskiego. A potem... to już poszło swoim biegiem i trwa do dziś.

– Zdążył pan poznać któregoś z bohaterów swojej książki?

– Nie zdążyłem. Byłem jedynie na pogrzebach dwóch z nich. Jerzego Karaszewicza w roku 2004 i Wojciecha Zagórskiego w roku 2016.

– W książce zabrakło mi sylwetki Mariana Łącza, a także informacji o epizodach u Barei tak znanych aktorów jak Jan Kociniak, Jan Kobuszewski czy wielka osobowość radia, telewizji i kabaretu – Zenon Wiktorczyk.

– Książka z założenia miała być poświęcona aktorom znacznie mniej znanym niż ci, których pan wymienia. Już Józef Nalberczak budził moje wątpliwości – czy aby na pewno pasuje do konwencji książki, w końcu w pewnym okresie był to aktor bardzo popularny! Łącz, zapalony wędkarz, od lat patroluje zawodom wędkarskim artystów. Jan Kociniak też był w ogóle aktorem powszechnie kojarzonym. Ponadto założeniem było opisanie tych, których karty życiorysów artystycznych już się zamknęły, stąd pominięcie Kobuszewskiego. Natomiast Wiktorczyk nie zagrał w żadnym innym filmie niż „Miś”. Selekcjonowałem postacie do mej książki, przyjmując za kryterium zasadę, że dany aktor wygłaszał w filmie Barei kwestię do dziś znaną. Częstokroć w przeciwieństwie do personaliów wypowiadającego.

– **Znane cytaty u Barei wypowiadały też aktorki. Będzie o nich książka?**

– Tak! Mogę to już ujawnić. Konwencja ulegnie tu pewnej korekcie (m.in. nie zawężam wyboru jedynie do artystek nieżyjących), bo kobiece bohaterki (w tym i te epizodyczne) w filmach twórcy „Nie ma róży bez ognia” to zupełnie inny temat, który trzeba „ugryźć” w nieco odmienny sposób. Dlatego właśnie książka „Jak u Barei, czyli kto to powiedział” od początku pomyślana była jako opowieść wyłącznie o aktorach mężczyznach. Pomieszenie tych tematów w jednej książce byłoby niewłaściwe, mylące i krzywdzące zarówno dla aktorów, jak i aktorek, których część trzeba by było pominąć. Przy dwóch książkach bohaterów i bohaterek może być znacznie więcej.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 8/2019/

Z boisk do celi

ROZMOWA Z PIOTREM DOBROWOLSKIM

– Skąd wziął się pomysł na pańską książkę?

– Wszystko zaczęło się od znajomości z Włodzimierzem Tramsem. Czołowym polskim koszykarzem przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zeszłego stulecia. Dość przypomnieć, że za rozgrywającego Legii Real Madryt oferował 300 tys. dolarów! Dodać należy, że gracz był stołecznym – jakbyśmy dziś rzekli – celebrytą. Bywał w modnych lokalach gastronomicznych i tanecznych, przyjaźnił się z artystami... W lutym 1971 roku wracał ze swym klubem z pucharowej potyczki w Neapolu. Na warszawskim dworcu kolejowym zatrzymał go patrol WSW. Ktoś doniósł, że wiezie kontrabandę. Istotnie, w przedziale ukrył woreczki z zakupionym we Włoszech złotem. Przemysłem dorabiali wówczas niemal wszyscy nasi sportowcy wyjeżdżający na Zachód. Koszykarza aresztowano, a potem przykładowie ukarano. Otrzymał wyrok 5-letniego więzienia. Odsiedział 3,5 roku. W celi spotkał więźniów politycznych: Czumę, Modzelewskiego, Zygmunta Garbackiego – zabójcę płk. Jana Gerharda, czy Ericha Kocho – niemieckiego zbrodniarza wojennego skazanego na dożywocie.



– Skłonił pan do zwierzeń Wojciecha Ozimka...

– Z czego jestem szczególnie dumny, ponieważ po opuszczeniu przez niego więzienia żaden dziennikarz z nim nie rozmawiał. Przypomnijmy, że piłkarz, będąc pod wpływem alkoholu, spowodował wypadek samochodowy i zabił trzy osoby. Po odbyciu ponad połowy z siedmioletniego wyroku powrócił na boisko. Tyle że nie występował już w Górniku Zabrze, lecz Hutniku Kraków. Po zakończeniu piłkarskiej przygody został trenerem. Dziś pracuje w Niemczech.

– Niektórych z opisanych nie ma już wśród żywych...

– Choćby bramkarza Widzewa Stanisława Burzyńskiego. Za kratkami wyłądował z podobnego powodu co Ozimek. Tyle że na szczęście potrącony

przez jego auto przechodzeń przeżył. Sportowiec po odbyciu kary wrócił do futbolu, lecz nie uporał się z traumą. Popęłił samobójstwo.

– Dwóch bohaterów książki zapoznało się z zagranicznymi zakładami karnymi...

– Szermierz Michał Majewski spędził kilka miesięcy w areszcie tureckim, gdyż wdał się w bójkę na lotnisku w Stambule, a zapaśnik Roman Wrocławski przebywał w amerykańskim więzieniu, oczekując na ekstradycję do Polski.

– Ktoś odmówił panu opowiedzenia swej więziennej historii?

– Pięściarz Artur Szpilka w ogóle nie zareagował na próbę nawiązania kontaktu, natomiast atleta Mariusz Pudzianowski najpierw się zgodził, a później zmienił zdanie. Zapewne jednak nie dotarłem do wszystkich ludzi polskiego sportu z epizodem kryminalnym w życiorysie.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

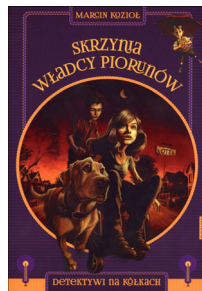
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 8/2019/

Komputery, Tesla i odlot w Nepalu

ROZMOWA Z MARCINEM KOZIOŁEM

– Marcinie, jesteś autorem kilkunastu książek dla dzieci i młodzieży. Jak zaczęła się twoja przygoda z pisaniem?

– Całkiem możliwe, że będziesz zaskoczona. Kiedy byłem dzieckiem, pisałem dla dorosłych. Dopiero jako dorosły zacząłem pisać dla dzieci. A wszystko zaczęło się 25 lat temu. Wtedy drukiem ukazała się moja pierwsza książka napisana przez nastolatka dla miłośników komputerów. To był poradnik. Uczylem programowania. Prawdopodobnie w tym roku książka będzie wznowiona i ukaże się w limitowanym nakładzie dla hobbystów, miłośników starych komputerów. Potem było jeszcze kilka innych książek o komputerach, wiele artykułów do czasopism dla miłośników ośmiobitowców.



– Dostałeś stypendium?

– Tak. To był ten moment, kiedy otrzymałem stypendium i liceum skończyłem już w Szkocji w Gordonstoun. To słynna szkoła, ostatnio rozslawiona także w Polsce przez serial „The Crown” o brytyjskich monarchach. Mało kto wie, że autorka Harry’ego Pottera wymyślając Hogward, miała wzorować się właśnie na tej szkole.

– I tak zająłeś się magią.

– Niezupełnie. Po maturze zająłem się dziennikarstwem i przedsięwzięciami internetowymi. Przez wiele lat nie pisałem. Ani artykułów, ani książek. Ale kiedy zmieniałem pracę i miałem kilka wolnych miesięcy, najpierw pojechałem na długą wyprawę po subkontynencie indyjskim. Mając przymusowy wielogodzinny postój w szczerym polu pomiędzy Waranasi a Dardżyling, przeglądałem różne anglojęzyczne książki w moim Kindle’u. Trafiłem na krótką autobiografię Nikoli Tesli. Znałem tę postać, ale na nowo odkryłem tamtej nocy... To wtedy zacząłem szkicować swoją pierwszą książkę adresowaną do młodego czytelnika.

– Dzisiaj to lektura szkolna...

– Tak, lektura uzupełniająca dla klas 4-6. To tam w środku nocy w zatłoczonym indyjskim pociągu narodził się pomysł na „Skrzynię Władcy Piorunów”, pierwszą część serii „Detektywi na kółkach”. Zaplanowałem połączenie współczesnej detektywistycznej opowieści z równoległe opowiedzianą prawdziwą historią opartą na dokumentach i innych źródłach. W tym wypadku miała to być historia Nikoli Tesli. Byłem przekonany, że czytelnik uzna ją za jakieś science-fiction. Uwierzy za to we współczesną intrygę.

– Tymczasem było odwrotnie.

– Właśnie. Nieprawdopodobne wydarzenia z przeszłości w tej serii oparte są na faktach. Choć i we współczesnej historii jest wiele odniesień do rzeczywistości. Spajk, pies asystujący, ma swojego protoplastę mieszkającego w Warszawie. To pies asystujący Szalonego Wózkowicza – Marka Sołtysa. Natomiast dziewczynkę na wózku realizującą swoje marzenia i rozwiązującą zagadki – wymyśliłem. Choć potem spotkałem kogoś do niej bardzo podobnego. Swoją drogą, do dzisiaj nie wiem, dlaczego podczas tej egzotycznej wyprawy wymyśliłem kryminał dla młodzieży, a nie książki podróżnicze.

– Takie również napisałeś.

– Ale na ich pomysł wpadłem już w Polsce znacznie później. Napisałem serię podróżniczą dla dzieci o Wombacie Maksymilianie. Połączyłem powieść przygodową, rysunki Mariusza Andryszczyka oraz zdjęcia, które sam zrobiłem podczas wielu moich wypraw. I dodałem do tego tajne kody, ukryte w książkach, które odblokowują na komputerze lub telefonie dodatkowe atrakcje dla czytelników.

– Także inne twoje książki są multimedialne, bardzo nowoczesne. Czy masz sygnały od czytelników, jaki jest odbiór?

– Bardzo dużo podróżuję po Polsce, prowadząc warsztaty w szkołach i bibliotekach. Widzę, jak młodzi odbiorcy od razu próbują, testują, dopytują, jak te multimedialne dodatki działają. Myślę, że takie elementy wzbogacają książki. Na przykład w mojej serii „Stajnia pod tęczą” napisanej z Kasią Dowbor, czy „Pogodzie dla puchaczy” współtworzonej z Bartkiem Jędrzejakiem, bajkowa, ilustrowana historia uzupełniona jest filmami nagranyymi przez współautorów. W ten

sposób przy okazji przeżywania bajkowych przygód czytelnik poznaje też opowiedzianą językiem filmu, czy też bardziej środkami wyrazu YouTube'a, historię zjawisk przyrodniczych, pogodowych, poznaje zwyczaje zwierząt. Książka przygodowa dla dzieci staje się też nieco popularnonaukowa. Ale nauka nie jest tu przedkładana nad zabawę. Bez niej próba edukowania nie wypali.

– Czy to jest dobry sposób, żeby zachęcić młodzież do czytania?

– Jestem przekonany, że to skuteczny sposób na przyciągnięcie tych, którzy rzadziej po książki sięgają. Ale jednocześnie wcale nie uważam, że książka musi wspomagać się takimi narzędziami. Rzeczywiście, u mnie to dość częsty zabieg. Niemniej, w serii dla starszych dzieci – „Detektywi na kółkach” – takich dodatków multimedialnych nie ma. Ba, nie ma nawet ilustracji. Za to są zagadki naukowe, wartka akcja i szyfry. Potrzebne są różne książki. I klasyczna forma nadal może się bardzo dobrze obronić.

– Czy masz wypracowany system pisania?

– Tak. I jest dość nietypowy. Przy książkach, które łączą rysunki, zdjęcia, filmy, kody dostępu do multimediiów musiałem znaleźć swój własny sposób na to, żeby ułatwić wszystkim pracę... Piszę od razu w programie służącym do składu książki. W ten sposób wydawca dostaje kompletny projekt książki z zaznaczonymi miejscami na ilustracje, konkretne zdjęcia i pozostałe elementy, np. strony służące do twórczej pracy dla czytelnika. W ten sposób panuję nad tym, by wszystkie elementy doskonale ze sobą współgrały. Oczywiście, całość potem składana jest na nowo, wiele rzeczy trzeba dopracować i zmienić po tym, jak powstaną ilustracje. Ale wszyscy w tym procesie trzymają się pierwotnej makiety wymyślonej przeze mnie na etapie pisania. Czasami kusi mnie nawet, by mówić nie o pisaniu, tylko tworzeniu książek, bo czuję się współautorem nie tylko tekstu, ale i zdjęć, tych wszystkich stron kreatywnych i multimedialnych dodatków. Ale jednocześnie bardzo lubię też tę – nieco prozaiczną, i to dosłownie – metodę, kiedy dłuższe książki dla młodzieży piszę tak zwyczajnie w edytorze tekstów. Ale i tu posiłkuję się zdobyczami techniki. Ponieważ opieram się na gromadzonych z różnych źródeł faktach, notatkach, drobnych pomysłach, mam specjalne programy komputerowe służące do ich katalogowania. Ostatnio jednak kupiłem sobie zwykłą tablicę korkową i przypinam do niej karteczki z pomysłami.

– Który z tytułów sprawił ci największą frajdę w trakcie przygotowania, a następnie pisania książki?

– Każda z serii jest zupełnie inna. I każda czerpie z innej mojej pasji. Od lat podróżuję po świecie. Zwiedziłem z aparatem ponad 50 krajów. Pisząc „Wombata Maksymiliana i misję na dachu świata”, dotarłem do Nepalu. A że książka o podróżniczych przygodach powinna być trochę „odlotowa”, tym razem postanowiłem, że i bohater nauczy się latać. A ja razem z nim. No i polatałem w Himalajach na paralołtni, motolotni i odrzutowcem podczas widokowego przelotu. Wszystko po to, by zrobić do książki odlotowe zdjęcia lotnicze i część akcji osadzić w takich właśnie niecodziennych okolicznościach. To był chyba ten projekt, który dał mi najwięcej frajdy...

– Sam wybierasz tematy czy to propozycje wydawnictwa?

– Najczęściej wydawcy dostają propozycję wydania niemal gotowej już książki i konspekt kolejnych jej części. Zdarzyło mi się jednak także przyjąć zadanie pisarskie – bardzo konkretny temat. Tak było w przypadku dwóch najnowszych książek z serii „Już czytam. Zagadki matematyczne”, otwierających nowy rozdział w znanej wydawniczej serii. Tutaj musiałem wytłumaczyć we wciągający sposób między innymi twierdzenie Pitagorasa.

– Czy dobrze zauważyłam, że pisząc książki, realizujesz swoje pasje i zainteresowania?

– Zdecydowanie. I są one też ich odbiciem. Potrafię pisać „na zamówienie”, ale zwykle piszę właśnie o swoich pasjach. Najpierw zarażam nimi wydawców, a potem czytelników. Tak powstały książki o koniach, książki podróżnicze czy „Szalona historia komputerów”. Ta ostatnia była dla mnie podróżą w czasie. Podróżą do dzieciństwa, kiedy zafascynowały mnie pierwsze komputery ośmiobitowe. Ta pasja nie przeminęła. Kolekcjonuję komputery ośmiobitowe. Czasami wyciągam je z magazynu, odkurzam, uruchamiam. A czasami zabieram niektóre na warsztaty, które organizuję dla młodzieży i dzieci. Obok kilku różnych programów warsztatów dla najmłodszych i młodych czytelników są też propozycje przeznaczone dla starszych uczniów, a nawet dla dorosłych. I to podczas właśnie tych spotkań rozbieramy takie zabytkowe komputery na części, a na koniec... gramy w gry sprzed ćwierćwiecza. Zarówno uczestnicy, jak i ja mamy wtedy niezłą zabawę.

– Nad czym obecnie pracujesz?

– Nad kolejną część serii „Detektywi na kółkach”. Bohaterowie po raz trzeci zmierzają się z zagadkami wymagającymi od nich nie tylko sprytu i odwagi, ale także wiedzy i inteligencji. Znowu będą musieli wykazać się zdolnością łamania szyfrów. A ich przygody połączą się z wydarzeniami z przeszłości, które znowu oparte będą na faktach z życia niesamowitej postaci. Będzie to bardzo znaczący naukowiec, który miał fascynujące, niezwykle życie. W Polsce jest to jednak jeszcze mało znana postać. Dzisiaj nie zdradzę, o kim mowa, ale niebawem zagadka się wyjaśni... Moja żona i jednocześnie menedżerka, Kasia Chrzanowska-Kozioł, bardzo dba o to, bym skupił się teraz na tym jednym tekście i rzeczywiście prace nabrały tempa...

ROZMAWIAŁA MAŁGORZATA J. BERWID

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 9/2019/

Przeprowadzka pod lufami

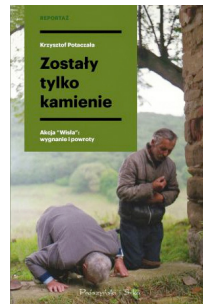
ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM POTACZAŁĄ

– Akcja „Wisła” była konieczna, aby w Bieszczadach zapanował spokój?

– To pytanie zadają sobie historycy i publicyści od wielu lat. Niektórzy twierdzą, że bez jej przeprowadzenia na południowo-wschodnich rubieżach Polski jeszcze długo lałaby się słowiańska krew; inni – że z UPA można się było szybko rozprawić, ale nie wypędzać całej ludności ukraińskiej i mieszanej ukraińsko-polskiej z rodzinnej ziemi. Że obarczenie wszystkich mieszkańców Bieszczadów i Beskidu Niskiego odpowiedzialnością za rozpętanie konfliktu zbrojnego, ataki na cywilów i mundurowych, a w konsekwencji za śmierć wielu ludzi – było błędem, a nawet grzechem. Zostawiono setki zrujnowanych, opustoszałych wsi, które zaczął porastać las. Zniszczono substancję materialną, w tym sakralną; doprowadzono do zerwania więzi społecznych i do zburzenia wielokulturowej tradycji pogranicza.

– Katalizatorem operacji była śmierć gen. Karola Świerczewskiego. Do dziś okryta nimbem tajemnicy...

– Akcję „Wisła” przygotowywano na długo przed zabiciem generała „Waltera”. Ukraińców pozbywano się z terenu Rzeczypospolitej już od 1944 roku, w 1946 roku nastąpiły masowe przesiedlenia do USSR. Niby, jak zapowiedziała władza, dobrowolne, a w rzeczywistości przymusowe. Kto zdążył się ukryć, ten został, choć bez świadomości, że na krótko. Śmierć Świerczewskiego pod Jabłonkami, w sumie przypadkowa, bo banderowcy nie wiedzieli o obecności w kolumnie transportowej polskiego wiceministra obrony narodowej, na pewno przyspieszyła wielką operację wysiedleńczą. Dokładnie w miesiąc po tym, jak upowskie kule przeszły ciało „Waltera”, rozpoczęto wypędzanie rdzennej ludności. Był 28 kwietnia 1947 roku. Trzy miesiące później oficjalnie zakończono akcję „Wisła”, chociaż wywózki trwały jeszcze do końca lat czterdziestych.



– Dokąd trafiali przesiedleni?

– Głównie na tzw. Ziemie Odzyskane, czyli na Pomorze, Mazury i na południowy zachód Polski. Z tym, że deportowani nie od razu o tym wiedzieli. Czasem dowiadawali się o tym w trakcie podróży, nierzadko tygodniowej, a niekiedy dopiero na stacji docelowej. Stamtąd rozwożono ich ciężarówkami lub furmankami do przydzielonych wsi lub – rzadziej – miasteczek. Trafiali do poniemieckich gospodarstw, które w większości były solidniejsze niż te pozostawione na Bojkowszczyźnie i Łemkowszczyźnie, jednak nie brakowało domów zupełnie zniszczonych, bez okien i drzwi, bez pieców, pozbawionych jakichkolwiek sprzętów gospodarskich. Ukraińcy musieli zaczynać nierzadko od zera. Ale część wypędzonych ze swojej batkiwsczyny (ojcowizny) trafiła bardzo dobrze i był to dla nich rzeczywisty skok cywilizacyjny. Co nie zmienia faktu, że zostali mocno skrzywdzeni przez samo wygnanie z miejsca, które było dla nich najdroższe.

– Wywózka odbywała się w warunkach niegodziwych?

– Z relacji osób, z którymi rozmawiałem, wynika, że bywało różnie. Jedne transporty były lepiej zaopatrzone, w miarę czyste, a załoga konwojująca pomocna; inne wlokły się w nieskończoność, panował brud, a żołnierze odnosili się do wysiedleńców z pogardą. Wyzywano mężczyzn i kobiety od bandytów, zrównywano ich z mordercami.

– Ilu wysiedlonych powróciło do macierzy? Kiedy?

– Nie znam precyzyjnej liczby, na pewno jednak kilkaset rodzin – nie tylko w Bieszczady, także w Beskid Niski, na Pogórze Przemyskie. Pierwsi, najbardziej zdeterminowani, zaczęli wracać w 1956 roku. Powroty trwały jeszcze w latach sześćdziesiątych. Większość z tych ludzi nie osiadła w swoich rodzinnych wioskach, lecz gdzie indziej, niekiedy blisko miejsca urodzenia. Moim zdaniem decyzja o powrocie do krainy młodości wymagała od rodzin ukraińskich wręcz heroizmu. Mieli świadomość, że odtąd będą żyć w zdecydowanej mniejszości, a wielu polskich sąsiadów będzie ich traktować z niechęcią, jeśli nie z nienawiścią. I to się później potwierdziło. Część Ukraińców długo nie zaznała spokoju. Wybijano im szyby w oknach, dzieci nazywano małymi banderowcami.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 9/2019/

Ja się nie tylko literaturą zajmuję. Jeżdżę na rowerze

ROZMOWA Z HUBERTEM KLIMKO-DOBRZANIECKIM

– Właśnie ukazała się twoja najnowsza książka „Złodzieje bzu”. Czytelnicy czekali na nią dwa lata. Przyzwyczaiłeś ich do krótszego czekania. Dlaczego tym razem trwało to dłużej?

– Ja się nie tylko literaturą zajmuję. Jeżdżę na rowerze. Jak wiesz, to jest bardzo czasochłonne zajęcie. Piszę między pedałowaniem a innymi przyjemnościami i obowiązkami. Nie piszę na czas. Moje książki nie są aż tak wyczekiwane przez czytelników jak pielgrzymka papieża. A poza tym niech młodość się wyszumi. Słyszałem, że jest taki jeden w Polsce, który stuka po trzy, cztery 500-stronicowe książeczki rocznie. Chłód ma na nazwisko, czy jakoś tak z zimnem to nazwisko ma powiązane. Rzeczywiście, minęły właśnie dwa lata od wydania mojej ostatniej książki, zbioru opowiadań pt. „Dzender domowy i inne historie”. Dwa lata to dobry odstępek.



– Zaczynasz swą książkę słowami: „Tatko o dwie głowy był wyższy od mamy. Topola i jabłonka”, dużo jest w niej odniesień botanicznych. Skąd bez w tej powieści?

– Na studiach nazywali mnie „Mister Botanical”. Interesowała mnie przyroda. Drzewa, krzewy, a w szczególności trawa.

– Kto kradnie bez i dlaczego?

– Nie mogę spojlerować. To się zawsze źle odbija na sprzedaży.

– Jak narodził się pomysł na książkę? Jaką ma genezę?

– Pomysł narodził się 32 lata temu. Tylko w tamtym czasie nie potrafiłem pisać książek. Musiałem się doksztalić. Wtedy, dawno, dawno temu, na Dolnym Śląsku poznałem pierwowzory literackie. Proces inkubacji był więc

bardzo długi. Ale nareszcie przeżyliśmy poród i dziecko trafia do rąk czytelników.

– **Historia, którą opisujesz, rozciąga się przez kilka dziesięcioleci i obejmuje okres, którego nie znasz z autopsji oraz ten, w którym już żyłeś. Czy opisywanie nieznanymi czasów było literacko trudniejsze? A może było na odwrót?**

– Żyli i jeszcze żyją ludzie, którzy tamte odleglejsze czasy pamiętają. Pozwoli mi z siebie czerpać. Przemysłane pisanie nie jest moim zdaniem aktywnością łatwą.

– **Czytając „Złodziei bzu”, miałem wrażenie, że to prowadzona w pierwszej osobie gawęda i że nawet bardziej niż przeczytać, chciałbym ją usłyszeć. Potwierdziło się to zresztą podczas pierwszego czytania w Warszawie. Świetnie się tę książkę słucha, niczym pieśń. Czy taki był twój zamysł podczas pisania?**

– Ja tę książkę pisałem „na głos”. Proponuję też tak ją czytać. Być może wydanie audiobooka nie byłoby złym pomysłem, choć żałuję, że pan Hańcza od dawna nie żyje, przeczytałby ten tekst znakomicie.

– **Czy mógłbyś wskazać literackie inspiracje tej książki?**

– Przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego, Lecha Wałęsy, Gomułki, Stalina, Lenina, Kwaśniewskiego. Kazania Józefa Glempa i księdza Natanka. A przede wszystkim książki Hrabala, Čapka, Škvoreckiego i Haška.

– **Mija niemal dwadzieścia lat od twojego debiutu. Masz już kilkanaście książek na koncie, jesteś doświadczonym, rozpoznawalnym i nagradzanym pisarzem. Jak pisało się tę książkę? Czy były momenty zawahania, chwile przestoju, wątpliwości?**

– Z każdą następną książką czuję się jak przed debiutem.

Czy uważasz, że historia jest dobrą nauczycielką?

– Gdyby tak było, Polska radziłaby sobie lepiej niż Szwajcaria.

– **„Pisarz osobny”. Czy podpisujesz się pod takim określeniem?**

– Poproszę o następne pytanie.

– Na koniec sztamkowe, ale nieodzowne pytanie. Jakie dalsze plany literackie? Czy już nad czymś pracujesz?

– Obecnie pracuję nad sobą. Jak się coś napisze, to będę to chciał wydać, rzecz jasna, ale mam takie podejście, że każda ostatnia książka może być właśnie ostatnią. Nie odczuwam przymusu pisania. Lekarze psychiatrzy mówią, że to oznaka zdrowia psychicznego.

ROZMAWIAŁ PIOTR MILEWSKI

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 10/2019/

Opowieści otaczają nas jak powietrze

ROZMOWA Z KRYSYTNĄ MIREK

– We wrześniu ukazała się pani dwudziesta piąta książka, a premiera dwudziestej szóstej odbędzie się przed świętami. Jaka jest recepta na sukces Krystyny Mirek?

– Wierzę we własne siły. Wierzę w to, że pracowitością, entuzjazmem i pasją można wiele osiągnąć. Największym sukcesem są dla mnie listy od czytelników, którym pomogły moje książki: ktoś poszedł na studia, postanowił się odchudzać, zdecydował się na rehabilitację lub zmianę zawodu. Jedna z czytelniczek napisała, że dzięki „Podarunkowi” przy jej wigilijnym stole zapanował spokój. Jestem wtedy bardzo szczęśliwa. Takich listów dostaję dużo, nie tylko od kobiet. Piszę powieści lekkie i przyjemne, jednocześnie poruszam ważne życiowe kwestie. Moi bohaterowie radzą sobie z różnymi problemami, aby czytelnicy, którzy mają podobne, mogli pomyśleć: „a może mnie też by się udało?”. Chcę, żeby wiedzieli, że mogą zmienić życie na lepsze. Wiem, że to możliwe, ja sama też to zrobiłam, konsekwentnie, krok po kroku.



– Kiedy pani, mama czwórki dzieci, podjęła decyzję o zajęciu się pisaniem zawodowo?

– Późno. Tuż przed czterdziestymi urodzinami. Chciałam to zrobić już wcześniej, ale wiele lat czekałam na tak zwany odpowiedni moment. Żyłam w dużym pośpiechu, jak wiele kobiet. Dzieci, dom, praca. Na mnóstwo ważnych spraw nie było czasu. I nagle któregoś dnia się obudziłam i uświadomiłam sobie, że niedługo skończę 40 lat. Było to dla mnie ogromne zaskoczenie. Oczywiście, nie jestem pierwsza, którą to spotkało. Ale mnie się wydawało, że dopiero skończyłam studia, wyszłam za męża. Lata upłynęły nie wiem kiedy. Do tej pory pamiętam w każdym szczególe ten przełomowy dla mnie moment. Zatrzymałam się i pomyślałam: ale jak to czterdzieści? A gdzie są te wszystkie rzeczy, które miałam zrobić, te marzenia, które miałam zrealizować? Gdzie się podział ten czas? I wtedy powiedziałam sobie: koniec z tym.

Złożyłam sobie trzy ważne obietnice. Po pierwsze: zostanę pisarką. Po drugie: przestanę żyć w pośpiechu. Po trzeciej: urodzę czwarte dziecko. Sama nie wiem, które zadanie było najtrudniejsze, wszystkie z różnych powodów ocierały się o niemożliwe. A jednak zostały zrealizowane. Zajęło mi to trzy lata. W 2014 roku ukazała się moja ósma książka, mogłam zwolnić się z pracy i poświęcić pisaniu. W lutym urodziłam najmłodszego synka. Nasze życie bardzo się zmieniło. Owszem, wciąż dużo pracuję, robię wiele rzeczy, ale teraz czas biegnie dużo wolniej, rok to jest epoka, a nie pstryknięcie, nauczyłam się celebrować dni. Na to, co ważne, jest czas.

– Grono pani wiernych czytelników stale się powiększa.

– Bardzo się z tego cieszę i jestem za to wdzięczna. Dużo jeżdżę po Polsce, spotykam się z czytelnikami na spotkaniach autorskich, rozmawiamy. Kiedy pisałam pierwszą książkę, nikt o mnie nie słyszał. Zaryzykowałam. To był strzał ślepyimi nabojami w ciemność. Zupełnie nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Studia polonistyczne nie przygotowują do tego zawodu. Długo zdobywałam wiedzę, która jest potrzebna, by się w tej branży odnaleźć. Dziś dotarłam do punktu, że kiedy zapowiedź książki ukazuje się w internecie półtora miesiąca przed premierą, w ciągu jednej nocy tytuł wchodzi na listę bestsellerów. Tak było też z ostatnią powieścią „Światło gwiazd”. Czytelniczki okazują mi ogromne zaufanie. Poświęcam mnóstwo czasu i sił, by ich nie zawieść.

– Cztery książki rocznie to niesamowite tempo.

– Nie zawsze tak było. Moja pierwsza książka powstawała wiele lat. Nad pierwszym zdaniem myślałam rok. Dziś to tempo przyspieszyło, ale teraz zajmuję się wyłącznie pisaniem, któremu poświęcam wiele godzin dziennie. Jestem rozpisana, mam wypracowany warsztat, dobre warunki do tworzenia oraz stały dopływ pomysłów. A także, co najważniejsze, wsparcie w czytelnikach.

– Jak można się tego nauczyć?

– U mnie trwało to długo i myślę, że ten proces nigdy się nie skończy. Zawsze można coś zrobić lepiej. Do dwudziestej piątej książki podchodzę z takim samym przejściem jak do pierwszej. Wiedzę gromadzę cały czas. Od

początku dużo czytałam – powieści, wywiadów, biografii. Wszędzie szukałam odpowiedzi, jak to zrobić. Jeździłam na spotkania autorskie innych pisarzy, siadałam w ostatnim rzędzie i słuchałam. I zastanawiałam się, co oni takiego wiedzą, czego ja nie wiem, że oni są pisarzami, a ja nie? Rozkładałam dobre powieści na czynniki pierwsze i próbowałam dojść, jak one są konstruowane, z jakich elementów, badałam warsztat. To wciąż trwa i jest moją pasją.

– Ogromny podziw budzi w pani książkach tak bogaty wachlarz tematów, postaci, epok, historii, sytuacji... Skąd Pani czerpie pomysły?

– Opowieści są wszędzie, otaczają nas jak powietrze. Potrafię je usłyszeć, odnaleźć. Niektóre przychodzą do mnie same, inne wymyślam. Inspiracją są dla mnie między innymi kobiety, ich twarze, słowa, przeżycia. Ale także przypadkiem zasłyszane zdanie, fragment powieści, muzyka, jakieś miejsce, które odwiedzam. Właściwie wszystko. To czasem trochę magiczne przeżycie. Kładę ręce na klawiaturę i opowieść zaczyna płynąć. Zanim skończę, w kolejce zbierają się kolejne, dojrzewają, rosną, pączkują i dobijają się do wyobraźni. To bardzo różne historie. Moje bohaterki mają 19 lat lub 60. Są rozwiedzione, zamężne, wychodzą za męża, nie chcą nigdy ślubu, są singielkami. Bezrobotne, pracujące, z wyższym, średnim, niższym wykształceniem. Mieszkają nad morzem, w Krakowie, Warszawie, wszędzie. Żadna z nich nie jest w pełni mną, a jednocześnie w jakiś sposób każda z nich to ja.

– Czy z głową zawsze pełną pomysłów na kolejne książki znajduje pani czas na odpoczynek?

– To też jeden z elementów życiowej zmiany. Odpoczywać nauczyłam się z czasem. Dawniej cały rok ciężko pracowałam, potem robiłam przerwę i jechaliśmy na wakacje, a po powrocie wpadałam w ten sam kocioł. To słabo działało. Zmęczenie i poczucie przeciążenia szybko wracało. Teraz odpoczywam na bieżąco. W mniejszych dawkach, ale stale regenerując siły. Każdego dnia znajduję choć jedną małą chwilę dla siebie, w każdym tygodniu jedno popołudnie, w miesiącu weekend, a w roku organizujemy rodzinne wakacje. Często też wyjeżdżamy w góry, które całą rodziną lubimy, spotykamy się z przyjaciółmi. Odpoczywam także, pracując w ogrodzie. Rośliny to moja pasja.

– We wrześniu ukazała się czwarta część „kasztanowej” tetralogii. Powstanie ciąg dalszy?

– Na ten moment to ostatnia część „Willi pod Kasztanem”. Nie planuję kontynuacji. Ale kto wie? Są powieści, które zakończyłam, zamknęłam wszystkie wątki, a Czytelnicy od lat proszą o ciąg dalszy, chcą wiedzieć, co słyszać u bohaterów. Odpowiadam na takie prośby. Między innymi dlatego w przyszłym roku ukaze się czwarty tom serii „Jabłoniowy sad”. Chętnie tam wrócę.

– Ma pani swoich prywatnych doradców, recenzentów?

– Kiedy tworzy się opowieść, dzieje się to za zamkniętymi drzwiami. Nie opowiadam o fabule, rzadko na ten temat z kimś dyskutuję. Ale gdy skończę, jestem otwarta na uwagi. Nową książkę najczęściej czyta moja mama, potem przyjaciółka, moja rówieśniczka, reprezentantka średniego pokolenia. A później córki, nastolatki. Wszystkie wyrażają opinię, zgłaszają uwagi. Bywa, że się kłóć – moja mama uważa na przykład, że „ten powinien być z tą”, a przyjaciółka na to: „za nic w świecie!”. Słucham tych głosów i czasem wprowadzam ich postulaty. Czytam też regularnie opinie Czytelników w sieci i rozmawiam z nimi na spotkaniach autorskich. Jest dla mnie ważne, co mówią.

– Po dwudziestej piątej powieści doczekała się pani własnego gabinetu. Gdzie dotychczas pani pisała?

– Na początku wszędzie. Na przystankach autobusowych, w przychodniach, na nudnych szkoleniach, w autobusie, w pociągu. Stopniowo awansowałam: najpierw miałam własne biurko w sypialni, potem kącik na poddaszu, następnie własny pokój do pisania. Teraz go urządzam tak, jak sobie wymarzyłam. I mam nadzieję, że będzie mi się tam dobrze pisało. Już się bowiem przekonałam, że najlepsze historie niekoniecznie powstają w idealnych warunkach. W razie czego w gabinecie będę tylko odpisywać na maile.

ROZMAWIAŁA JOANNA HABIERA

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 10/2019/

Dwa pegazy i rozbrykane wiersze

ROZMOWA Z AGNIESZKĄ FRĄCZEK

– We wrześniu Rada Języka Polskiego przy Prezydium Polskiej Akademii Nauk przyznała Pani tytuł Ambasadora Polszczyzny Literatury Dziecięcej i Młodzieżowej. Spodziewała się Pani takiego wyróżnienia?

– Nie tylko się nie spodziewałam, nie wiedziałam nawet, że moja kandydatura była brana pod uwagę. Dlatego telefon z wiadomością o przyznaniu mi tytułu Ambasadora Polszczyzny był dla mnie dużą niespodzianką. I jeszcze większą radością!



– Napisała pani na swoim profilu społecznościowym, że piękniejszej nagrody nie mogła sobie wymarzyć. Czy właśnie ten tytuł uważa pani za najważniejszy? Zaznaczmy, że jest pani również laureatką nagrody Edukacja 2008, wyróżnienia Duży Dong przyznawanego przez Polską Sekcję IBBY, Nagrody im. Marii Weryho-Radziwiłłowicz...

– Tak, zdecydowanie tak. Bo to jest nagroda, z którą najsilniej się utożsamiam. Język polski zawsze był mi bliski, zawsze był dla mnie ważny. Od dziecka uważnie mu się przyglądałam i przysłuchiwałam, nieustannie miałam pytań na pęczki. Na początku studiów zajmowałam się wprawdzie wyłącznie – lub niemal wyłącznie – językiem niemieckim, ale już na czwartym roku, kiedy przyszła pora pomyśleć o pracy magisterskiej, postanowiłam, że jej bohaterami uczynię obydwa języki: i niemiecki, i polski. Również później konsekwentnie i świadomie wprowadzałam polszczyznę do niemal wszystkich swoich prac, przede wszystkim do rozpraw doktorskiej i habilitacyjnej, a także do większości artykułów naukowych. Tytuł Ambasadora Polszczyzny jest dla mnie ważny również z tej przyczyny, że (współ)przyznaje go Rada Języka Polskiego. Jest on więc w moim odczuciu rodzajem legitymacji, uprawniającej mnie – germanistkę! – do pisania o języku ojczystym.

– Agnieszka Frączek w błyskotliwy i zabawny sposób wpaja najmłodszym wiedzę o języku, określana jest wirtuozką słowa. Olga Tokarczuk otrzymała Literacką Nagrodę Nobla za narracyjną wyobraźnię. Wyobrażenia i wirtuozeria słowa to chyba coś, co panie łączy?

– Bardzo dziękuję za „wirtuozkę”, ale nie ośmieliłabym się porównywać z noblistką. Uważam wręcz, że nie wypada mi tego robić. I to nie jest kokieterial

– **Jan Brzechwa pozostaje pani duchowym i artystycznym mistrzem?**

– Wychowałam się na wierszach Jana Brzechwy i, przyznaję, Brzechwa był przez pewien czas moim artystycznym mistrzem. Pierwsze wiersze – te, które powstały, kiedy jeszcze nawet nie marzyłam o związaniu przyszłości z pisaniem – były bardzo Brzechwowskie. To się jednak dość szybko zmieniło. Nie chcę powiedzieć, że wyrosłam z Brzechwy – bo z Brzechwy nigdy się nie wyrasta – ale poszłam swoją własną ścieżką. W zwykłych rymowanych opowieściach szybko zaczęło mi czegoś brakować. Nie wiem, czy moim czytelnikom również, ale mnie na pewno. Pomyślałam: „Przecież ja jestem językoznawcą. Mam się czym dzielić!”. To wtedy język stał się tematem moich książek.

– **Na jednym ze spotkań dzieci pytały, ile wierszy pani napisała. Czy ta tajemnicza liczba jest już znana?**

– Oj, nie! Dla mnie ta liczba wciąż pozostaje tajemnicą. I myślę, że nigdy tej tajemnicy nie odkryję.

– **W pierwszym, jak napisał Marcin Niziurski, historycznym utworze opisała pani pierwsze kroki Weroniki. Od tego tekstu wszystko się zaczęło? Kolejne wiersze korelowały w jakiś sposób z doświadczeniami młodej mamy?**

– Zaczęło się wszystko od książek, które czytaliśmy Weronice. To one, książki, od naszych pierwszych wspólnych chwil czytane czy to na kanapie, czy na dywanie w dziecięcym pokoju, stały się moją inspiracją. Wiersze rzeczywiście „rosły” razem z Weroniką. Ale w pewnym momencie przestaliśmy – moje książki i ja – nadążać. Bo moja córka już jest dorosła, a ja wciąż piszę dla dzieci. Cóż, pewnie nie dorosłam do pisania dla dorosłych. I niech tak zostanie!

– **Homonimy, homofony i frazeologizmy nie są pani obce. Serwuje pani te wszystkie terminy w bardzo apetycznej wersji. Pani wiersze to**

niezbędne towarzystwo dla podręcznikowych definicji, by młodzi ludzie mogli je sobie przyswoić. Tworzy pani nowy, lepszy wymiar poprawnej polszczyzny dla najmłodszych?

– Nie, nie. Ja tylko staram się młodym czytelnikom uświadamiać to, co dla mnie jest oczywiste – piękno polszczyzny. Próbuję ich otwierać na język. Zachęcać do zabaw językiem i do rozmyślań nad nim. A czytelników odrobinę starszych namawiam do ograniczenia zaufania do własnej, często zawodnej, intuicji językowej. Do wypracowania bardziej refleksyjnego stosunku do języka. Sieję w moich czytelnikach i słuchaczach wątpliwości, bo wierzę, że te wątpliwości już są sukcesem. Że im częściej wątpimy, tym więcej stawiamy pytań. A im więcej pytań – tym więcej odpowiedzi. Do słownika czy poradnika językowego nie zajrzy przecież ten, kto nie wątpi we własną wiedzę. Mówiąc ogólniej: odpowiedzi nie będzie szukał ktoś, kto nie ma pytań.

– W Polsce nie ma chyba biblioteki, w której nie byłoby ksiązek Agnieszki Frączek. W większości placówek gromadzone są konsekwentnie wszystkie tytuły. Szerokie uśmiechy, rymy, odrobina absurdu, trochę fantazji – to przepis na dobry wiersz?

– Nie znam przepisu na wiersz, obawiam się nawet, że taki przepis nie istnieje. Ale rzeczywiście, w moich tekstach są wszystkie wymienione przez panią składniki: uśmiech i rymy, absurd i fantazja. Dodałabym jeszcze szacunek do czytelnika. Wiarę w jego możliwości. Czasami słyszę: „To słowo trzeba zastąpić innym, bo dzieci go nie znają”. Nie znają? Świetnie! To znaczy, że podczas lektury nie tylko się uśmiechną, ale także czegoś nowego nauczą. Wierzę w dziecięcą ciekawość świata.

– Ma pani w swoim dorobku bardzo poważne opracowania, bez żartów i rozśmieszania czytelników?

– Tak, czasami zdarza mi się pisać, nie planując rozśmieszania czytelnika. Ale w ten ponury sposób powstają tylko prace naukowe, nigdy – książki dla młodych czytelników.

– Wykłada pani na Uniwersytecie Warszawskim. Czy do studentów mówi pani czasami wierszem?

– Mówię wprawdzie prozą, ale czasami zdarza mi się wesprzeć jakimś rymowanym przykładem. Moim ulubionym wsparciem są dwa pegazy: „Pegaz dęba” Tuwima i „Pegaz zdębiał” Barańczaka. Już tytuły książek zdradzają, jaką ucztą jest ich lektura, prawda?

– Książki dla najmłodszych dają pani więcej radości niż badanie i redagowanie słowników językowych?

– Jedno jest dopełnieniem drugiego. Pewnie nie pisałamby z taką radością niepoważnych wierszy, gdyby nie były one odskocznią od poważnej pracy naukowej. I odwrotnie – po postawieniu ostatniej kropki w rozbrykanej książce chętnie siadam do pracy nad artykułem naukowym. Ale... gdybym miała się pani przyznać po cichu, tak w tajemnicy, co cieszy mnie bardziej, odpowiedź mogłaby być tylko jedna: książki dla dzieci, oczywiście!

– Bardzo cenię sobie, oprócz serii logopedycznej, książki „Byk jak byk” i „Siano w głowie, czyli trafiła kosa na idiom”. Nie znam lepszych publikacji dla dzieci, które w tak obrazowy, przystępny sposób wyjaśniają językowe zawiłości i pułapki. Warto podkreślić, że jest to również nieoceniona pomoc dla rodziców i nauczycieli. Powiem więcej, powinni sięgnąć po te książki wszyscy, dla przypomnienia i zweryfikowania poprawności swoich wypowiedzi. Na pewno wielu dorosłych, czytając książki Agnieszki Frączek, zrobiłoby wielkie oczy, uświadamiając sobie popełniane błędy językowe.

– Rzeczywiście, czasami spotykam dorosłych odważnie przyznających się: „O! Tego nie wiedziałam/nie wiedziałem!”. Wielkie oczy, o których pani mówi, spostrzegam na przykład wtedy, kiedy inicjuję o dużej literze. Pytam: „Czy w zwrocie: »z dużej litery« kryje się jakiś błąd?”. Niemał zawsze pada odpowiedź: „Tak! Nie mówi się: »z dużej«, tylko: »z wielkiej«”. Ale nie w tym rzecz! Nie tu leży, że tak powiem, byk pogrzebany. Litera może być duża, a jeśli ktoś koniecznie chce – niech będzie wielka (tylko czy kilkumilimetrowa literka rzeczywiście zasługuje na to miano?). Problemem nie jest tu więc przymiotnik, a składnia. Zwrot: „z jakiejś litery” to rusycyzm. Po polsku nie powiemy przecież: zaczynam dzień „ze śniadania”. Zaczniemy dzień „śniadaniem” lub „od śniadania”, prawda? Zapisujmy więc również słowa „jakąś literą” lub „od jakiejś litery”, nie „z jakiejś litery”.

– Bardzo pomocne, zwłaszcza w książce „Byk jak byk”, są ilustracje. Ilustratorzy konsultują się z panią, zanim podejmą wyzwanie artystycznej interpretacji frazeologizmów i idiomów?

– To prawda, ilustracje w książkach są bardzo ważne. Tak samo ważne jak tekst. A może nawet ważniejsze? Bo przecież kiedy wracamy we wspomnieniach do książek z dzieciństwa, to pamięć najpierw podsuwa nam obraz. Dopiero później pojawia się wspomnienie tekstu. A odpowiadając na pani pytanie: zdarza się, że ilustratorka czy ilustrator chce omówić ze mną ilustracje przed przystąpieniem do pracy. Albo – częściej – na etapie szkiców. Chętnie wtedy zaglądam ilustratorowi przez ramię, staram się jednak nie ingerować w jego pracę. Robię to tylko wtedy, kiedy ilustracja okazuje się sprzeczna z moimi intencjami. Tak się zdarzyło, kiedy powstawała książka o adopcji – „Jeśli bocian nie przyleci, czyli skąd się biorą dzieci”. Na finałowej ilustracji, mającej pokazywać szczęśliwą rodzinę, na pierwszym tle znalazły się tylko mama i córka. Tata też był tam obecny, ale wędrował gdzieś hen, po odległym zielonym wzgórzu, taki mały, niemal niewidoczny. Poczułam, że ta ilustracja symbolizuje... rozbitą rodzinę. A przecież miało być pięknie! Kiedy podzieliłam się obawami z ilustratorką, spojrzała na ten obraz jeszcze raz i... namalowała nową finałową ilustrację.

– Uważa pani, że dzieci mogą samodzielnie czytać książki z ukrytymi frazeologizmami, czy raczej powinniśmy wyjaśniać, dopytywać, aby właściwie zrozumiały ich znaczenie? Wydaje się, że rodzic, dając dziecku do ręki taką mądrą książkę, zawsze chce, by zapamiętało, nauczyło się, by po lekturze wiedziało więcej.

– Ja również o tym myślę, pisząc o nauczaniu, nie tylko o zabawianiu. Ale jednocześnie staram się tak pisać, by moje książki można było czytać na różnych poziomach. Dziecko najpierw śledzi historię opisaną w wierszu, podąża myślami za fabułą. To naturalne. Dopiero później przychodzi czas na refleksję. Na dociekanie, cóż to za dziwnych zwrotów użyła autorka. Na dopytywanie o ich znaczenie.

– Piękny język polski w swym niezmiernym bogactwie skrywa przed czytelnikami jeszcze wiele tajemnic. Czy w najbliższym czasie możemy spodziewać się na rynku wydawniczym nowych książek autorstwa Agnieszki Frączek?

– Tak, niedawno w ręce jednej z moich ulubionych ilustratorek – Magdy Koziół-Nowak – trafiły „Dziadki i dziatki”. To książka o słowach starych i nowych, czyli o archaizmach i neologizmach. Wiem, te językoznawcze terminy brzmią groźnie. Aby więc nikogo nie wystraszyć, wyjaśnię, że pojawią się one dopiero na samym końcu książki. Wcześniej każdego, kto zajrzy do tej książki, czeka lektura rozbrykanych wierszy i krótkich komentarzy do nich, wyjaśniających znaczenie „dziadków” i „dziatków”. Zwłaszcza „dziatków”, dzieci nowo powstałe słowa przyswajają sobie bowiem z łatwością, ale już „kajet” czy „kałamarz” są dla nich wyrazami z zamierzchłej epoki, z innego języka niemal. To samo zresztą dotyczy też młodych dorosłych, większość moich studentów nie słyszała na przykład o „trotuarze”, „statków” też już nikt nie zmywa. Poza tym kończę książkę o jednym z najlepiej znanych przez dzieci poetów, pisałam już o Tuwimie, więc niemal nie wypada mi milczeć o...

– **O Brzechwie?**

– Oczywiście!

ROZMAWIAŁA MONIKA SIMONJETZ

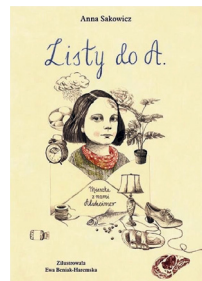
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 11/2019/

Nieproszony Pan A.

ROZMOWA Z ANNĄ SAKOWICZ

– „Będę do Pana pisać tak długo, aż się Pan wypro-
wadzi. Bardzo Pana proszę” – tak zwraca się Anielka
w swoim liście do Pana A., bohatera twojej książki.
Kim jest Pan A.?

– Pan A. to nieproszony gość. Wprowadził się do domu
rodziców Anielki razem z babcią Tosią. Dziewczynka jest
przekonana, że A. jest niewidzialny i bardzo złośliwy.
A tak naprawdę to alzheimer, choroba, którą zdiagnozowano u jej babci.



– Dziewczynka w pisaniu listów do nieznanego znajduje sposób na
zrozumienie nowej sytuacji w jej rodzinie, z którą jednak nie chce się po-
godzić. Jak wprowadzić dziecko w nowy, nieznany świat, który bardziej
niż kiedykolwiek bywa smutny, ale też dla dziecka niezrozumiały?

– Trudno o jednoznaczną odpowiedź, ponieważ każde dziecko jest inne, ale
na pewno trzeba z dziećmi rozmawiać. Warto do tego celu wykorzystywać
książki. Mądrze dobrana lektura może być pretekstem do tego, by poroz-
mawiać na ważne tematy. Nie wolno ich zostawiać samych z problemami
i udawać, że nic się nie stało. Dzieci są mądre i oczekują od nas, rodziców,
prawdy.

– Anielka pozwala sobie na zgrzyliwość wobec Pana A., ale także ciepłe
uczucia, pełne współczucia: „Dzisiaj to ja bym Pana nawet przytuliła, bo
zrozumiałam, że to nie Pana wina, ta choroba”. To chyba bardzo ważne,
by dziecku pozwalać na przeżywanie jego emocji, nie stopować ich, ale
towarzyszyć dziecku w tym procesie?

– Oczywiście, przecież emocje są bardzo ważne. To one pomagają nam zro-
zumieć świat i siebie. Należy się im przyglądać. Smutek, ból po stracie bli-
skich to naturalna reakcja, która dotyczy także dzieci i należy im pozwolić na
przeżywanie. A rodzic w takich momentach powinien być ze swoim dziec-
kiem i je wspierać.

– Podoba mi się podejście Anielki do choroby babci. Dziewczynka pozostaje optymistką, a jej listy tryskają, mimo wszystko, humorem. Czego my, dorośli, możemy – w takich właśnie granicznych sytuacjach – nauczyć się od dzieci?

– Kiedy spojrzymy oczyma dziecka na chorego z alzheimerem, to znajdziemy wiele zabawnych sytuacji. Bo jak się nie śmieć z butów w lodówce czy podlanych kwiatów w szufladach? Dla dziecka taka sytuacja jest zabawna. Natomiast dorosły zna konteksty tych zachowań, więc już dla niego raczej nie będzie to śmieszne. Może więc czasami warto te konteksty odsunąć na bok i po prostu się uśmiechnąć, bo to rozładuje napięcie i łatwiej będzie uporać się z bałaganem. Przyznam, że my w domu mamy właśnie takie podejście. Śmiejemy się, dodam, że razem z chorą mamą, która nie rozumie, że zrobiła coś złego. To zdecydowanie lepsze niż złość, pretensje czy zdenerwowanie.

– Czy ciebie, Aniu, Anielka też czegoś nauczyła? W twoim domu także mieszka Pan A...

– Anielka nauczyła mnie bardzo dużo. To dzięki niej oswoiłam trochę tego nieproszonego Pana A. Zrozumiałam też, że jedyny sposób, by to przetrwać, to jest uśmiech (taki mimo wszystko), miłość (to najlepsze lekarstwo) i nadzieja (ale taka wbrew nadziei). Nic nie da załamywanie się i histeryzowanie, kompletnie nic. Zrozumiałam to dopiero po napisaniu „Listów”. Sama zmieniłam się na chwilę w małą dziewczynkę. Tak było wygodniej, bo dzieciom „wypada” zadawać naiwne pytania, dorosłym chyba nie bardzo.

– Anielka coraz więcej widzi i czuje. Pisze, że musi pożegnać się z babcią, ale ma problem, bo nikt jej nie powiedział, jak to zrobić. „Jak można pożegnać się z kimś, kto wybiera się w podróż do nieba? Czy ja mam dać babci coś na drogę” – pyta Pana A. Jak rozmawiać z dziećmi o odchodzeniu, jak wytłumaczyć, czym jest śmierć?

– To zależy od dojrzałości dziecka. Wydaje mi się, że najważniejsze, to pozwolić dziecku na przeżywanie żałoby oraz odpowiadać szczerze na wszystkie pytania. Pozwalać mu na różne emocje i nie ukrywać swoich. Pozwolić również na udział w pogrzebie i w żadnym wypadku nie okłamywać.

– Pan A. zdobył się na odwagę i napisał w końcu do Anielki. Mnie najbardziej zapadły w pamięć te słowa: „Bez miłości życie byłoby puste”.

– Może brzmi to banalnie, ale przecież właśnie banały sprawdzają się w życiu najlepiej. Podczas pisania „Listów do A.” cały czas pytałam siebie, co mamy robić, jak postępować z chorą mamą. A odpowiedź przyszła bardzo prosta: najlepszym lekarstwem jest miłość. W dodatku można ją mieć bez recepty!

ROZMAWIAŁA KATARZYNA DOMAŃSKA

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 11/2019/

Piórkiem i pędzlem

ROZMOWA Z BARBARĄ GAWRYLUK

– Jakimi kryteriami kierowała się pani przy selekcji bohaterów książki?

– Najważniejszym był czas. Bardzo zależało mi na spotkaniu z artystami żyjącymi, bezpośrednimi świadkami wydarzeń sprzed lat, twórcami, którzy należeli do polskiej szkoły ilustracji i mogliby o tym sami opowiedzieć, wspominać, cofnąć się do tamtych czasów. Z każdym rokiem ta grupa się kurczy. Kiedy odchodzili Janusz Stanny czy Adam Kilian, zamykały się pewne rozdziały, a ja coraz mocniej uświadamiałam sobie, że trzeba zatrzymać czas, nagrywać, spisywać ich relacje.



Nie przypuszczałam, że tak boleśnie utwierdzę się w swoich obawach. Kiedy książka wychodziła z drukarni, zmarł Zdzisław Witwicki, a kilka dni po nim Bohdan Butenko. Spotkanie ze Witwickim było jednym z pierwszych, kiedy zapadła decyzja o pisaniu tej książki. Uspokoiliam się, kiedy zastałam go w bardzo dobrej formie, przytaczającego dawne lata ze wszystkimi szczegółami, bez zawahania wymieniającego nazwiska redakcyjnych kolegów, tytuły ilustrowanych książek sprzed blisko siedemdziesięciu lat. Spotkań i rozmów było więcej, bardzo cieszył się na tę książkę, uważnie czytał rozdział sobie poświęcony i dopytywał o losy kolegów.

Butenko wydawał się być wieczny. Od tylu lat obecny w polskim świecie książki dla dzieci, taki punkt odniesienia. Jako dziennikarka spotykałam go przy różnych okazjach, kilkakrotnie udało mi się go namówić na radiowe wywiady, znałam doskonale oszczędność jego wypowiedzi i powściągliwość w opowiadaniu o innych. Nie przypuszczałam, że nasza rozmowa do książki będzie jedną z ostatnich.

Drugie kryterium to źródła. Nie chciałam tworzyć książki encyklopedycznej, leksykonu będącego zbiorem dat i tytułów, wylizanką nagród, to jest dość dobrze udokumentowane w różnych opracowaniach. Zależało mi na opowieści o ludziach, więc w przypadku każdego bohatera szukałam historii, te najciekawsze trafiły do książki.

– Zabrakło mi w niej Jerzego Flisaka, Szymona Kobylińskiego czy Juliusza Puchalskiego...

– Myślę, że takich nazwisk można byłoby wymienić jeszcze kilkanaście. Początkowa lista obejmowała około pięćdziesięciu twórców. Może powstanie druga część? Wszystko zależy od czytelników. Teraz przekonamy się, czy ich to naprawdę interesuje, czy chcą wracać do dzieciństwa, albo, w przypadku młodszych, dowiedzieć się, jak powstawało to wyjątkowe zjawisko zwane polską szkołą ilustracji.

– Twórcy komiksów nie wchodzili w rachubę?

– Rzeczywiście nie ma ich w tej książce, może z wyjątkiem Mieczysława Piotrowskiego, no i Butenki. Jestem zdania, że komiks i środowisko twórców zasługuje na osobną opowieść. Warunki ich pracy były całkiem inne, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a o tych czasach jest przede wszystkim mowa w moich rozmowach, nie znajdowali się w centrum uwagi, ich złote lata dopiero miały nadejść.

– Najbardziej enigmatycznie jawi się Ewa Salamon... Nie pozostawiła śladów biograficznych?

– To prawda. Zagadkowa postać, jak mówili mi jej bliscy, bardzo chroniąca swoją prywatność. Nie dane mi było ją spotkać za życia, musiałam zdać się na relacje innych. W tym przypadku oni także zachowywali dyskrecję, co oczywiście jest zrozumiałe, ale bardzo trudne przy tropieniu biograficznych śladów. Dodam, że takich postaci, które musiałam porzucić w trakcie pracy, było kilka. To też świadczy o słabym udokumentowaniu tamtych czasów, czytałam wiele wywiadów prasowych, relacji z wystaw, przejrzałam setki katalogów, gazet i czasopism. Na wiele nazwisk w ogóle się w nich nie natknęłam.

– Największy prestiż na świecie uzyskał Janusz Grabiański czy też Zbigniew Rychlicki?

– Wymienia pan dwa bardzo ważne dla polskiej ilustracji nazwiska. Kilkoro z bohaterów mojej książki mówi o tym, że Grabiański zrobił największą karierę zagraniczną. Był znany przede wszystkim w Austrii, mówią o tym nie tylko jego przyjaciele, ale też żona, Joanna, która jest teraz największą ambasadorką jego twórczości, organizuje wystawy prac artysty. Ale wielu polskich

ilustratorów ma na koncie międzynarodowe sukcesy, chociażby Antoni Bora-tyński i Józef Wilkoń. Natomiast Rychlicki przez wiele lat łączył pracę artystyczną z kierowaniem zespołem, był dyrektorem artystycznym Naszej Księgarni. Zdobywał na świecie wyróżnienia, był jedynym polskim laureatem prestiżowej Nagrody im. Hansa Christiana Andersena. Wydaje się jednak z rozmów z rodziną i innymi artystami, że najważniejsza z upływem czasu stawała się dla niego praca redakcyjna. Był bardzo ceniony przez współpracowników, wszyscy, którzy zetknęli się z nim w Naszej Księgarni, wyrażali się o nim z wielkim szacunkiem.

– Czemu Butenko sygnował swe ilustracje po łacinie?

– O to już nie możemy go zapytać. Niestety zmarł w tygodniu premiery książki „Ilustrorki, ilustratorzy”. Nawet nie wiadomo, kiedy po raz pierwszy użył tej łacińskiej formuły, która oznacza po prostu „narysował Butenko”. Stało się to jego znakiem firmowym. Był bardzo tajemniczy, chociaż mam wrażenie, że w ostatnich latach częściej odstępował od zasad, które sam sobie narzucił. Odbierał telefony, dawał się namówić na wywiady, powstało o nim kilka dokumentów, a formuła „Butenko pinxit” używana jest często jako tytuł. Tak jak w mej książce.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

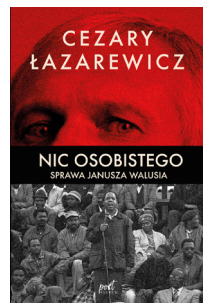
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 11/2019/

Zabójca ochotnik

ROZMOWA Z CEZARYM ŁAZAREWICZEM

– Do zamachu doprowadziło bohatera książki ideologiczne zaciętrzewienie, pamięć o zbrodniach komuny w Polsce, czy też wykonywał rozkaz zwierzchnika politycznego?

– Po prostu wierzył, że gdy Afrykański Kongres Narodowy przejmie władzę w RPA, kraj ten zginie i upadnie. Zaufał swemu przyjacielowi i politycznemu mentorowi Clive’owi Derby Levisowi, który tłumaczył mu świat. A ten akcentował, że można „ocalić” RPA, doprowadzając do zamieszek i przewrotu wojskowego. Zabójstwo Chrisa Haniego miało ten proces uruchomić. Janusz Waluś zgłosił się na ochotnika.



– „Sprawa Walusia” wywołała w RPA antypolonizm?

– Raczej nie, choć była taka obawa. Duża w tym zasługa ówczesnego ambasadora Stanisława Cieniucha, który spotkał się z Nelsonem Mandelą, by załatwić sprawę. Po tej wizycie Mandela miał przemówienie do narodu, w którym o zabójcy Haniego mówił: „człowiek, który przyjechał z daleka”, a nie Polak.

– W Polsce mit Walusia-antykomunisty bywa pielęgnowany. A w RPA?

– Tam jest na pewno mniej znany niż u nas. Ale wciąż każda informacja o możliwości zwolnienia go z więzienia trafia od razu do serwisów informacyjnych. W Polsce natomiast wraz ze wzrostem sympatii do nacjonalistycznej prawicy, która wybrała go sobie za patrona, rośnie rozpoznawalność i popularność Janusza Walusia. Jego portrety pojawiają się coraz częściej na stadionach i manifestacjach. Z roku na rok rośnie też liczba osób wysyłających mu z Polski życzenia.

– W celi będzie przebywał do śmierci?

– Sąd już trzy lata temu zdecydował o zwolnieniu warunkowym Walusia z więzienia. Wyrok miał wykonać minister sprawiedliwości, ale tak się nie stało. Dziś

prawnicy Walusia walczą o to, żeby decyzję sądową wprowadzono w życie. Czy tak się stanie, trudno przewidzieć, bo władze RPA są nieprzejednane w tej sprawie, a skazany do dziś nie wykonał gestu skrucy, który zjednałby mu przeciwników politycznych. Z drugiej strony – wszyscy przestępcy z czasów apartheidu już dawno opuścili więzienia. Jest ostatnim odbywającym karę za przestępstwo z pobudek politycznych w czasie dyktatury białych.

– Łatwo przystał na rozmowę? Utrzymujecie kontakt?

– Zgodził się na rozmowę, choć miał pewne wątpliwości. Zaryzykowałem i poleciałem do Pretorii. Spędziliśmy wiele godzin na rozmowach. Opowiedział mi o swoim życiu w Polsce, o tym, co skłoniło go do zabójstwa, o tym, jak radzi sobie w więzieniu. Byłem go ciekawy i dlatego te rozmowy przekraczały granicę dziennikarskiego wywiadu. Tak, czasem do mnie dzwoni, bo ja nie mam takiej możliwości. To są krótkie rozmowy, bo połączenia telefoniczne z RPA są bardzo drogie. Wysłałem mu książkę. Mam nadzieję, że znajomi dostarczą mu ją do więzienia i będzie mógł ją przeczytać.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 12/2019/

Reportaż to umiejętność opowiadania prawdziwych historii

ROZMOWA Z MIROŚLAWEM WLEKŁYM

– Jesteś reporterem z przypadku czy z przeznaczenia? Jaka była twoja droga do zawodu?

– Kiedy na początku szkoły średniej uświadomiłem sobie, że nie zostanę zawodowym piłkarzem, o czym wcześniej byłem święcie przekonany, a na zmianę profilu szkoły było już za późno, zacząłem po lekcjach w technikum elektrycznym na własną rękę nadrabiać zaległości w literaturze i historii. Z początku chciałem być dziennikarzem sportowym. Pierwszy staż: dział sportowy „Wieczoru Wrocławia” i współpraca z „Tygodnikiem Żużlowym”. Ale znów dość szybko uświadomiłem sobie, że dziennikarstwo sportowe nie jest dla mnie. Zacząłem pisać o otaczającej mnie rzeczywistości, najpierw w gazecie lokalnej, potem w „Newsweeku”. Teksty były coraz dłuższe, coraz bardziej dogłębne. Po kilku latach wiedziałem już, czego chcę i marzyłem, aby pójść drogą Kapuścińskiego...

– Czyli Kapuściński był dla ciebie wzorem? Od czego zaczęła się twoja przygoda z jego twórczością?

– Studiowałem filologię polską ze specjalnością „dziennikarstwo” na Uniwersytecie Wrocławskim. Kapuściński co roku przyjeżdżał do nas z wykładem. To był dla mnie szok: najskromniejszy i najbardziej speszony człowiek świata, który mówił o najważniejszych na świecie rzeczach. W tamtych czasach marzyłem jeszcze, by zostać korespondentem wojennym, jeździć w najbardziej niebezpieczne miejsca, zdobywać informacje, których nie są w stanie zdobyć inni. Przeszło mi, gdy założyłem rodzinę.

– Poza Kapuścińskim, kto jeszcze zainspirował cię wtedy do pisania?

– To chyba zbieg okoliczności, że zaraz wymienię samych Włochów. Po prostu ich czytałem, choć nigdy nie myślałem o tym jako o włoskiej szkole



reportażu. To Tiziano Terzani, Oriana Fallaci, Paulo Rumiz. Ten ostatni chciał opublikować mój reportaż we włoskiej „La Repubblica”. Już prawie był przyjęty do druku. Ale wtedy zmieniła się makieta i z jakichś przyczyn został zdjęty. Wielki pech, ale też uwierzyłem, że skoro tak wielki reporter pochylał się nad moim tekstem, to może warto to ciągnąć. Że może nadają się na reportera.

– Kto inspiruje cię dzisiaj?

– Na nowo odkrywam George’a Orwella. Choć trudno nazwać jego książki reportażami, to jednak mogą być moim zdaniem wielką inspiracją dla reportażu literackiego. Poza tym kto może lepiej inspirować niż polscy reporterzy! Fascynowały mnie reportaże Beaty Pawlak. Nie wyobrażam sobie domowej biblioteczki bez Tochmana, Nowaka, Hugo-Badera czy Szczygła, a książkę tego ostatniego – i tu pewnie cię zaskoczę, bo chodzi mi o pozornie i stosunkowo mało znany „Kaprysik” – uważam wręcz za reporterski wzór. Tak właśnie powinno się opowiadać historie!

– No właśnie, czym według ciebie charakteryzuje się dobry reportaż? Co to właściwie jest reportaż?

– To umiejętność opowiadania prawdziwych historii. Najlepiej z dozą języka literackiego. A przekaz powinien być taki, żeby po przeczytaniu czy wysłuchaniu odbiorca nie mógł spokojnie usnąć. (Nawet wtedy, jeśli niesie pozytywną treść).

– Kim jest reporter?

– Dziennikarzem, który ma nieco więcej czasu na zbieranie i obrabianie materiału. Lub – to chyba jednak znacznie rzadziej – literatem, który ma umiejętność zbierania informacji. To taki ktoś, kto w piątej godzinie rozmowy nie boi się ośmieszenia i po raz piąty zadaje to samo pytanie, by wreszcie usłyszeć pogłębioną i szczerą odpowiedź.

– Czy ma dziś ważną rolę do spełnienia?

– Opowiedzenie ludziom o świecie. Niektórzy uważają, że jeszcze powinien mieć moc sprawczą: najlepiej, żeby po publikacji doszło do jakiegoś aresztowania lub przełamania jakiejś patowej sytuacji. Uważam, że niekoniecznie. Chociaż to fajny naddatek.

– Twoja najnowsza książka to biografia pewnego Walińczyka, o którym świat zapomniał. Opowiedz coś więcej o Garcie Jonesie. Kim był, jaki był, czym się zajmował i za co go powinniśmy pamiętać?

– Żył 30 lat bez jednego dnia i opowiadać o nim można by wiele, ale najważniejsze rzeczy w jego historii wydarzyły się w ciągu jednego miesiąca, na początku 1933 roku. Najpierw udaje się do Gdańska i przewiduje, że wkrótce miejsce to będzie na ustach wszystkich. Nazajutrz jako pierwszy korespondent zagraniczny zostaje zaproszony na pokład samolotu świeżo upieczonego kanclerza Rzeszy Adolfa Hitlera, po chwili lotu notuje: „Jeśli ten samolot ulegnie awarii, wpłynie to na historię całej Europy”. Potem przeprowadza wywiad z Goebbelsem, a ten mu otwarcie opowiada o ekspansji na wschód, i mówi: „Ucierpi Polska”. Z Niemiec jedzie do Moskwy i znów jako jedyny zagraniczny dziennikarz wydostaje się, mimo zakazu, ze stolicy. Dociera do Ukrainy, zbiera i ujawnia informacje o Wielkim Głodzie. Momentalnie staje się persona non grata. Nie tylko w Związku Radzieckim, ale nawet w USA czy ojczyściej Wielkiej Brytanii. Oczywiście nie spodziewa się też, że wkrótce przyjdzie mu przypłacić za swoją rzetelność dziennikarską życiem.

– Książka jest bardzo dobrze udokumentowana. Musiałeś długo nad nią pracować?

– Dobry rok. Ale byłem w takiej dobrej sytuacji, że twórcy filmu „Obywatel Jones” dostarczyli mi wszystkie materiały, jakie udało im się zebrać. Książka powstała więc równolegle z filmem Agnieszki Holland, choć nie były ze sobą ściśle powiązane: film jest fabularny, a książka 100-procentową opowieścią non-fiction. Aby dowiedzieć się więcej, oprócz wglądu do wszelkich archiwaliów, pojechałem też do Walii, z której pochodził Jones, a także poszedłem jego śladem, wzdłuż torów kolejowych, od rosyjskiej granicy do Charkowa. Po drodze, jak on, zbierałem informacje o Holodomorze.

– W jednym z wywiadów wspominałeś, że dla ciebie – jako dziennikarza – to bardzo ważna książka. Dlaczego?

– Bo to ważna dla świata historia. To po pierwsze. Po drugie – bo to ważna opowieść o dziennikarstwie, a ja przecież przede wszystkim jestem dziennikarzem. A po trzecie – z osobistych względów: bo to moja pierwsza książka,

w której przede wszystkim musiałem bazować na archiwach, a nie na własnym researchu.

– Gareth Jones ponosi klęskę. Ginie zamordowany przez porywaczy w Chinach w czasie swojej wyprawy dookoła świata. Pozostawia po sobie... no właśnie, co?

– Gdyby nie scenarzystka Andrea Chalupa i Agnieszka Holland, wciąż świat by o Jonesie nie wiedział. Już tylko nieliczni krewni i garstka ukraińskich historyków miała o nim jakieś pojęcie. Ostatni wnikliwy czytelnik jego tekstów – George Orwell – zmarł dawno temu. A teraz się okazuje, że Jones był jednym z największych bohaterów w historii światowego dziennikarstwa. Pokazał nam, co to znaczy nonkonformizm, bezkompromisowość, uczciwość i chęć dążenia do prawdy, bez względu na wszystko.

– Masz jakieś plany na kolejne książki? Planujesz zaskoczyć czymś czytelników?

– Nie mogę jeszcze zdradzić, ale tak, kolejna książka – jeśli chodzi o tematykę – będzie raczej zaskoczeniem. Ale też powrotem do moich dziecięcych (zawodowych, przeddziennikarskich) marzeń. Więcej nie mogę powiedzieć.

– Czym zajmuje się Mirosław Wlekły poza pisaniem reportaży i biografii? Jakież pasje, hobby?

– Podróże, na które coraz trudniej w moim zawodzie zdobyć pieniądze.

– Jakie ma marzenia?

– Zamieszkać w Portugalii, która od lat jest moim ukochanym miejscem na ziemi, i tam pisać książki. Najlepiej bez stresu, że znów zabraknie do pierwszego...

ROZMAWIAŁ PIOTR MILEWSKI

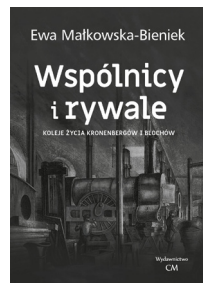
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 12/2019/

O dwóch takich, co budowali kolej

ROZMOWA Z EWĄ MAŁKOWSKĄ-BIENIEK

– Co skłoniło cię do napisania książki?

– „Zaprzysiężniłam się” z Blochem i Kronenbergiem podczas przygotowywania ekspozycji o nich w Muzeum Historii Żydów Polskich Polin. Ostatecznie władze Muzeum nie zdecydowały się na tę wystawę, ale dla mnie obaj już „ożyli” i „domagali się” pogłębionego kontaktu.



– Z czego korzystałaś, przygotowując książkę?

– Sięgnęłam po publikacje biograficzne i źródła z epoki, przede wszystkim ikonograficzne. Współczesne źródła okazały się niewystarczające, gdy chciałam detalicznie odtworzyć fragmenty życiorysów moich bohaterów. W rozprawie naukowej nie ma znaczenia, czy dzień, w którym coś się wydarzyło, był słoneczny, czy pochmurny oraz w jakim otoczeniu przebiegały wydarzenia. Powieść bez otoczki nie powstanie. Zaczytywałam się zatem w prasie dziewiętnastowiecznej. Miałam w tej dziedzinie pewne doświadczenie, bo swojego czasu odtworzyłam wygląd warszawskiej Wielkiej Synagogi na podstawie opisów prasowych. Analizowałam ilustracje z epoki, aby oddać klimat miejsc, czytałam relacje dotyczące pogody, żeby zaaranżować sceny w plenerze, sięgałam do kronik towarzyskich, aby zaczerpnąć wiedzy na temat bankietów, rautów itd.

– Powieść zawiera ogrom informacji o tytułowych postaciach i ich rodzinach oraz o otoczcze gospodarczej i społecznej tamtych czasów. To temat na pracę dokumentalną. Dlaczego zdecydowałaś się na formę fabularyzowaną?

– Dokumentów powstało już wiele, ale nie odtwarzają atmosfery epoki, nie analizują relacji rodzinnych. Co ważne, w dokumentach prawie nie ma kobiet! Zdałam sobie z tego sprawę, gdy wpatrywałam się w ślubny medalion Róży Kronenberg z napisem: „Światem kobiety jest dom”. W mojej powieści kobiety

są obecne i odgrywają bardzo ważną rolę. One tworzą życie. Kreowałam je na podstawie portretów, wydarzeń i dziewiętnastowiecznych zwyczajów. Na przykład starzejąca się Róża Kronenbergowa z upodobaniem pali fajkę. W całej Europie powszechnie używano wówczas tytoniu, pozwalały sobie na pykanie fajeczki również stare i niezależne kobiety, a Róża była przecież światową i bardzo bogatą wdową.

– W jakim stopniu obydwaj bohaterowie twojej powieści przyczynili się do rozwoju gospodarczego ziem polskich Zaboru Rosyjskiego i samej Warszawy?

– Nazywano ich królami kolei, a ten tytuł mówi sam za siebie. Istniejące i wciąż używane linie kolejowe na co dzień przypominają o „dwóch takich, co budowali kolej”. Obaj panowie zaangażowali się w rozwój bankowości i giełdy warszawskiej, w systemy kredytowe i ubezpieczeniowe. Chciałam pokazać różnorodność ich działań i np. przypominam aktywność Blocha dotyczącą kanalizacji warszawskiej. To zresztą dobra okazja, aby wprowadzić postać Sokratesa Starynkiewicza, rosyjskiego włodarza Warszawy.

– Przedstawiasz obie rodziny jako zasymilowane ze społeczeństwem nieżydowskim, choć pamiętające o swoich korzeniach. Jak określiłabyś ówczesne polskie społeczeństwo?

– Przede wszystkim przedstawiam dzieje dwóch biznesmenów i ich rodzin. W uwarunkowaniach dziewiętnastowiecznej Polski większość przedsiębiorców była obcego pochodzenia. Zostali wychowani w określonych tradycjach, które w sposób podświadomy kontynuowali. Jednocześnie żyli w polskim środowisku i wchodzili z nim w aliance. Tworząc galerię „Miaściczko” na wystawie stałej w muzeum Polin, uznaliśmy, że obecność książek odróżniała dom żydowski od domu ubogiego szlachcica czy bogatego chłopa. Żydzi uczyli się obcego języka (hebrajskim nikt nie posługiwał się na co dzień) od czwartego roku życia, polscy chłopi byli niepiśmienni, a w domu ubogiego szlachcica można było znaleźć co najwyżej ewangelie lub kalendarz rolniczy. Polska porozbiorowa to zupełnie inny twór. Warszawa była trzecim miastem wielonarodowego imperium, w którym rosyjscy urzędnicy wywodzili się głównie z Niemców nadbałtyckich, a przedsiębiorcy – z całego świata.

– **Prezentujesz czytelnikowi śmietankę towarzyską tamtych czasów, elitę kulturalną, gospodarczą i polityczną...**

– Wiele z tych osób było powiązanych rodzinnie lub towarzysko z głównymi bohaterami powieści. Wystarczyło to wychwycić i powstawała fabuła. Pojawiają się głosy, że Prus w „Lalce” sięgał do życiorysu Blocha i w pewnym stopniu na nim wzorował postać Wokulskiego. Wiadomo, że obaj panowie darzyli się wzajemnym szacunkiem.

– **W powieści podkreślasz pacyfizm Jana Blocha. O jego kandydaturze do Pokojowej Nagrody Nobla w 1902 roku wie dzisiaj niewiele...**

– Dlatego Fundacja im. Jana Blocha prowadzi rozmowy z Biblioteką Główną Województwa Mazowieckiego, aby wspólnie zorganizować wystawę przypominającą Blocha jako działacza dla pokoju. Jego partnerka w tym obszarze, Bertha von Suttner, jest stale obecna w europejskiej pamięci poprzez swój wizerunek na austriackiej monecie 2 euro. Jej imieniem został nazwany główny plac w Bonn, a Bloch, jak słusznie zauważyłeś, popadł w zapomnienie.

– **W jaki sposób obydwie postacie żyją dziś w świadomości Polaków? Kto o nich pamięta?**

– Grono zawodowców i miłośników historii. Jestem przekonana, że Kronenberg i Bloch zasługują na miejsce w powszechnej pamięci.

ROZMAWIAŁ ADAM SŁUPSKI

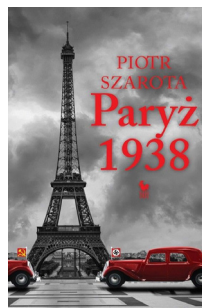
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 1/2020/

Trzy stolice

ROZMOWA Z PIOTREM SZAROTĄ

– W stolicy Francji AD 1938 pachniało jeszcze „Soir de Paris” czy już wojnę?

– Pachniało nieciekawie. Nerwowo zrobiło się już w marcu podczas kryzysu w Austrii, a wkroczenie Wehrmachtu do Wiednia uświadomiło ludziom, że ambicje Hitlera są dużo większe, niż początkowo zakładano. Na wiosnę realna stała się perspektywa wojny o Czechosłowację. We wrześniu, po ogłoszeniu mobilizacji w Paryżu, wybuchła prawdziwa histeria. Wojennej panice towarzyszyły brutalne ekscesy antysemickie, Żydów uznano bowiem za „podżegaczy wojennych”. Gdy Édouard Daladier i Neville Chamberlain podpisali układ w Monachium, wydawało się, że niebezpieczeństwo wybuchu międzynarodowego konfliktu zostało na dobre zażegnane. Paryżanie znowu zaczęli się bawić. Otrzeźwienie przyszło dopiero w momencie, gdy w marcu roku 1939 Hitler wkroczył do Pragi.



– Wydarzeniem roku był tam mundial?

– Nie mogłem sobie odmówić, żeby o tym w książce nie napisać! Wielu polskich kibiców interesujących się historią piłki nożnej doskonale wie, że właśnie podczas tamtego turnieju Polska rozegrała zacięty mecz z Brazylią. Bohaterem spotkania był napastnik Ernest Wilimowski, który strzelił aż cztery bramki, ostatecznie Brazylijczycy triumfowali jednak w dogrywce. Ten mundial to przykład na to, że w tamtych niespokojnych czasach nawet sport został podporządkowany polityce. Mimo że do turnieju zakwalifikowała się drużyna Austrii, została ona wycofana po Anschlussie, a jej gracze zasilili zespół III Rzeszy. Podobnie jak igrzyska olimpijskie w Berlinie, mistrzostwa świata w piłce nożnej we Francji stały się swego rodzaju promocją faszyzmu. W inauguracyjnym meczu reprezentacji Niemiec, ku zaskoczeniu większości widzów i w sprzeczności z zatwierdzonym protokołem, po tradycyjnym hymnie państwowym wykonany został hymn hitlerowski „Horst Wessel Lied”, a niemieccy zawodnicy wyciągnęli ręce w faszystowskim pozdrowieniu. Tak

samo robili zresztą przed każdym meczem Włosi, którzy ostatecznie zapewnili sobie mistrzowski tytuł.

– Przez narrację przewijają się liczne polonica...

– Paryż zawsze przyciągał Polaków, a niektórzy z nich na trwałe wpisali się we francuską kulturę. Jak choćby Tadeusz Natanson. Wraz z braćmi wydawał słynny magazyn literacko-artystyczny „La Revue blanche”, z którym współpracowali m.in. Marcel Proust, Alfred Jarry i późniejszy premier III Republiki, Léon Blum. Natanson był także pierwszym mężem Misi Godebskiej, która w pierwszej dekadzie XX wieku uchodziła za królową paryskich salonów. To właśnie Misia ułatwiła karierę swojej dobrej znajomej, Gabrielle Chanel, wspierała też urodzoną w Krakowie Helenę Rubinstein w budowie jej kosmetycznego imperium. W książce piszę też o Oldze Boznańskiej i Meli Muter, dwóch polskich malarkach, z powodzeniem funkcjonujących w Paryżu. W książce wspominam też o kilku osobach, które znalazły się tam tylko na krótko, chłonąc atmosferę miasta i korzystając z przebogatej oferty kulturalnej – tak było w przypadku Stefana Kisielewskiego, Andrzeja Panufnika i Juliana Przybosa.

– Tom kończy swoisty tryptyk zainaugurowany „Wiedniem 1913”, kontynuowany „Londynem 1967”. Dlaczego akurat te metropolie i te daty?

– W zamyśle te trzy książki miały złożyć się na subiektywną historię kulturową Europy. Wszystkie trzy stolice w różnych okresach pełniły funkcję ważnych centrów życia kulturalnego, które jak magnes przyciągały artystów i pisarzy nie tylko ze Starego Kontynentu, ale z całego świata. Daty, które wybrałem, poprzedzają kluczowe wydarzenia w historii europejskiej cywilizacji. Takimi wydarzeniami były z pewnością obie wojny światowe, w późniejszym okresie nie było już tak dotkliwych wstrząsów, ale kontrkulturowa rewolucja 1968 stanowi niewątpliwie ważną datę, która wyznaczała cezurę w myśleniu o obywatelowości, prawach kobiet i segregacji rasowej. 1914, 1939 i 1968 to daty, które znajdziemy w każdym podręczniku historii, ale mnie interesowało bardziej narastanie napięcia i rozkwit kultury, który poprzedzał te przełomowe momenty.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 1/2020/

Zygmunt Nowakowski – czas powrotu

ROZMOWA Z PAWŁEM CHOJNACKIM

– 480 stron gęstego druku... Jak długo pisze się taką biografię, ile lat się zbiera do niej materiały?

– Plus 120 stron wkładek ilustracyjnych... Materiały narastały od lat kilkunastu, zrywami pisałem ją od lat dziewięciu, a z Zygmuntem Nowakowskim nie rozstaję się zupełnie od prawie dwóch. Cudów tu nie ma – wszystko wymaga czasu. A ja nie piszę szczególnie szybko. Poza tym jestem wolnym strzelcem, ze wszystkimi pozytywnymi, ale i niesprzyjającymi – głównie długofalowej pracy twórczej – okolicznościami. Łatwiej też może sprokurować z zebranych materiałów cegłę naukową, ale zależało mi na odnalezieniu komunikatywnego, nie hermetycznego stylu. Gdy zadawałem sobie raz po raz wewnętrzne pytanie o etap prac, ukulem wieloznaczną odpowiedź: „Dramat w budowie!”.

– Tadeusz Nowakowski, Marek Nowakowski, Zygmunt Nowakowski. Trzech wybitnych pisarzy. Wyjaśnijmy: nie byli rodziną. Choć Tadeusza Zygmunt Nowakowski był gotów przysposobić. To, oczywiście, żartobliwa konwencja...

– Legenda mówi, że po ukazaniu się w 1957 roku powieści Tadeusza „Obóz Wszystkich Świętych” Zygmunt przesłał mu telegram ze słowami: „Mów mi wuju”. Znali się jednak, a nawet przyjaźnili dużo wcześniej. Dzielili ich spora różnica wieku – Tadeusz urodził się w roku literackiego debiutu „wuja” (1917). Nic nie wiadomo, by ten drugi wiedział w ogóle o istnieniu kolejnego literackiego „bratanka” czy „siostrzana”. Miał jednak chyba prawo przed 1963 rokiem z londyńskiej perspektywy nie dostrzec Marka.

– Zygmunt Nowakowski nie jest postacią tuzinkową, przed wojną był uznawany za – obok Boya – najwybitniejszego polskiego felietonistę,



dobrego pisarza, znaczącego dramaturga. Ale to pan, jako pierwszy, po trzydziestu latach od odzyskania przez Polskę suwerenności, napisał jego biografię. Nie było chętnych? Były przeszkody nie do przezwyciężenia? A może czas zweryfikował te wszystkie przymiotniki, jakimi określano dorobek Nowakowskiego?

– Miarą suwerenności państwa jest także stosunek do pamięci historycznej obywateli. Gdy po obronieniu doktoratu w University College London w 2009 roku wracałem z rodziną do kraju, naiwnie myślałem, że mam doskonały temat na habilitację, na nowy start tutaj. Pierwszą osobą, do której się udałem z tym pomysłem, był prof. Rafał Habielski z Instytutu Badań Literackich PAN, bo gdzieś miałem iść po UJ i UCL? Odniosłem wrażenie, że wówczas niespecjalnie cenił twórczość i postawę Nowakowskiego. Próby ponawiałem w wielu miejscach, wszędzie z podobnym skutkiem. Wieloletnie podchody do IPN-u to prawdziwa epopeja! „Zaciąłem się” i biografię napisałem przy okazji innych koniecznych prac bez żadnego krajowego poparcia instytucjonalnego i materialnego. Wspierał mnie – w miarę swoich możliwości – „Polski Londyn”, a dosłownie na ostatnim etapie – już wydawniczym – życzliwość okazał Instytut Książki.

Moim zdaniem właśnie w tej monografii udowadniam, że pochwał, którymi w swoim czasie obsypano Zygmunta Nowakowskiego – w wielu dziedzinach aktywności literackiej, artystycznej i społecznej – nie sformułowano na wyrost. Teraz też – po raz pierwszy – możemy jego postać ogarnąć jako całość, a nie w wycinkach...

– Nie używał rodzowego nazwiska, przyjął panieńskie matki. Dlaczego?

– Nazywał się Zygmunt Tempka i początkowo nazwisko Nowakowski obrał za pseudonim aktorski. To właśnie w świecie teatru zainaugurował swój pierwszy debiut. Potem przyszły następne. Artykuły w „Wiadomościach Polskich” NKN (służył ochotniczo w Legionach) podpisywał jeszcze podwójnie: Tempka-Nowakowski, podobnie jak „wojenną” powieść „Wymarsz”. Potem trwale pozostał przy samym „Nowakowskim”.

– Jego biografia ma więcej tajemnic?

– Nie wiemy na przykład, czy przeprowadził urzędową zmianę nazwiska... To oczywiście drobiazg, tajemnic raczej nie ma – jest szereg „białych plam”,

których w tej, powiedzmy, pionierskiej edycji nie zdołałem jeszcze szczegółowej wypełnić: wątki sportowy (wiceprezes „Cracovii”) i obrony praw zwierząt (założyciel Związku Opieki nad Zwierzętami) w jego społecznej aktywności w Polsce Niepodległej, dwie powieści i sztuka napisane podczas wojny w Londynie, nowelistyka i publicystyka na łamach prasy polonijnej w USA... Jego życie osobiste, głównie rola tak ważnej dla niego Róży Celiny Otowskiej (rodziny nigdy nie założył) – również domagałyby się pełniejszego naświetlenia.

– Powiedzmy kilka słów o jego karierze teatralnej. Według świadectw był aktorem wybitnym. Dostał znaczące role do zagrania: Poety w „Weselu”, Konrada w „Dziadach”, Hrabiego w „Nie-Boskiej komedii”, Don Ferdynanda w „Księżu Niezłomnym”.

– W „kilku słowach” o tym powiedzieć nie sposób... I znów muszę to powtórzyć – podobnie jest z kilkunastoma innymi motywami spletającymi się w jego twórcze życie. Nawet w sferze scenicznej grał kilka ról – nie tylko oryginalnego aktora, reżysera, dramaturga, ale i dyrektora oraz menadżera Teatru im. Juliusza Słowackiego, krytyka, popularyzatora, wykładowcy. Także i historyka...

– Jak się zaczęła jego kariera felietonisty?

– Ten kolejny debiut wiąże się z rozczarowaniem związanym z finałem trzyletniego dyrektorowania krakowskiej scenie miejskiej. Odniósł poważne sukcesy artystyczne i komercyjne (np. prapremiera „Akropolis” Wyspiańskiego, przebojowi „Krakowiacy i Górale”), ale skonfliktowany z władzami Krakowa, zmienia widza na czytelnika, jedną ważną „krakowską instytucję” na inną. Deski Teatru im. Słowackiego zastąpi od 1930 roku łamami „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”.

– Zarabiał ogromne pieniądze, nieporównywalne z żadnym innym felietonistą...

– Zarabiał dobrze, gdyż pisał świetnie. Stał się szybko popularnym człowiekiem instytucją od spraw mniejszych i ważniejszych. Wytworzył swój styl felietonu interwencyjnego, nie bał się zmagać z cenzurą, a nawet z premierem Sławojem Składkowskim (choć pozostał całe życie piśsudczykiem, okres sanacji

po śmierci Marszałka to dla niego nie przelewki). Co roku też „wypuszczał” wybór swych „odcinków” w tanim, kieszonkowym wydaniu (oprócz nowych powieści). Także „Iłkac” promował go jako swego autora – stał się twórcą nowoczesnym i otwartym, wiele występował w radiu.

– Kochał zwierzęta, opiekował się nimi (choć kotów nie znosił), ale był... myśliwym...

– To za dużo powiedziane. Okazjonalne polowanie, podobnie jak możliwość sporu honorowego (miewał takie) i w konsekwencji perspektywa pojedynku należały może nie do codzienności, ale do przyjętego obyczaju mężczyzn w sferze, w której się obracał. Podkreślał, że od jedenastego roku życia na każdą koszulę i na każdą parę butów zarobił sam. Później precyzował – pięcioma palcami, bo tyłoma pisał na maszynie. To nie paniczyk, ale chłopak z Półwsia Zwierzynieckiego, wychowany bez ojca (zmarł, gdy Zygmunt miał pięć lat) przez dzielną kobietę razem z trzema starszymi braćmi (dwie siostry zmarły w młodym wieku), znający życie, walczący o nie i cieszący się nim. Pochodzenie to napawało go dumą, a wynikająca z niego egzystencjalna „wartość dodana” stanowiła bezcenne tworzywo dla jego powieściopisarstwa.

– Jaka jest proza Nowakowskiego? „Przylądek dobrej nadziei” jest nadobowiązkową lekturą, co zadziwiająco był nią już w PRL-u. Z ręką na sercu, co z dorobku pisarza przetrwało, ma szanse wciąż jeszcze wzbudzić emocje?

– Literatura... Znów – dojrzały – debiut i od razu wielki sukces. Półautobiograficzny „Przylądek...” ukazał się w 1931 roku i miał do tej pory szesnaście wydań, przetłumaczony został na sześć języków. Ten opisujący krakowskie dzieciństwo przełomu wieków XIX i XX zbiór nowel ma ciągle różnorodny krąg wielbicieli (pisali o nim w ostatnich latach na przykład Tomasz Fiałkowski w „Tygodniku Powszechnym” i Mateusz Matyszkowicz w „Nowym Państwie”). Przebojowe widowisko teatralne „Gałązka rozmarynu” grano znów w 2018 roku na scenach zawodowych i amatorskich. Na temat jego przedwojennej twórczości literackiej obroniła w ubiegłym roku doktorat Agnieszka Gołaś na Uniwersytecie Wrocławskim. Pytanie o trwałość jego dorobku jest zasadnicze. Wskazałbym – „z ręką na sercu”! – na pewno trzy jego niezestarzałe

przejawy. Teatralną powieść „Start Edmunda Sulimy” z 1932 roku, następnie wybór historycznych gawęd wygłoszonych pierwotnie w RWE pt. „Wieczory pod dębem” (1966) oraz książkę, której jeszcze nie ma, której sam nie skomponował, a która dla mnie jest rewelacją – kolekcję powojennej eseistyki na tematy literackie, dawniejsze i jemu współczesne. Ważne jest, aby podkreślić, że to przecież zjawisko zupełnie naturalne, iż dawna twórczość w ogromnej mierze przebrzmiewa. W jego jednak przypadku mieliśmy do czynienia z planowym wymazywaniem dorobku. Tak komuniści ukarali go za niezłomną postawę na emigracji.

– Wojna przerwała wszystkie plany Nowakowskiego. Znowu założył mundur...

– Opuszcza Kraków jako zmobilizowany podporucznik rezerwy 3 września 1939 i nigdy tam nie wraca. Jako autor (znowu pierwszego!) oskarżycielskiego zbioru reportaży o zdobyciu władzy przez Hitlera – nie miał złudzeń. W chaosie wojennym dociera do Lwowa...

– Emigracja stała się dla niego dnem piekieł? Stracił ukochany Kraków, Polskę...

– Bardzo tęsknił. Jego listy do przyjaciół w kraju przepelnione są ogromnym smutkiem. Na pewno cierpiał na głęboką depresję na tym tle. Tym bardziej powinniśmy docenić jego pracowitość pisarską w drugiej – emigracyjnej – fazie twórczej. A trwała ona prawie tyle samo co pierwsza – krakowska. Owemu rozziewowi na linii Kraków-Londyn, dwóch tak różnych miast, z którymi był związany, poświęcam osobny rozdział. To nie jest tak proste, jak wykazywano niekiedy, że za Krakowem wył z tęsknoty, a Londyn zniecierpliwiał. Poświęca mu wcale niejednoznaczne strofy w korespondencji, w artykułach. Anglia fascynowała go na swój sposób.

– Był nieprzejednany. Jako jeden z pierwszych „krzyczał” o rozbiore Polski przez Sowiety. Nie godził się na oddanie im połowy kraju... To po pakcie Sikorski-Majski nastąpiło rozstanie z premierem rządu emigracyjnego.

– Przybrany „siostrzan” Tadeusz napisał, że Zygmuntowi w Londynie husarskie wyrosły skrzydła – tam narodził się jako pisarz polityczny, moralista. Ja

przywołam kolokwialne określenie, że przeżył „w realu” przemianę Gustawa w Konrada, którą niegdyś odgrywał na scenie... Przewidział konsekwencje polityki Sikorskiego, potem Mikołajczyka, jako pierwszy pisał o pakcie z 30 lipca 1941, później o Katyniu. Słusznie nie ufał zachodnim sojusznikom, bolszewii nienawidził.

– „Wolna Europa” to miejsce jego spotkań z polskimi odbiorcami? Słano do niego listy z kraju, a on? Miał poczucie, że „wrócił”?

– Oczywiście prawdziwego powrotu nic nie mogło zastąpić. Jego gawędy historyczne, potem historyczno-literackie, których wygłosił w latach 1952-1963 około pół tysiąca, cieszyły się wielką popularnością słuchaczy. Pamiętajmy, że jako aktor wspaniale potrafił je inscenizować! Świadczą o tym zachowane listy kierownika sekcji polskiej RWE Jana Nowaka-Jeziorańskiego, czy też nawet opinie osób mu nieprzychylnych, uprzedzonych, jak Maria Danilowicz-Zielińska.

– Rozumiem, że PRL, komuniści zrobili wszystko, aby Zygmunt Nowakowski zniknął z naszych lektur. Minęło jednak tyle lat, a wciąż jest nieobecny. Dlaczego? W tytule biografii zadał Pan symboliczne pytanie: „Kiedy Zygmunt Nowakowski wróci wreszcie do Krakowa?!”. Wróci przygotowywanym przez Pana tomem esejów?

– Z niszczyielską akcją komunistów paradoksalnie współbrzmiała „zła prasa” u Jerzego Giedroycia. Te opinie bezkrytycznie powtarzają do dzisiaj historycy starszego pokolenia, jak i niektórzy spośród ich wychowanków. Jedni i drudzy są jednocześnie admiratorami legendy paryskiego miesięcznika. Proponuję bardziej wielowarstwowe spojrzenie na ten fragment dziejów naszej wolnej kultury w XX wieku. Mówię o Zygmuncie Nowakowskim, ale nie tylko o nim. To studium przypadku z szerokim tłem, ale i rodzaj nieodzownego „updatingu” interpretacyjnego oraz metodologicznego, bo stare programy po prostu strasznie „mulą”. Bez uporządkowania tych ważnych motywów nigdy nie będziemy wiedzieli do końca, kim jesteśmy. Nie tylko Nowakowski musi wrócić. Oczywiście głównie swoimi książkami, bo o tym, że nie ma ciągle w Krakowie „swojej” ulicy czy szkoły, wstyd po prostu mówić. Mam nadzieję, że przygotowywany dla PIW-u tom to tylko pierwszy krok (pierwszy tom?), że zaniechania, z którymi zderzyłem się podczas niezwyklej przygody, jaką były

prace nad biografią, jaką jest przyjaźń zawarta z Zygmuntem Nowakowskim, należą do przeszłości. Ten powrót jesteśmy mu po prostu winni. To zadanie z rzędu spraw, co do których „dwóch zdań być nie może” – jak jasno mówił bohater jego młodzieńczego „Wymarszu”. Oczywiście, kto bardzo chce, niech próbuje kwestionować rangę Lechonia i Nowakowskiego w literaturze polskiej. Ale niech będzie to wreszcie zadanie z kategorii kontestowania Słowackiego i Mochnackiego. Powodzenia.

ROZMAWIAŁ WACŁAW HOLEWIŃSKI

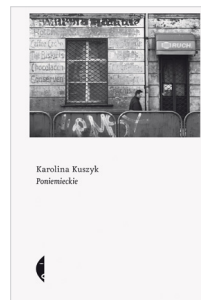
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 2/2020/

Przezroczysta poniemieckość

ROZMOWA Z KAROLINĄ KUSZYK

– Parafrazując Melchiora Wańkowicza z „Na tropach Smętka”: wszystko zaczęło się od swastyki...

– I tak, i nie, i znowu tak. „Tak”, bo rzecz by można, że gdyby nie swastyka – używam jej tu w roli figury pars pro toto – to w ogóle żadnego poniemieckiego byśmy nie uświadczyli. „Nie”, bo to nie swastyka zdecydowała o tym, że zajęłam się tematem poniemieckich przedmiotów, domów i cmentarzy – temat pracował we mnie od dawna, chyba od wczesnej młodości, choć wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy. I znowu „tak”, bo na symbol swastyki zamknięty w fabrycznym stemplu na spodzie fajansowej miski, która jest w moim rodzinnym domu w Legnicy „od zawsze”, zwrócił uwagę dopiero mój mąż Niemiec podczas mycia naczyń. Jak się okazało, ani ja, ani inni domownicy nie dostrzegaliśmy jej przez długie lata, co jest przecież zadziwiające. To od tamtej chwili zaczęłam się zastanawiać, ile mieszkańcy ziem zachodnich i północnych mają jeszcze po domach rzeczy, których poniemieckość stała się dla nich przezroczysta. I że warto przyrzeć się strategiom radzenia sobie z poniemieckimi rzeczami i krajobrazami.



– Karolina Kuszyk wychowała się na „poniemieckim”?

– Tak, pochodzę z Legnicy i choć do piętnastego roku życia wychowywałam się w bardzo polskim bloku z wielkiej płyty, to przecież ślady życia poprzednich mieszkańców były w naszym mieście wszędzie. Nie mówię tylko o starej tkance miejskiej, kamienicach, granitowych brukach, ale również o cmentarzu komunalnym, który, choć wyczyszczony niemal do cna z niemieckich nagrobków, nadal zachował dawną strukturę i niemieckiego „ducha”. Przed wszystkim jednak mówię o przedmiotach: meblach, zastawach stołowych, bombkach na choinkę, pojemnikach do chleba (nasz miał napis „Unser taglich Brot gib uns heute” – chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj) i innych przedwojennych artefaktach, tak pięknie różniących się od większości rzeczy,

które można było w latach osiemdziesiątych kupić w sklepach. W moim dziecięcym pokoju we wspomnianym bloku przez długie lata wisiał oleodruk przedstawiający Anioła Stróża, który przeprowadza po dziurawej kładce nad przepaścią parę dzieci, chłopca i dziewczynkę. Dopiero jako dorosła osoba zaczęłam interesować się tym, kto go namalował i zaczęłam czytać opracowania niemieckich badaczy na temat historii oleodruków. Nie tylko tych religijnych, ale i świeckich, które przecież były obecne – a czasem są i dziś jeszcze – w co drugim poniemieckim domu. Zajął się również meblami, pocztówkami, naczyniami, książkami, a nawet słoikami. Nie mogłam się też oprzeć uchwyceniu tego momentu, czy raczej momentów, w których dom niemiecki stawał się domem polskim i na ile tę metamorfozę można uznać za udaną. Oraz historii związanych z domem ostatnim, czyli grobem, i tym, jakie były losy niemieckich cmentarzy na ziemiach przyłączonych do Polski w 1945 roku.

– Łatwo było nakłonić polskich przesiedleńców i ich potomków do zwierzeń dotyczących korzystania z dóbr wysiedlonych Niemców?

– Często odnosiłam wrażenie, że przesiedleńcy, osadnicy i ich potomkowie tylko czekają na pytania o osadniczą przeszłość. Związane z nią historie chcą być opowiedane. Czasem tym rozmowom towarzyszyło zakłopotanie, że się człowiek urządzał na cudzym, na nieswoim, na obcych śmieciach, zupełnie jak w wierszu Tomasza Różyckiego, poety i tłumacza, który mieszka w Opolu: „Wszystko mam poniemieckie – poniemieckie miasto / i poniemieckie lasy, poniemieckie groby, / poniemieckie mieszkanie, poniemieckie schody / (...) i właśnie na tych śmieciach zbudowałam sobie / życie, na tych odpadkach, tu będę królowała, / to trawił i rozkładał, z tego mi wypadło / wybudować ojczyznę (...)”. W wielu opowieściach pobrzmiwał oczywiście żal za tym, co się zostawiło na Wschodzie. Ale już drugie i trzecie pokolenie podchodzi do poniemieckiego dziedzictwa zupełnie inaczej. Odkrywa je, wydobywa z zapomnienia pamięć o przedwojennych osobistościach zasłużonych dla miasta lub gminy, zbiera pocztówki przedstawiające miejscowość w jego kształcie sprzed wojny. Coraz więcej ludzi troszczy się o dawne niemieckie cmentarze czy też ich pozostałości. Moi rozmówcy z ochotą opowiadali mi o tym, co „poniemieckiego” mają w domach, co odkryli w obejściach, np. przekopując ogródek, jak szukali poprzednich mieszkańców swoich domów i co z tych spotkań wynikło.

To trwa. Książka uruchomiła falę listów od czytelników – ogromna jest w nas potrzeba opowiadania o historii osadniczej, o rodzinnych pamiątkach, o osuwaniu zastanego. Choć nie jestem przekonana, że wszystko na Ziemiach Odzyskanych da się oswoić. Zresztą może wcale nie trzeba.

– Po latach Niemcy nierzadko odwiedzali swe – nie wiem czy to właściwe słowo – mateczniki. Z jakimi reakcjami się spotykali?

– Było – i nadal bywa – różnie. Czasem Polacy nie wpuszczali ich za próg, czasem szczuli psami. Mówię to bez oceniania. A czasem podejmowali serdecznie, ciastem i herbatą, choć nie bez lęku, co taka wizyta może przynieść, bo może upomną się o swoje. Trudno tu mówić o jednym modelu zachowania. Jedną z moich niemieckich rozmówczyń, trzydziestoparoletnia kobieta, której babcię w młodym wieku wysiedlono ze wsi Ruckers (dziś Szczytna w Kotlinie Kłodzkiej), opowiadała mi, że gdy parę lat temu odwiedzała babciną wieś, spotkana na drodze kobieta, którą chciała spytać o drogę, widząc niemieckie rejestracje, przeszła na drugą stronę ulicy, demonstracyjnie odwracając głowę.

Jeszcze w połowie lat dziewięćdziesiątych pewna mieszkanka Opolszczyzny pisała w liście do posłanki ziemi opolskiej Doroty Simonides o tym, że od czasu do czasu zaglądają do jej domu dawni właściciele i wciskają jej pieniądze na remont chatupy (których nie przyjęła), zastanawiając się nad prawdziwymi motywami – czy Niemcy dają bezinteresownie, czy też z nadzieją na powrót. „Mieszkam w ponemieckim domu, czy to już zawsze będzie tylko strach i strach?”, pisała. Na szczęście RFN uznała granicę na Odrze i Nysie i mieszkańcy ziem zachodnich i północnych mogli spać już trochę spokojniej, mimo harców uaktywniającej się co jakiś czas Eriki Steinbach. Zbigniew Czarnuch, historyk z Witnicy, współautor i redaktor książki o znamienym tytule „Samozwańcze konsulaty: rzecz o emocjonalnym stosunku Niemców i Polaków do tego samego skrawka ziemi”, pisał o tym, jak domy potrafiły zbliżyć dawnych i obecnych mieszkańców, stając się już od lat osiemdziesiątych swoistymi prywatnymi placówkami dyplomatycznymi. A historyczka Magdalena Abraham-Diefenbach, związana z Instytutem Historii Stosowanej na Uniwersytecie Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, powiedziała mi nie tak dawno w rozmowie: „Wiesz, są dziś nad Odrą wsie, gdzie prawie każda rodzina ma swojego Niemca”.

Na poziomie ludzkim, prywatnym, poza oficjalną polityką dogadujemy się całkiem nieźle. Może decyduje o tym również wspólnota losów, to, że wielu naszych przodków wie, jak smakuje przymusowa migracja, jak to jest z dnia na dzień zostawić swój dom.

– A jaki był los poniemieckich nekropolii po roku 1945?

– Zawsze powtarzam, że wolę mówić o cmentarzach niemieckich, a nie poniemieckich, bo nie leżą na nich żadni Poniemcy, lecz Niemcy. Tuż po wojnie cmentarze, szczególnie te w dużych miastach, doskonale nadawały się na kryjówki dla złodziei i kryminalistów. Nieco później, gdy już przestały być aż tak niebezpiecznymi miejscami, a szabrownicy wyszabrowali już co się dało, cmentarze zaczęły kusić tajemniczością dzieci i nastolatków. Wielu moich rozmówców z tzw. Ziemi Odzyskanych, zarówno moi równolatkowie w okolicach czterdziestki, jak i siedemdziesięciolatkowie, opowiadało o doświadczeniu wychowywania się na cmentarzu i fascynacji odczuwanej na widok napisów szwabachą, figur, kolumn i ziejących dziurami rodzinnych grobowców. Kamieniarze z całej Polski potraktowali niemieckie cmentarze jako źródło cennego surowca – nagrobki były poddawane swoistemu recyklingowi i przerabiane na nagrobki polskie lub kruszone na kostkę brukową. Używano ich również w innych celach: jako podmurówki, murki do piaskownic, materiał budowlany, umocnienia brzegowe. We wrocławskim ZOO umacniały wybiegi dla zwierząt. Mówiąc o cmentarzach niemieckich, mam na myśli oczywiście również kirkuty – podobny los spotkał macewy. Na początku lat siedemdziesiątych na „nieczynnych” niemieckich cmentarzach straszyły zdewastowane nagrobki, dziury w grobowcach, zwały śmieci. A był to czas, gdy do Polski zaczęli coraz częściej zaglądać Niemcy zza miedzy – za sprawą otwarcia ruchu granicznego między PRL a NRD. Wówczas polskie władze zaczęły nawoływać do porządkowania niemieckich nekropolii, co najczęściej kończyło się ich likwidacją. Jakby uznano, że jeśli Niemcy mają oglądać zdewastowane groby swoich bliskich, to lepiej, żeby w ogóle niczego nie oglądali. Na szczęście mniej więcej od lat dziewięćdziesiątych – a w niektórych miejscach już wcześniej – pojawiła się chlubna tendencja do odratowywania tego, co jeszcze ocalało. Na cmentarzach zaczęły pojawiać się lapidaria, czyli miejsca, w których gromadzono resztki pozbiętych z terenu cmentarza przedwojennych nagrobków. Dziś działa masa

stowarzyszeń, które dbają o stare cmentarze, nie tylko zresztą niemieckie, jak np. Frydhof z Wielkopolski.

Już od wielu lat obserwuję, głównie w trzecim pokoleniu osadników, tendencję do ocalania, odzyskiwania pamięci. Nie tylko w odniesieniu do cmentarzy, lecz w ogóle do niemieckiego dziedzictwa, również tak zwanego post-industrialu. Jest trochę tak, jakbyśmy tym miejscom, obiektom i rzeczom chcieli wynagrodzić dziesięciolecia zaniedbywania i traktowania po macoszemu.

– Jestem przekonany, że książka wzbudzi również zainteresowanie między Odrą a Renem...

– W listopadzie 2018 roku prezentowałam fragmenty nieopublikowanej jeszcze wówczas książki w niemieckim przekładzie na otwarciu festiwalu kultury polskiej w Greifswaldzie – rezonans był rzeczywiście spory. Telewizja RBB nakręciła również na ten temat materiał, o dziwo, jeszcze nawet przed ukazaniem się książki po polsku. Myślę, że Niemców ten temat bardzo interesuje, również dlatego, że wiedza o tym, jak Polacy radzili sobie z tym, co zastali na dawnym niemieckim Wschodzie, jest w Niemczech raczej niska. Dominuje, na moje oko, narracja o dewastacji i marnacji, a ja pokazuję, że strategie radzenia sobie z ponemieckim były i są znacznie bardziej złożone. Od dewastacji, również tej wynikającej z chęci odwetu za wojenne krzywdy, przez „marnację” wynikającą z niewiedzy, ignorancji czy warcholstwa, przez włączanie w obieg własnej domowej historii i codzienności, po próby ratowania, rehabilitacji – kiedy to trzecie pokolenie osadników wyciąga z piwnic ponemieckie kredensy (bo ich rodzice woleli nową meblościankę), restauruje i stawia na poczesnym miejscu w salonie. Badacze do tej pory niewiele zajmowali się przedmiotami codziennego użytku „po Niemcach”, rozprawienie się z tematem pozostawiając literaturze pięknej – od Tokarczuk i Chwina po Bator. Beata Halicka, kulturoznawczyni i autorka książki „Polski Dziki Zachód” o kulturowym oswojeniu nadodrzańskich terenów w latach tużpowojennych, pisała zresztą o tym, że niewiele jest prac, które analizowałyby stosunek przesiedleńców do owych rzeczy codziennego użytku. A niemiecki historyk Gregor Thum sformułował tezę, że ponemieckie przedmioty skrycie pracowały na rzecz zbliżenia Polaków do Niemców. Coś w tym jest, bo to właśnie rzeczy często były jedynym łącznikiem z Niemcami, pokazywały pokoleniom wychowanym na „Czterech

pancernych” i antyniemieckiej propagandzie, że Niemcy nie byli wyłącznie ofermowatymi esesmanami w hełmach, lecz także zwykłymi ludźmi, którzy, jak pisał jeden z repatriantów, inteligent Zbigniew Żaba, tak jak my „kładli się spać, pili herbatę i urządzali swoje mieszkania” (cytuję z pamięci). Oddemonizowały ich. Oczywiście chciałabym, by „Poniemieckie” trafiło również do czytelników niemieckich. Bo to jednak – jak napisał do mnie ostatnio jeden z czytelników – jest chyba krzepiąca opowieść. Mimo wszystko.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 2/2020/

Piosenki pod specjalnym nadzorem

ROZMOWA Z BARTOSZEM ŻURAWIECKIM

– Wymiar propagandowy przytłaczał artyzm obu festiwali opisanych w książce?

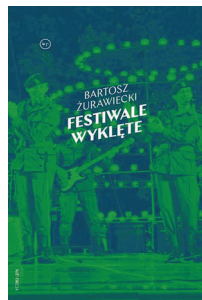
– Jeśli wziąć pod uwagę, że trwały kilkadziesiąt lat, to odpowiedź nie może być jednoznaczna. Jak to na tego typu masowych imprezach: zdarzały się rzeczy ciekawe, niebanalne, ale też rzeczy straszne i, mówiąc dzisiejszym językiem, „obciachowe”. Oczywiście, czapa propagandowa ciążyła nad tymi imprezami w większym stopniu niż nad festiwalami w Opolu czy Sopocie. Ale też, co było generalnie pewnym modus vivendi PRL-u, propaganda miała charakter fasadowy. Trzeba ją było „odbębnić” i można było robić swoje. Dlatego np. w Zielonej Górze oprócz pieśni sławiących Związek Radziecki pojawiało się sporo dobrej jakości radzieckiej muzyki rozrywkowej. Śpiewano też Okudżawę i Wysockiego.

Na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej ciążyły przede wszystkim ambicje dowódców Ludowego Wojska Polskiego. Bywało, że w Kołobrzegu wykonywano i ponad 90 premierowych utworów. Trudno sobie wyobrazić, by w ciągu roku powstało tyle dobrych piosenek na jeden temat. Zwłaszcza że na Festiwalu obowiązywały de facto dwie poetyki: albo patetyczna, przeznaczona dla utworów opowiadających o martyrologii wojennej, albo żartobliwa, opisująca z lekkim przymrużeniem oka szczęśny los żołnierza peerelowskiego wojska.

Najwięcej ciekawych rzeczy znaleźć można w edycjach obu festiwali z lat siedemdziesiątych, zwłaszcza z pierwszej ich połowy. Pod koniec dekady, a już zwłaszcza w latach osiemdziesiątych coraz bardziej ewidentna stawała się anachroniczność obu imprez, nie tylko polityczna, ale także artystyczna.

– Kto i kiedy je zainicjował?

– W 1962 roku odbył się w Zielonej Górze I Konkurs Piosenki Radzieckiej, zainicjowany przez działaczy Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Trzy lata później, w roku '65, Konkurs przekształcił się w Festiwal. Festiwal Piosenki Żołnierskiej jest młodszy. Jego pierwsza edycja odbyła się w roku 1967.



– Czemu „artyści wojskowi” początkowo występowali w Połczynie-Zdroju?
– Ponieważ to właśnie władze tego uzdrowiska wpadły na pomysł, by zorganizować taką imprezę. Pierwsza edycja, w roku 1967, odbyła się w tamtejszym parku zdrojowym. Była skromna, wystąpiło kilka zespołów wojskowych, których wówczas istniało w Polsce sporo. Kolejna, już z udziałem artystów „cywilnej” estrady, odbywała się równolegle w Połczynie i Kołobrzegu. W 1969 roku festiwal na stałe przeniesiono do Kołobrzegu. Połczyn okazał się po prostu zbyt mały i zbyt skromny jak na ambicje wojska.

– W jaki sposób dobierano repertuar oraz wykonawców? Zdarzały się ingerencje cenzury?

– Festiwal Piosenki Radzieckiej przeznaczony był dla amatorów. To oni dostawali w Zielonej Górze nagrody. Przechodzili kolejne szczeble eliminacji, od szkolnych czy zakładowych począwszy. Repertuar dobierali sami bądź z pomocą swoich instruktorów. Pochodził on z licznie wtedy wydawanych śpiewników piosenki radzieckiej lub z czasopism poświęconych Związkowi Radzieckiemu, takich jak „Kraj Rad” i „Przyjaźń”. Dopiero w latach siedemdziesiątych zaczęto w Zielonej Górze organizować na większą skalę koncerty z gościnnym udziałem zawodowych piosenkarzy polskich i radzieckich.

Natomiast piosenki wykonywane w Kołobrzegu pochodziły głównie z konkursu rozpisывanego każdego roku przez Główny Zarząd Polityczny Ludowego Wojska Polskiego. Na konkurs wpływały setki nowych utworów, zgłaszanych przez kompozytorów i autorów tekstu. Wybrane piosenki wojskowi szefowie Festiwalu proponowali albo po prostu przydzielali konkretnym wykonawcom.

Ingerencje, nie tyle zresztą cenzury, co raczej osób rządzących tymi festiwalami, owszem, zdarzały się. W latach siedemdziesiątych nie dopuszczono w Zielonej Górze do wykonania piosenki o rosyjskich cerkwiach. W 1981 roku zmieniono w Kołobrzegu, bez wiedzy i zgody autora tekstu, refren piosenki „Gdy Polska da nam rozkaz”. Ale te ingerencje nie były zbyt częste, bo też wszystkie osoby zaangażowane w festiwale wiedziały, na co można, a na co nie można sobie pozwolić. Margines swobody zmieniał się zresztą wraz z sytuacją polityczną. W czasach „pierestrojki” występowały w Zielonej Górze rockowe gwiazdy z ZSRR, a nawet śpiewano o Jezusie.

– Kołobrzeg i Zielona Góra wykreowały gwiazdy? Nagrody były lukratywne?

– Kołobrzeg stworzył własną konstelację gwiazd, które pojawiały się na festiwalu co roku i głównie z nim były kojarzone. Barbara Książkiewicz, Regina Pisarek, Irena Woźniacka, Wiktor Zatwarski, Adam Zwierz, Adam Wojdak... Twórców i wykonawców jury nagradzało Złotymi i Srebrnymi Pierścieniami, z którymi związane były sowite nagrody pieniężne. Nadto piosenkarze kołobrzescy po Festiwalu ruszali w tournée po Polsce. Trwało ono przez cały rok i zapewniało artystom utrzymanie. W Zielonej Górze pierwsze kroki stawiali artyści, którzy potem zrobili sporą karierę i nierzadko występują do dzisiaj. Od Zdzisławy Sośnickiej poczynszy, przez Michała Bajora, Grażynę Łobaszewską, Janusza Panasewicza, Danutę Stankiewicz, Małgorzatę Ostrowską, Urszulę, na Mietku Szczęśniaku skończywszy.

Początkowo wyróżnionym amatorom dawano nagrody rzeczowe, jak na ówczesne czasy bardzo atrakcyjne, np. adaptory czy radiomagnetofony. Od 1975 roku jury zaczęło przyznawać Złote, Srebrne i Brązowe Samowary. Laureatów zabierano też w podróż „Pociągiem Przyjaźni” do ZSRR.

Samowarom także towarzyszyły pieniądze. Barbara Kalinowska, która wygrała i Zieloną Górę, i Kołobrzeg, opowiada mi w książce, że za nagrodę na Festiwalu Piosenki Radzieckiej kupiła sobie pralkę, zaś za Złoty Pierścień domek na wsi. Nieduży, raczej altanę, tym niemniej musiał to być solidny zastrzyk gotówki.

– Jedynym skandalem tych imprez była zmiana tekstu piosenki „Gdy Polska da nam rozkaz”?

– W kategoriach skandalu można ewentualnie potraktować to, że w 1971 roku kompozytorce Katarzynie Gaertner zarzucono plagiat. Nie jest do końca jasne, czy jej „Powołanie”, czyli „Gdy piosenka szła do wojska, to śpiewała cała Polska”, w wykonaniu Maryli Rodowicz, miało kopiować radziecki przebój „Serce na śniegu” czy też przedwojenny szlagier „Titina”. Afera ta nie wpłynęła zresztą na fakt, że „Powołanie” rzeczywiście „śpiewała cała Polska”, Gaertner natomiast, podobnie jak Rodowicz, współpracy z Kołobrzegiem nie zerwała.

Poważniejsze reperkusje wywołała rzeczywiście ingerencja w tekst piosenki „Gdy Polska da nam rozkaz”. Zamiast słów: „żeby wrogom spojrzeć śmiało w twarz”, Adam Zwierz zaśpiewał: „żeby socjalizmu bronić wraz”. Podczas

stanu wojennego piosenka w tej zmienionej wersji była często nadawana w radiu i telewizji. Nie pozostało to bez wpływu na późniejsze losy zarówno Zwierza, jak i twórców utworu, zwłaszcza autora tekstu, Lecha Konopińskiego.

– Jak rezonował na te festiwale stan wojenny?

– W 1982 nie odbyły się festiwale w Opolu i Sopocie, natomiast w Zielonej Górze i Kołobrzegu jak najbardziej. Oba festiwale zaczęły być w coraz większym stopniu postrzegane jako imprezy reżimowe. Wielu artystów nie chciało mieć już z nimi nic wspólnego, choć w połowie lat osiemdziesiątych wróciły na Festiwal Piosenki Radzieckiej ówczesne gwiazdy polskiej estrady. Niektóre z nich tłumaczą się dzisiaj, że zrobiły to pod przymusem. Myślę, że chodzi raczej o konformizm niż o przymus, ale nie mnie wydawać sądy moralne. Zresztą i w stanie wojennym na brak publiczności festiwale nie mogły narzekać. Widzowie bawili się świetnie, zwłaszcza w Kołobrzegu.

– Oba umarły śmiercią bankruta?

– Festiwal Piosenki Radzieckiej skończył się razem z PRL-em. Ostatnia edycja odbyła się w roku 1989. Dwa lata później przestał istnieć Związek Radziecki. Natomiast Festiwal Piosenki Żołnierskiej przetrwał transformację ustrojową, choć zmieniali się organizatorzy, wykonawcy, konwencje... Impreza próbowała znaleźć nową formułę w nowych czasach. Pojawiali się na niej wykonawcy rapowi, rockowi, discopolowi, pojawiły się utwory krytyczne i prześmiewcze wobec wojska. Ostatecznie Festiwal zakończył żywot w roku 1997.

ROZMAWIĄŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 2/2020/

Od krosna do komputera

ROZMOWA Z DOMINIEM RUTKOWSKIM

– **Norweskie realia opisał pan z autopsji?**

– W pewnym stopniu. Kiedy zaczynałem pracować nad książką – mam na myśli fazę pracy koncepcyjnej, a nie realne pisanie – wiedziałem, że po części miejscem akcji stanie się jedna z norweskich wysp. Nie wiedziałem jeszcze która – poza tym, że będzie bezludna. Moje związki z Norwegią były raczej skromne, żeby nie powiedzieć żadne, ot jedna kilkudniowa wizyta w Oslo parę lat wcześniej i tyle. Ale gdy zbliżał się moment postawienia pierwszej litery, czyli przejścia do fazy, jak to nazywam, wystukiwania znaków, postanowiłem udać się do krainy fiordów na dokumentację. Trochę przez przypadek wybór padł na Tromsø i okolicę. Pojechałem tam w czasie arktycznej zimy i spędziłem kilka dni, zapoznając się z klimatem miejsca. Potem te wrażenia przeniósłem na karty powieści. Natomiast podczas pracy nad końcowym rozdziałem książki, który jest pewnego rodzaju reportażem, udałem się do Norwegii jeszcze raz. I tamta wyprawa wyglądała już bardzo podobnie do tej, którą opisał Mietek, narrator „Złych dzieci”.



– **Wykorzystał pan w fabule własne doświadczenia z oprowadzania turystów po syrenim grodzie?**

– Tak. Zdecydowanie. Jestem czynnym, licencjonowanym przewodnikiem warszawskim, chociaż wycieczki prowadzę już jedynie sporadycznie. Powieściowy Mietek stał się więc niejako moim starszym kolegą po fachu. Tworząc tę postać, korzystałem oczywiście także z własnych przeżyć – również zdarza mi się oprowadzać po mieście pary na prywatnych tourach. Trudność przy dzieleniu się z Mietkiem swymi doświadczeniami polegała na tym, że on ma także do czynienia z turystami zwiedzającymi stolicę Polski w latach osiemdziesiątych, kiedy stan wiedzy o jej dziejach i zabytkach był stanowczo szczuplejszy niż dziś. Jak to za komuny bywało, część z tej wiedzy była po prostu reglamentowana – dlatego musiałem bardzo uważać na to, żeby nie

przeszarżować. Żeby Mietek nie sypał informacjami, które w PRL-u były zwyczajnie jeszcze niedostępne.

– Trzy plany czasowe to dla prozaika łatwe zadanie?

– Tu akurat nie miałem wielkiego problemu. Pracę nad książką dzielię na kilka części. Pierwsza z nich, zazwyczaj najdłuższa, to faza koncepcyjna. Wówczas tworzy się – w głowie i notatkach – fabuła, postacie ją wypełniające, także konstrukcja, między innymi właśnie ramy czasowe. Uznałem, że najlepsze dla tej opowieści będzie podzielenie jej na trzy plany czasowe. Aby nadać lekturze atrakcyjności, utrzymać tajemnicę i wzmocnić zainteresowanie czytelnika, gruntownie je wymieszałem – ale oczywiście według pewnego klucza. Następnie należało naszkicować przebiegi tych planów w notatniku, a potem zostało tylko mozolne przelanie tego na papier. To praca jak przy krośnię tkackim. Najpierw tworzy się wzór, potem dobiera nici i odpowiednio je miesza, a na koniec już tylko tka.

– Mirów i osiedle Za Żelazną Bramą pojawiają się w powieści nieprzypadkowo?

– Oczywiście. Wprawdzie nie są to rejony Warszawy, z którymi jestem szczególnie związany, ale znam je bardzo dobrze. Urodziłem się na Muranowie, wychowałem na Powiślu, lecz na Mirowie także spędziłem kilka lat. Zresztą mieszkała tam również moja babcia, z którą jestem bardzo zżyty. Kiedy umiejscawiałem akcję powieści, szukałem okolicy, w jakiej mógłby mieszkać Mietek. Wybór padł właśnie na tę część miasta, po której walec historii podczas ostatniej wojny przejechał się bardzo boleśnie. Mietek mieszka przy ulicy Ogrodowej – w trakcie okupacji było to samo centrum getta. Po wojnie te tereny przelicowały się w arenę eksperymentów budowlanych władzy ludowej: dotąd sięgały zabudowania Muranowa południowego, a potem wyrosły tu wieżowce osiedla Za Żelazną Bramą. Pozostałe pustostany w III RP zajęły biurowce i apartamentowce.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

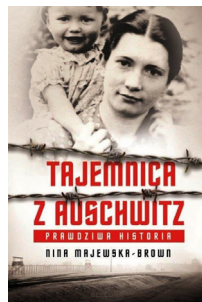
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 2/2020/

Aura „Tajemnicy z Auschwitz”

ROZMOWA Z NINĄ MAJEWSKĄ-BROWN

– Co sprawiło, że zaczęła pani pisać o Auschwitz?

– To dar losu i przypadek. Nigdy nie sądziłam, że będę pisać o jakimkolwiek obozie, choć od lat fascynuje mnie psychologiczny aspekt II wojny światowej. Pierwszą niezwykłą historię powierzyła mi moja osiemdziesięcioletnia przyjaciółka, której mama trafiła do obozu jako zakładniczka za męża i która tam przetrwała dzięki pomocy esesmana. Długo zastanawiałam się, czy powinnam po nią sięgnąć i zrobiłam to wreszcie na wyraźną prośbę przyjaciółki. Tak powstała „Tajemnica z Auschwitz”.



– Justyna Sobolewska napisała w „Polityce” o zalewie obozowej literatury i trywializacji tematu. Co pani o tym sądzi?

– I trudno się z tym stwierdzeniem nie zgodzić, patrząc na listę nowości wydawniczych z pierwszych tygodni tego roku. Tyle że ja nie piszę o obozach „dla mody” i nie traktuję tego tematu przedmiotowo. Nie szukałam też tych opowieści, same do mnie przychodzą za sprawą ludzi, których spotykam na swojej drodze, także literackiej. I jestem im ogromnie wdzięczna za zaufanie, jakim mnie obdarzają, powierzając swoje historie i prosząc o ich opowiedzenie światu. To wielki dar, który otrzymuję. Ale też ogromna odpowiedzialność.

– Ale to nie jedyna pani obozowa książka...

– Rzeczywiście. Po kilku miesiącach pracy i poszukiwań napisałam kolejną, inspirowaną życiem położonej z Auschwitz – pani Stanisławy Leszczyńskiej. Teraz pracuję nad następną.

– Czym jest dla pani Auschwitz?

– Dla mnie osobiście Auschwitz jest jak miejsce przeklęte, które wręcz osacza, jeśli choć raz zajrzy się do archiwów. I tak się stało w moim przypadku. Pojawiło się tyle historii, ludzi, sytuacji, że nie sposób było przejść obok nich

obojętnie. W dodatku to ostatnia chwila, by jeszcze porozmawiać ze świadkami i ocalić te maleńkie okruchy historii. Ale to przede wszystkim miejsce naznaczone niezwykłym bólem, niewyobrażalnym cierpieniem i dramatem osób, które do niego trafiły. Miejsce, które powinno stać się przestrogą.

– Nie boi się pani, że odcisnie to na pani piętno?

– Nie mam żadnych wątpliwości, że już tak się stało, ale to nie zmienia faktu, że po kolejnych badaniach chce się wejść w temat bardziej i głębiej, choć często dokumenty, zdjęcia, filmy i relacje, do których docieram, są niezwykle dramatyczne i brutalne. Nie da się o nich zapomnieć. Po rozmowach ze świadkami nie można spokojnie zasnąć. To bardzo traumatyczne doświadczenia, choć od wyzwolenia Auschwitz minęło siedemdziesiąt pięć lat. Gdy słucham opowieści byłych więźniów, mam wrażenie, że czas stanął w miejscu. To uświadamia, jak niewiele potrzeba, żeby stworzyć piekło na ziemi. Wystarczy nie reagować na zło, nienawiść, nietolerancję...

– Co panią najbardziej zaskoczyło?

– Gdy pisałam „Tajemnicę z Auschwitz”, sądziłam, że wpadłam na trop unikatowej historii o tym, że żona trafiła do Auschwitz za męża. Tymczasem po przestudiowaniu wielu dokumentów i rozmowach ze świadkami okazało się, że takich kobiet było wiele. Tylko jakimś dziwnym trafem o nich nie mówimy. Pamiętamy o ich mężach, którzy częstokroć wyniesieni zostali na cokoły, a zapominamy o tych, dzięki którym mogli dalej walczyć. A to przecież dzięki codziennej trosce kobiet o dom, dzieci, często też zaangażowaniu w partyzantkę, oni mogli stać się bohaterami.

– A co było najtrudniejsze?

– Zmierzenie się z tematem dzieci, które trafiły do obozowego piekła albo tu przyszły na świat. Rozpacz, bezradność matek stały się też niejako moim udziałem, odbierając mi spokój i sen. „Anioł życia z Auschwitz” bardzo wiele mnie kosztował, a jego pisanie było traumatycznym procesem. Tym trudniejszym, że oddałam tu również głos świadkom i kobietom, które ten dramat przeżyły.

– To musiało być bardzo poruszające...

– Tak, tym bardziej, gdy czyta się o ludziach, którzy tam się poznali, pokochali, pobrali i spłodzili dziecko, które też tam przyszło na świat. O sile kobiet takich

jak Stanisława Leszczyńska, która pobyt w obozie potraktowała jako misję i zamiast się załamać, mimo przeciwności, skupiła się na niesieniu pomocy i wsparcia innym. Jako matką najbardziej wstrząsnęły mną relacje kobiet, na oczach których mordowano dzieci albo im je zabierano. Ale to, co najbardziej niezwykle, to dobroć, którą sobie okazywały, wsparcie i słowa pocieszenia, co uświadamia, że nawet w najgorszych sytuacjach można dawać coś z siebie oraz liczyć na pomoc.

– Miały nadzieję?

– Gdyby jej nie miały, nie walczyłyby jak lwice, choć zazwyczaj ta walka i tak kończyła się przegraną. Na szczęście i w tym miejscu pojawiały się takie anioły jak Stanisława Leszczyńska, które pomagały, wspierały i właśnie dawały nadzieję. Kolejny raz się okazało, że nasza kobieca siła w walce o dziecko jest nieprzeciętna. „Anioł życia z Auschwitz” to książka o tym, że wiara potrafi przenosić góry, że nie wolno się poddawać. Z drugiej strony to swoiste obnażenie mechanizmów stworzonych przez Niemców, którzy założyli eksterminację przedstawicieli innych narodów na poziomie wręcz niewyobrażalnym. W obozie mordowali kobiety ciężarne i dzieci, by po „pracy” wrócić do swoich dzieci tuż za kolczastym drutem pod napięciem. Jak to możliwe? Trudno pojąć.

– Dzieci w pasiakach są najwymowniejszym i najdramatyczniejszym dowodem na to, co działo się w obozie...

– Najbardziej dramatyczną kartą niemieckiego obozu w Auschwitz jest historia dzieci, które tam trafiały bądź się rodziły. Które przychodziły tu na świat, by zaledwie na chwilę zachłysnąć się życiem. To dramat matek, którym wyrywano niemowlęta, na oczach których dzieci umierały wycieńczone głodem i chorobami, i wreszcie rozpacz matek, których dzieci brutalnie oddawano na zniemczenie. To książka także o tym, że dla Niemców nawet noworodki stały się wrogami narodu.

– Czy myśli pani, że te historie czegoś nas nauczą?

– Nie mam żadnych wątpliwości, że nie. Gdybyśmy się uczyli, już od dawna by nie było wojen, a przecież co rusz rodzą się kolejne zbrojne konflikty.

ROZMAWIAŁ PIOTR DOBRÓŁĘCKI

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 3/2020/

Dzielmy się uczuciami

ROZMOWA Z KATARZYŃĄ MILLER

– W marcu nakładem wydawnictwa Dwukropek ukazały się dwie książki dla dzieci pani autorstwa, które otwierają nowy i bardzo ważny cykl „Moc uczuć”. Bohaterka zachęca swoich rówieśników przedszkolaków do przeżywania emocji i oswaja z nimi.



– Znajomym dzieciom książeczki się spodobały. Mówiły, że fajnie się je czyta, że są naturalne i autentyczne, napisane prostym językiem. A dla dzieci szalenie trudno jest pisać – to bardzo wymagający i bardzo wrażliwi czytelnicy. Jako psychoterapeutka pielęgnuję w sobie moje „wewnętrzne dziecko”, przykładam też wagę do pamięci o uczuciach z dzieciństwa. W ogóle to jest podstawa pisania – rozumieć, co dzieje się w ludziach, nie tylko w dzieciach.



– **„Moc uczuć” rozpoczynają radość i wstyd. Co łączy te emocje?**

– Są po prostu najwyraźniejsze i szalenie ważne dla dzieci, dla nas wszystkich. Zaczynam od emocji pozytywnej, czyli od radości, którą wszyscy lubimy przeżywać, a w drugiej dotykam wstydu, który dzieci bardzo wiele kosztuje. Jest dla najmłodszych jednym z najważniejszych uczuć, a przy tym bardzo bolesnym. Dlatego bronią się przed nim. A rodzice, niestety, w swoich strategiach wychowawczych często posługują się wstydem wobec swoich dzieci, a ponieważ osiągają zamierzony efekt, powtarzają to zawstydzanie. Dzieci bardzo się boją tego uczucia. Wstyd staje się dla nich rafą, przed którą automatycznie chcą zawrócić, którą chcą ominąć, przed którą się cofają, z którą nie potrafią sobie poradzić. I ten mechanizm zostaje potem w dorosłych.

– **Jak rozmawiać z dziećmi o emocjach?**

– Jak najczęściej. I pozbyć się własnego wstydu, bo przecież w takiej rozmowie musimy odkryć także własne uczucia. Dobrze jest dzieciom mówić:

„wiesz, ja to znam, ja to pamiętam, ja to czuję”. Dla małego człowieka świadomość, że nie jest żadnym dziwologiem, że jego uczucia są całkowicie normalne jest cudownie uwalniająca. Trzeba nazywać uczucia po imieniu, a w codziennym życiu niestety to się rzadko zdarza. Na pytanie: „Jak się czujesz?” zwykle odpowiadamy: „Może być. Obłeci”. Podobnie rozmawiamy ze sobą we własnych domach, nie dzielimy się uczuciami, a byłoby warto. Kiedy dziecko mówi: „Jest mi smutno”, rodzice szybko podsuwają mu zabawki albo mówią: „Nie płacz”. A powinni zaproponować: „Opowiedz mi o tym, czemu jest ci smutno” albo: „Widzę, że masz smutną buzię. Czy możesz mi opowiedzieć, czemu ci smutno?”. Warto przekazać dziecku komunikat „Widzę i rozumiem”. Zadbaj o to, aby czuło się zadbane, ważne, zrozumiane, traktowane jako odrębna istota. Uczmy się radzić sobie z uczuciami trudnymi również dlatego, żeby móc w pełni przeżywać te przyjemne. Uciekając od uczuć przykrych, zmniejszamy intensywność tych przyjemnych. Takie uczucia jak lęk, wściekłość, złość, zazdrość uważane są za nieprzyjemne, nie lubimy albo wręcz nie chcemy ich przeżywać, ponieważ to wiele nas kosztuje. Zapominamy, że bez tych trudnych, negatywnie postrzeganych uczuć nie będzie tych pozytywnych. I dlatego właśnie trzeba uczyć dzieci w sposób spokojny, akceptujący, wpajać im, że wszystkie uczucia w nas są jednakowo ważne, jednakowo potrzebne i są naszym bogactwem.

– Zatem nie należy chronić dziecka przed trudnymi emocjami?

– Absolutnie nie należy chronić, ale być z nim w tych uczuciach. Dla dorosłych chronienie często oznacza uciekanie, izolowanie dziecka przed tymi uczuciami, udawanie, że ich nie ma. To jest bardzo niebezpieczne. Trzeba z dzieckiem wspólnie przeżywać te emocje lub mu towarzyszyć poprzez ich zrozumienie i akceptację. Np. „Rozumiem, że teraz jesteś zła. Ja też bym była. Możesz się zezłościć”. Warto też zwracać dziecku uwagę, że każde przeżycie mija. I, choć pokazuje coś ważnego, wcale nie musi nami rządzić. W mojej książce „Nie bój się życia” przywołuję pewną autentyczną historię. Kiedyś jedna z mam mi powiedziała: „Mojemu dziecku zdechł chomik. Na szczęście synek wyjechał, znajdę mu takiego samego”. „A kiedy synkowi umrze babcia, też znajdzie pani taką samą?”, zapytałam wtedy. I ona się strasznie obruszyła. Zapytałam ją także o to, czego chce nauczyć

synka? „Pragnę go chronić, nie chcę, żeby płakał”, odpowiedziała. A przecież w życiu pojawia się wiele sytuacji, które musimy przeplakać. Wszystkich ludzi bez wyjątku dotyczą strata, żal, ból. Nie sposób ich uniknąć. Jeśli natomiast nie będziemy sobie umieli radzić z trudnymi przeżyciami, nasze życie będzie znacznie uboższe.

ROZMAWIAŁA JOANNA HABIERA

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 3/2020/

Hollywood na wodzie pisany

ROZMOWA Z MACIEJEM BERNATT-RESZCZYŃSKIM

– Gdyby nie Bellona – Jerzy Pichelski posmakowałby Ameryki?

– Wszystko na to wskazuje. Mamy relację Jana Kobuszewskiego, któremu opowiadał o kręceniu próbki dla Hollywood na Placu Saskim. Rodzina Pichelskiego mówi nawet, że podpisał wstępny kontrakt. Takie wyjazdy nie były aż tak egzotyczne, jak nam się dzisiaj wydaje. Do amerykańskiej fabryki snów wyjechały dziesiątki, jeżeli nie setki aktorów z Europy Środkowej. O większości z nich słuch zaginęło. Ale Pichelski przypominał Gary Coopera, jednego z najlepiej opłacanych i najbardziej rozpoznawalnych aktorów swej epoki. Zapewne Polak by też coś na tym „podobieństwie” zarobił. Miał niesamowity atut bardzo „amerykańskiej” urody i stylu. Na pewno by wyjechał, gdyby jego karierą nadal kierowała jego pierwsza żona, operatywna Zofia Niwińska, ale na tym etapie chyba już tego nie robiła.



– Jak to się stało, że został aktorem?

– Podobnie jak Gary Coopera, do występów zachęcił go nauczyciel albo nauczycielka. A potem warunki zewnętrzne, radosna natura i wdzięk osobisty zrobiły swoje. Aktora co się zowie uczynił z niego mistrz Aleksander Zelwewicz, prowadzący przy Okólniku w Warszawie jedną z najnowocześniejszych szkół aktorskich w ówczesnej Europie. Potem kontynuował opiekę nad Pichelskim raczkującym na scenie w Wilnie. Nie wiadomo mi nic o tym, żeby Pichelski jako gimnazjalista chodził do teatru. Wolał nad wodę. Już chyba raczej bywał w iluzjonie (tak u progu zeszłego stulecia określano kino), zwłaszcza w swoim rodzimym Saratowie.

– Cztery partnerki życiowe dowodzą niestałości uczuć artysty?

– To były różne, że tak powiem, relacje. Z pierwszą i ostatnią był żonaty. Z drugą miał córkę. Przychyłam się do zdania Pichelskiego Juniora, że to nie

on się rwał do nich, tylko kobiety go sobie wrywały. Nie tylko dlatego, że był przystojny. Był szalenie wesoły i otwarty. Fajnie było z nim być. Z punktu widzenia kariery ogromnie dużo zawdzięczał Niwińskiej. Malkiewicz-Domańska była może zbyt bezkrytyczna wobec koncesjonowanych teatryków, co udzieliło się i jemu. Grał w nich (głównie z nią) może więcej, niż wypadało. Spokojną przystań znalazł u boku Krystyny Schildówny. Był bardzo szczęśliwy, lecz musiał się na ten stan małżeński „przestawić”, jego poprzednia przyjaciółka – Barbara Marszel i nowa połowica nieco się na siebie nałożyły.

– Najchętniej odpoczywał nad akwenami...

– Urodził się na barce na Wołdze i całe życie był blisko wody. W „Ludziach Wisły” Aleksandra Forda grał czarny charakter, trochę przeciwko swojemu emploi, ale całkowicie zgodnie ze swoim urodzeniem i charakterem grał człowieka rzeki. Wystarczy popatrzeć, jak skacze po tratwach z bali, jak wiosłuje. To był cały on. Chłopak znad Wołgi, potem z Powiśla. A jak wakacje, to nad morzem. Jeżeli się przyjrzeć jego dorobkowi, to grał w wielu sztukach teatralnych związanych z wodą. Nie wiem, jak to racjonalnie wytłumaczyć.

– Kontynuując wątek – miał niemałe osiągnięcia w wioślarstwie (mistrzostwo Polski) i był zapalonym futbolistą – regularnym uczestnikiem meczów aktorzy contra dziennikarze.

– Niewykluczone, że w naszych czasach zostałby zawodowym wioślarzem. Miał do tego świetne warunki. A aktorzy w tamtych czasach to były chuchra. W szkołach aktorskich doradzano studentom ostrożność w sportach, żeby się nie oszpecili i broń Boże czegoś sobie nie złamali. A Pichelski żył sportem. Jako zawodnik i jako kibic, zwłaszcza futbolu i żużla. Był wtedy jeszcze żużel w Warszawie. A na trybunie zgrana paczka: Pichelski, Kobuszewski i Mieczysław Kalenik.

– Bardziej cenił Melpomenę czy X muzę?

– Jako człowiekowi towarzyskiemu może bardziej odpowiadała mu atmosfera pracy w teatrze, ale kiedy się wreszcie doczekał współpracy z ambitnymi reżyserami, takimi jak Józef Lejtes, to film niesamowicie go wciągnął. Chyba jednak nie potrafił funkcjonować bez sceny. Nawet podczas wojny, kiedy może czasami lepiej było dać sobie z nią spokój. Gdy zaistniał na ekranie, polska

kinematografia była jeszcze w powijakach, a kiedy stał się dojrzałym aktorem, to nie pasował do wymogów socrealizmu. Pichelskiego przypomniał kinomanom Andrzej Wajda, genialnie powierzając mu rolę rotmistrza w „Lotnej”, adaptacji opowiadania Wojciech Żukrowskiego. Potem aktor zagrał jeszcze kilka filmowych epizodów, niemniej w Polsce Ludowej oko kamery dostrzegało go sporadycznie.

– Dlaczego po II wojnie światowej stanął przed obliczem Temidy?

– To był sąd koleżeński Związku Artystów Scen Polskich. Musiał się tłumaczyć z występów w teatrzykach koncesjonowanych przez niemieckiego okupanta. I został ukarany. Miał łożyc na Dom Aktora w Skolimowie. O mały włos nie wystąpił w antypolskiej agitce filmowej pt. „Heimkehr”, do czego usiłował go skłonić niesławnej pamięci Igo Sym. Wyłgał się od tego zaświadczeniem lekarskim o złamanej nodze (!). Przed sądem po wojnie stanęło kilka osób związanych z tą produkcją, częściowo realizowaną w Chorzeli. Pichelski był świadkiem na procesie. Zapadł nawet jeden wyrok kary śmierci, ale zaoczny, gdyż Bogusław Samborski przebywał za granicą. Jak wielu weryfikowanych, Pichelski należał do Armii Krajowej, co złagodziło jego karę. Wraz z zapadnięciem „nocy bierutowskiej” to tłumaczenie stało się niebezpieczne, więc nie miał się jak bronić. A dla reżyserów takich jak Wanda Jakubowska stał się wtedy po prostu wrogiem klasowym.

– U schyłku lat trzydziestych jeździł tatrą, w PRL-u marzył o trabancie...

– Z mojego punktu widzenia warto było napisać biografię Pichelskiego „z Cooperem w tle”, żeby móc napisać o trzech mercedesach tego drugiego i o niespełnionych marzeniach o trabancie tego pierwszego. Przez te samochody najlepiej widać, jaką cenę zapłacił Pichelski za to, że przyszło mu żyć w komunizmie i za to, że nie był karierowiczem. Zresztą, jako przedwojenny pepeesiak znalazł się w szeregach PZPR – został chyba nawet przewodniczącym rady zakładowej w Teatrze Polskim – ale znajdował się na bocznym torze. Był zbyt uczciwy, żeby się w PRL-u dorobić.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 3/2020/

Między Dniestrem a Prutem

ROZMOWA Z KAMILEM CAŁUSEM

– **Mołdawia kojarzy mi się z winem. Słusznie?**

– Jak najbardziej! Mołdawianie produkują znakomite wina, które z łatwością konkurować mogą i konkurują ze znanymi światowymi markami. Dość powiedzieć, że na dwór królowej Elżbiety (podobno na jej wyraźne życzenie), co roku wprost z Mołdawii sprowadzana jest partia wysmienitego Negru de Purcari, lokalnego czerwonego wina o intensywnym smaku i niezwykle głębokiej barwie.

Co ciekawe, choć Polska jest w czołówce państw importerów mołdawskich trunków, to niestety na naszym rynku najpopularniejsze wciąż są raczej niezbyt wyszukane wyroby mołdawskiego przemysłu winiarskiego. Powoli jednak odkrywamy dla siebie świat dobrego mołdawskiego winiarstwa. W rezultacie coraz częściej – szczególnie w specjalistycznych sklepach – znaleźć można pochodzące wprost z krainy między Prutem a Dniestrem doskonałe wina ze średniej i wyższej półki.

Wino to jednak dla Mołdawian dużo więcej niż tylko produkt. To także – a może przede wszystkim – nieodłączny element lokalnej kultury. Wino oraz wysmienite mołdawskie *diviny*, czyli lokalna brandy, towarzyszą wszystkim ważniejszym i mniej ważnym uroczystościom. Podobnie jak we Francji organizuje się tu winobranie, a w październiku cały kraj tradycyjnie świętuje wielki festiwal wina. Warto być wtedy w Kiszyniowie, gdzie na centralnym placu można nie tylko skosztować najróżniejszych gatunków, ale też wziąć udział w kursach i wykładach poświęconych tej przeciekawej i niezwykle przecież smakowitej gałęzi rolnictwa.

– **Tytuł książki brzmi prowokacyjnie: „Państwo niekonieczne”. Hm... dlaczego?**

– Tytuł faktycznie stanowi pewien rodzaj prowokacji, mającej zwrócić uwagę polskiego czytelnika. Nie jest on jednak bezzasadny, ale zasadza się głównie w rzeczywistości społeczno-politycznej współczesnej Mołdawii. Trzeba



wiedzieć, że Mołdawia to kraj, który od niemal trzech dekad – a więc od momentu, gdy pojawił się na mapie w 1991 roku – poszukuje swojej tożsamości i miejsca w dzisiejszym świecie. Proszę sobie wyobrazić, że aż 30% jego mieszkańców opowiada się dziś za przyłączeniem republiki do Rumunii. Zresztą, już ruch niepodległościowy, który na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych walczył o uniezależnienie od Moskwy, też zupełnie poważnie przygotowywał się do takiego właśnie scenariusza. Do dziś w Mołdawii działają partie, które zupełnie oficjalnie nawołują do połączenia z zachodnim sąsiadem. Mamy więc w tym kraju całkiem pokaźną liczbę osób i polityków, dla których istnienie niepodległej Mołdawii jest na swój sposób fakultatywne, nieoczywiste czy też opcjonalne. Między innymi stąd właśnie bierze się owa tytułowa „niekonieczność”.

– Czemu nie powiódł się mariaż z Rumunią?

– Na przeszkodzie stanęły zarówno przyczyny wewnątrzmołdawskie, jak i wewnątrzrumuńskie. Rosyjskojęzyczna ludność zamieszkująca Republikę Mołdawii nie była zainteresowana przyłączeniem do obcej z ich perspektywy – kulturowo i językowo – Rumunii. Jak się szybko okazało, podobne zdanie wyrażała także część etnicznych Mołdawian. Do tego zachodni sąsiad nie był wówczas – przynajmniej to – szczególnie atrakcyjny. Rumunia, która dopiero obaliła Ceaușescu, pogrążona była w kryzysie gospodarczym i obiektywnie była po prostu biedniejsza niż Mołdawia. Zła sytuacja ekonomiczna i polityczna w Bukareszcie sprawiała też, że tamtejsi politycy nie mieli ani głowy, ani instrumentów do tego, by podjąć faktyczną próbę przyłączenia leżącej za Prutem republiki. Ostatecznie jakiegokolwiek marzenia o szybkim zjednoczeniu pogrębał wybuch wojny naddniestrzańskiej w 1992 roku połączony z interwencją wojsk rosyjskich.

– Kraj składa się dziś z trzech części?

– I tak, i nie. Jak wiele innych rzeczy i ta kwestia nie jest w Mołdawii łatwa do wyjaśnienia. Spróbujmy jednak pokrótce to opisać. Formalnie Republika Mołdawii jest państwem unitarnym i jednolitym. W praktyce jednak zmaga się ona od samego początku swojego niepodległego istnienia z problemem separatyzmu. Jeszcze w 1990 roku posłuszeństwo władzom w Kiszyniowie wypowiedziała położona w większości na wschodnim brzegu Dniestru, ciągnąca

się wzdłuż granicy z Ukrainą enklawa zwana Naddniestrzem. W 1992 roku region ten przy pomocy rosyjskich sił zbrojnych obronił swoją niezależność przed próbującymi przywrócić porządek konstytucyjny wojskami rządowymi. Od tego czasu Naddniestrze stanowi tzw. parapaństwo, czyli organizm administracyjny posiadający w praktyce wszystkie główne cechy państwa (w tym własną walutę i armię) prócz jednej – międzynarodowego uznania. Drugim kłopotliwym regionem jest położona na południu Mołdawii Gagauzja. Ten zamieszkały przez turkojęzyczną, choć prawosławną ludność obszar podobnie jak Naddniestrze także postanowił uniezależnić się od Mołdawii na początku lat dziewięćdziesiątych. Choć ostatecznie po długich negocjacjach Gagauzja powróciła na łono Mołdawii w 1994 roku i uzyskała status autonomii, to region ten – znany ze swoich niezwykle silnych prorosyjskich ciągów – wciąż potrafi destabilizować sytuację w kraju.

– Tożsamość narodowa mieszkańców jest różna?

– Najprościej mówiąc, tak. Po pierwsze mamy w tym kraju do czynienia z około dwudziestoprocentową mniejszością, na którą składają się Ukraińcy, Rosjanie, a także wspomniani już wcześniej Gagauzi czy Bułgarzy. Jednocześnie sama ludność tytularna, czyli Mołdawianie, jest pod względem tożsamości dość mocno podzielona. Część uważa się po prostu za Rumunów. W końcu ziemi, na których dziś leży Republika Mołdawii, wchodziły historycznie w skład Gospodarstwa Mołdawskiego, jednego z księstw, które utworzyły współczesną Rumunię. Równocześnie pokaźna liczba mieszkańców republiki twierdzi, że Mołdawianie to jednak odrębny, różniący się od zachodnich sąsiadów naród o własnej kulturze, historii, specyfice i języku. Co ważne, deklarowana tożsamość ciągnie za sobą najczęściej określone poglądy polityczne. Mołdawanin-Rumun będzie najczęściej opowiadał się za współpracą z Zachodem, wstąpieniem do UE itd., gdy tymczasem wśród „mołdawskich Mołdawan” łatwiej nam będzie znaleźć osoby otwarte na współpracę z Rosją. Świat mołdawskiej tożsamości jest jednak bardzo złożony, zaś opis, który tu przedstawiłem, to zaledwie uproszczony szkic. Warto przyjechać do Mołdawii i porozmawiać z jej mieszkańcami, by odkryć to wszystko samemu.

ROZMAWIĄŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 3/2020/

Uznany za winnego

ROZMOWA Z JAROSŁAWEM MOLENDĄ

– Dlaczego poddaje pan w wątpliwość winę bohatera książki?

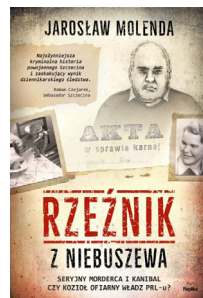
– To nie do końca tak, podważam raczej rzetelność śledztwa prowadzonego przez MO i uczciwość procesu. Z pewnością „Rzeźnik z Niebuszewa” jakiś udział w zbrodni miał, zwłoki znaleziono przecież w jego mieszkaniu, ale nikomu nie chciało się zbadać, na czym ten współudział polegał. Bo jest zasadnicza różnica między zabiciem a na przykład pomocą przy pozbyciu się zwłok. Ani organa ścigania, ani wymiar sprawiedliwości nie pochylili się nad tą kwestią. Założono, że Józef Cyppek jest winny i pod tę tezę poprowadzono śledztwo. Nie zbadało odcisków palców, nie przesłuchano najważniejszych świadków (a może współwinnych?) – pary jego sąsiadów, którzy feralnego dnia w jego mieszkaniu pili razem alkohol. W sądzie zeznawali za to lokatorzy kamienicy przy ul. Wilsona 7, którzy de facto... niczego nie widzieli. Trudno orzec, na ile było to efektem nieudolności prowadzących śledztwo, a na ile świadomym, zamierzonym partactwem.

– Józef Cyppek nie był szczecinianinem...

– Jak ponad 90 proc. mieszkańców tego miasta. Tragiczne wydarzenia miały miejsce na początku lat pięćdziesiątych na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Rdzennych niemieckich mieszkańców pozostała wtedy zaledwie garstka. Miasto było pełne nie tylko polskich, ale i żydowskich repatriantów ze Wschodu, czekających z kolei na wyjazd do Izraela. Niemiec Cyppek pochodził z Opola, zanim zjawił się wiosną 1952 roku w Szczecinie, przez kilka lat mieszkał i pracował w Wałbrzychu.

– Jego proces trwał zaledwie jeden dzień!

– Nawet krócej, bo od godziny 9 do 13. W dodatku odbywał się za zamkniętymi drzwiami. Dlaczego? Sam prowadzący śledztwo zalecał takie rozwiązanie,



a sąd przychylił się do jego sugestii. Władze obawiały się bowiem zamieszek. I nie były to bezpodstawne obawy, gdyż dosłownie rok wcześniej Szczecin stał się sceną awantur, a to za sprawą wybryku sowieckiego oficera, który po pijaku zastrzelił kilku szczecinian. Wzburzony tłum o mało nie dokonał linczu na nim, milicjanci ochraniając Rosjanina, musieli zabarykadować się na komendzie, a nawet wzywać posiłki. Proszę sobie wyobrazić, do czego mogło dojść, gdyby „ulica” dowiedziała się, że „Szkop” zabił i poćwiartował bestialsko Polkę? Dzielnicę Niebuszewo zamieszkiwało wtedy sporo Niemców, naprawdę całkiem realny był „pogrom szczeciński”. Oznaki wzburzenia odnotowano zresztą już na miejscu zbrodni, gdy jedna z sąsiadek, widząc makabryczne sceny w mieszkaniu Cypka, chwyciła za krzesło i uderzyła go kilka razy w głowę. Jest tylko jedna wzmianka w milicyjnym raporcie o tym, ale chyba musiało zrobić się niebezpiecznie, skoro proces utajniono, przeprowadzono go błyskawicznie, bo już tydzień po zabójstwie i w dodatku w prasie ukazała się tylko jedna malutka notka o rozprawie i skazaniu. Rzeźnika z Niebuszewa pochowano w bezimiennym grobie... Ewidentnie chciano zamieść sprawę pod dywan i jak najszybciej ją wyciszyć.

– Skazany pozostawił jakąś rodzinę?

– Tak, w chwili aresztowania jego druga żona przebywała w więzieniu oskarżona o sutenerstwo. Z listu, jaki napisał do Bolesława Bieruta z prośbą o ułaskawienie, wynika, że miał dwie córki i syna. Chłopak służył w niemieckiej armii i gdzieś się zapodział podczas wojennej zawieruchy. Wiadomo, że przynajmniej jedna córka przebywała w Niemczech i Józef Cyppek chciał do niej dotrzeć, ale nie uzyskał zgody polskich władz na wyjazd. Z racji swego zawodu, a był ślusarzem na kolei, tacy fachowcy byli na wagę złota w kraju dźwigającym się wciąż z ruin. Cyppek dostał polskie obywatelstwo i musiał zostać po tej stronie Odry.

– Handel ludzkim mięsem w Szczecinie to tylko mit?

– Moim zdaniem w przypadku „Rzeźnika z Niebuszewa” – tak. Istnieje wszak teoria, która mówi, że okoliczności mordu dokonanego w jego mieszkaniu wykorzystało Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego do zatuszowania wcześniejszej zbrodni, w którą zamieszany miał być bardzo wpływowy żydowski gang rzeźników, sprzedający na szczecińskim targu ludzkie mięso.

Cyppek, jako nielubiany pół Niemiec, pół Polak, dziwak i samotnik, miał stać się idealnym kozłem ofiarnym, a celowo rozpowszechniane plotki zrobiły swoje. Być może u źródła narodzin pogłoski o handlu „ludziną” leży fakt, że akurat w 1952 roku znowu pojawiły się problemy z zaopatrzeniem, ponownie wprowadzono kartki na żywność... Z drugiej strony aż tak ekstremalnego głodu, jak choćby podczas oblężenia Leningradu, nie było, więc nawet jeśli istniał niedostatek wyrobów mięsnych, można go było uzupełnić rybami (przez miasto płynie Odra, do Bałtyku w końcu nie tak daleko, a do Zalewu Szczecińskiego i jeziora Dąbie jeszcze bliżej). Jeden incydent z ludzkim mięsem mógł za sprawą stugębną plotki urosnąć do rangi powszechnego procederu... Czy ktoś ryzykowałby, wielokrotnie mordując ludzi, podczas gdy po ulicach szwendało się mnóstwo bezpańskich psów i kotów...? A już z pewnością w aktach nie ma żadnego dowodu, ba, poszlaki, że „Rzeźnik z Niebuszewa” miał coś wspólnego z handlem ludzkim mięsem. Ale czy zabił swoją sąsiadkę? Oto jest pytanie...

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 3/2020/

Miłość w czasie pandemii

ROZMOWA Z JANUSZEM LEONEM WIŚNIEWSKIM

– Rozmawiamy w czasie pandemii. Jak pan sobie radzi w tym trudnym czasie? Czy ta sytuacja pozwala na pisanie, czy przeciwnie – dekoncentruje?

– Może to zabrzmieć dziwnie, ale takie okresy (samo)izolacji wielokrotnie towarzyszyły mi w życiu. Ponad rok temu, po ponad 30 latach emigracji, wróciłem z Frankfurtu nad Menem do Gdańska. We Frankfurcie przez ostatnie lata większość czasu spędzałem w samotności. O rana do wieczora pracowałem w biurze mojego instytutu nad projektami naukowymi. Następnie przemieszczałem się – około 800 metrów – do mojej kawalerki i w samotności pisałem swoje książki. To, co spotyka mnie obecnie, to w pewnym sensie powrót do znanej mi przeszłości. Pandemia wprowadziła jednakże coś zupełnie nowego: niepokój. O zdrowie córek, których nie mogę odwiedzić, ponieważ jedna jest w Berlinie, a druga w Moguncji, o zdrowie bliskich, którzy dzielą ze mną codzienność tutaj w Gdańsku i tych rozrzuconych po Polsce. Aby zepchnąć ten niepokój na dalszy plan, zajmuję swoje myśli i oprócz czytania piszę. Teraz nawet więcej niż przed pandemią. Ponieważ bardzo brakuje mi podróży, piszę właśnie o tym. Nigdy dotąd nie napisałem książki podróżniczej, więc to dla mnie novum. Tuż przed wybuchem epidemii wróciliśmy z moją partnerką z podróży po Australii i Nowej Zelandii. Zapis tej wyprawy ukaże się jako książka. Pierwsza nasza wspólna. To kolejne novum. Dwugłos kobiety i mężczyzny na temat bycia ze sobą 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu podczas podróży. „Australia i Nowa Zelandia. Nasza podróż przedślubna”, taki będzie tytuł tej książki, którą być może jeszcze w tym roku wyda Wielka Litera.



– Na jesieni ubiegłego roku ukazała się kontynuacja „Samotności w Sieci”. „Samotność...” wyszła drukiem w 2001 roku i była jednym z największych polskich bestsellerów ostatnich lat. A z jakim odbiorem spotkała się książka „Koniec samotności”? Czy po osiemnastu latach „Samotność...” zyskała nowych czytelników?

– Na tę książkę czekano. O czym doskonale wiedziałem. Tym bardziej, że promowano ją jako „kontynuację” tamtego bestsellera. Co jest w pewnym sensie opisem rzeczywistości, bowiem „Koniec samotności” nawiązuje do „Samotności w Sieci”. Co więcej, wprowadziłem wątki, w których ta pierwsza książka jest rodzajem bohatera tej drugiej, czyli książka w książce. Z drugiej strony „Koniec samotności” to samodzielny literacki byt. Z ogromną radością obserwowałem, że została bardzo ciepło przyjęta przez czytelniczki i czytelników. Wracając do pani ostatniego pytania – faktycznie wiele osób, szczególnie młodych, sięgnęło do „Samotności w Sieci”. Szczęśliwie ta książka przez 18 lat nigdy nie zniknęła z półek księgarń. Poczytuję to sobie za sukces, zważywszy, że w obecnych czasach bardzo często książka wydana przed pół rokiem uważana jest za „starość”. To, że „Samotność w Sieci” przez 18 lat (bez przerwy, sic!) zajmowała cenne miejsce na półkach Empiku, jest moim zdaniem niesłychanym fenomenem wydawniczym.

– **Najnowsza pana książka, która ukaze się w maju – „Nazwijmy to miłość” – to zbiór różnych historii. Tym razem wybrał pan formę opowiadania i eseju, aby pokazać różne odcienie miłości – także od strony nauki. Czy na miłość nie ma lekarstwa? Pewnie znalazłoby się wielu chętnych, by sięgnąć po tabletkę na odkochanie...**

– „Nazwijmy to miłość” to zbiór esejów, niekiedy nawet reportaży. Wrażenie, że są to opowiadania oparte na literackiej fikcji, może się u czytelnika pojawić, ale tak w rzeczywistości nie jest. Każda z 29 historii tego zbioru jest prawdziwa. Nie wszystkie też traktują o miłości, chociaż różne aspekty tej emocji, łącznie z czysto naukowymi, często się pojawiają. Zważywszy, że jestem bardziej naukowcem niż poetą, nie powinno to raczej nikogo dziwić. Emocja określana jako miłość wywołuje symptomy, które często kojarzone są z jednostkami chorobowymi klasyfikowanymi w psychiatrii (nerwica natręctw, nerwica lękowa). Ma także swoje uwarunkowania biochemiczne w postaci konkretnych molekuł z grupy opioidów pojawiających się w mózgu ludzi zakochanych. Lekarstwo na miłość? To raczej niemożliwe. I chyba to dobrze. Przynajmniej dla literatury. Nie wyobrażam sobie okresu romantyzmu, gdyby takie lekarstwo wówczas istniało...

– **W eseju „Miłość molekularna jest...” wspomina pan o wykorzystaniu sztucznej inteligencji w celu dobierania ludzi w pary...**

– Teoretycznie można sobie wyobrazić samouczące się algorytmy sztucznej inteligencji, które jeszcze bardziej precyzyjnie wyselekcjonują osoby stworzone do zbudowania idealnie funkcjonującego związku. Techniki inżynierii molekularnej typu CRISPR/Cas9 rozwijają się tak szybko, że manipulowanie ludzkiego genomu w taki sposób, aby doprowadzić do modyfikacji neuronów na poziomie aktywowania receptorów opiatowych odpowiedzialnych za emocje także mogą sobie wyobrazić. Jednakże nigdy, moim zdaniem, nie uda się algorytmicznie i molekularnie zakochać w sobie ludzi tak, aby gwarantowało to, że będą żyć ze sobą długo i szczęśliwie. To zdarza się jedynie w bajkach i wymyślnych dystopiach. I niech tak pozostanie.

– Porozmawiajmy o miłości w czasie pandemii. Obecna sytuacja – przymusowe pozostanie w domu – jaki pana zdaniem ma wpływ na związki? I co z zakochaniem, któremu zwykle sprzyja wiosna? Łaknącym bliskości pozostaje internet?

– Obecna sytuacja dla niektórych związków może być nieoczekiwanym wyzwaniem. Przebywanie ze sobą 24 godziny na dobę jest urocze i podniecające podczas podróży poślubnej, niekoniecznie jednak piętnaście lat po ślubie. Według renomowanego niemieckiego instytutu socjologicznego GEWIS pracujące pary po piętnastu latach małżeństwa rozmawiają ze sobą średnio 9 minut na dobę (badania z 2015 roku). A tu nagle para staje się niepracująca i ma do dyspozycji całą dobę. Im jestem starszy, tym bardziej przekonuję się, że w związku ważniejsze od wszystkiego innego jest pragnienie rozmowy. Jeśli go nie ma, to inne pragnienia stają się szybko nieistotne. A wiem to od mojego przyjaciela, seksuologa prof. Zbyszka Izdebskiego, z którym napisaliśmy wspólnie książkę pt. „Intymnie. Rozmowy nie tylko o miłości” (Znak). A jeśli chodzi o wiosnę, to jej działanie na statystykę miłosnych zadurzeń jest mocno przesadzone. Według badań Instytutu Kinseya (USA) więcej ludzi zakochuje się w lipcu niż w maju. Internet zbliża złaknionych siebie ludzi już od bardzo dawna. Dla przypomnienia – Tinder założono w 2012 roku. Ale coś w tej bliskości podczas pandemii jest na rzeczy. Portal Pornhub odkąd wybuchła pandemia zanotował ponad 21-proc. wzrost „klikalności”. Jak z tego wynika, miłość w czasie pandemii jest bardzo różna.

ROZMAWIAŁA EWA TENDERENDA-OŻÓG

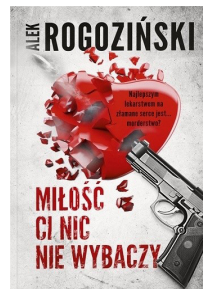
/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 4/2020/

Polityka to niezła komedia

ROZMOWA Z ALKIEM ROGOZIŃSKIM

– Mija właśnie pięć lat od twojego debiutu... Doczekałeś się już nawet tytułu księcia komedii kryminalnej. **Czy marzyłeś o takiej karierze?**

– Rzeczywiście rozmawiamy dokładnie w rocznicę mojego debiutu! Nawet tego nie zauważyłem. Zaraz będę musiał pobiec po szampana, żeby to opić! A ów książęcy tytuł wziął się z żartu. W jednej z pierwszych recenzji ktoś napisał, że skoro jest już król kryminału – Remigiusz Mróz, to pora ogłosić, że oto mamy też i księcia. Podszedłem do tego trochę nieufnie, bo przecież nie piszę klasycznych powieści kryminalnych, tylko komedie. Ale owo szlachetne miano spodobało się moim wydawcom i zrobili z niego hasło promocyjne. Szybko zaczęło to irytować moje koleżanki po piórze. Jedna z nich napisała nawet: „Mamy królów, mamy królowe i książęta, tylko dobrych pisarzy nie mamy”. Pomyślałem sobie wtedy, że żyjemy w czasach, gdy dziennie ukazują się kilkadziesiąt nowych pozycji, więc czasem prosta identyfikacja jest potrzebna. Także czytelnikowi. Czy to komuś szkodzi? W końcu to element rozrywki, puszczenia oczka. Nie ma w tym nic złego.



– **Czemu sięgnąłeś po pióro?**

– Zacząłem pisać, bo pracowałem w prasie i miałem dosyć robienia codziennie tych samych nudnych czynności tudzież użerania się z rodzimymi celebrytami. Chciałem znaleźć coś, co mnie będzie bawiło, pozwoli oderwać się od rzeczywistości. A teraz najpiękniejszy dla mnie komplement to ten, kiedy słyszę, że moja książka poprawiła humor też i komuś innemu.

– **Twoja działka, komedia kryminalna, jest mocno sfeminizowana...**

– Tak było jeszcze do niedawna. Być może dlatego, że w Polsce pokutuje etos męzczyzny „macho”, któremu nie wypada okazywać wesołości. Musi być ponuro męski. Dla mnie to głupota i cieszę się, że do naszego grona dołącza coraz więcej panów. Równowaga w życiu jest zawsze tym, co lubię najbardziej.

– Masz na koncie czternaście ksiązek. Da się w Polsce żyć z pisania?

– Decyzję o tym, że przestaję pracować, podjąłem dopiero kilka miesięcy temu. Powiem tak... Przez pierwsze dwa-trzy lata na pewno nie należy się nastawiać na to, że się człowiek z tego utrzyma. Nawet jeśli trafi mu się hit. W moim przypadku bestsellerem stała się książka „Jak cię zabić, kochanie?” A i tak tantiemy, jakie otrzymałem z niej, wystarczyłyby góra na pół roku oszczędnego życia. Trzeba pisać kolejne książki i kolejne... Po kilku latach zaczynają one pracować na autora. Jest taka zasada, że przy wydaniu nowej książki o ileś procent wzrasta sprzedaż poprzednich. To daje jakoś przeżyć. Ale jestem bardzo ostrożny, żyję oszczędnie, nie szastam pieniędzmi na lewo i prawo. Jedyne, na co ich nie żałuję, to podróże. Inna kwestia, że powinno się jakoś uregulować kwestię honorariów. Jeżeli do autora z każdej książki, która ma cenę okładkową czterdzieści złotych, wracają dwa, trzy złote, a w przypadku gwiazd – może cztery, to jest tu zaburzona jakaś logika. Bez pisarza książki by nie było, a de facto najwięcej pieniędzy z jego pisania zgarniają pośrednicy i księgarnie. Ktoś powinien zrobić z tym porządek.

– U nas, póki co, nie obowiązuje ustawa o stałej cenie książki...

– I słusznie! Gdyby stała cena książki była ustalona na poziomie, który będzie odpowiadał czytelnikom, to byłbym za ustawą całym sercem. Bo jednak czterdzieści złotych to zbyt dużo dla wielu osób. Obawiam się jednak, że nowe książki nadal będą się pojawiały właśnie w takiej cenie, więc przez pierwszy rok, bo o takim czasie mówi ustawa, będą leżały, póki nie będzie ich można przecenić. Wiadomo przecież, że jeżeli chce się wywindować sprzedaż książki, to robi się promocje. Obserwowałem to, co się działo kilka miesięcy temu z książkami świątecznymi: wygrały te napisane przez pisarki, które – jak Magdalena Witkiewicz – mają już dużą bazę czytelników, oraz te, które zostały mocno przecenione i kosztowały około dwudziestu złotych. W naszym polskim wydaniu, gdzie każdy chce jak najwięcej zarobić jak najmniejszym wysiłkiem, jestem przeciwny takiej ustawie. Rynek książkowy powinien być uporządkowany. Trzeba też zachęcać do nowych form czytania, do sięgania po e-booki, audiobooki. Jeszcze kilka lat temu większość osób w metrze czy autobusie czytała papierowe książki lub gazety. W tej chwili jeśli ktoś ma coś przed nosem, to albo komórkę, albo czytnik – i to na tych urządzeniach teraz czytają. Trzeba też zacząć pokazywać młodym

ludziom, torturowanym obowiązkowym kanonem lektur, że książka nie jest piekielną nudą, pełna słów, których nie rozumieją, ale fantastyczną przygodą.

– Czym dla ciebie jest literatura? Pytam trochę przewrotnie, bo jeden z bohaterów Twojej książki „Miłość ci nic nie wybaczy” twierdzi, że „literatura powinna propagować tradycyjny model rodziny”...

– Nie bierzmy go pod uwagę, bo jest politykiem. Oni z reguły bredzą jak potłuczeni! Pierwszy raz wpuściłem do swojej książki polityków. Wcześniej rozprawałem się ze światem show-biznesu. Ale przecież u nas to właśnie parlamentarzyści robią za gwiazdy rock’n’rolla. Naprawdę zazdroścę Francuzom czy Włochom, którzy widzą na ekranach swoich telewizorów piosenkarzy czy aktorów. U nas na każdym kanale są głównie „gadające głowy”, pouczające nas, jak mamy żyć, choć większość z nich nie ma o tym pojęcia, bo jest idealnie oderwana od rzeczywistości.

– Ale jest wielu ludzi, którzy nie lubią polityki, mówią o tym otwarcie, ty tymczasem wchodzisz w ten temat...

– Dla mnie politycy to idealny materiał na komedię. Bo gdy się zrobi kilka kroków do tyłu i popatrzy z dystansu na to, co wyrabiają, mówią, jak się zachowują – to jest to niezły kabaret, żenująco zabawny. Postanowiłem nieco tej żenady zeszkrobać i zostawić to, co zabawne. To, co wygadują politycy w „Miłość ci nic nie wybaczy”, naprawdę pojawiło się w wypowiedziach niektórych naszych „tuzów”. Trzeba było to tylko odpowiednio skompilować. Co ciekawe, przy tej książce czytelnicy dobrze się bawią, ale gdy słyszą to samo w telewizji, to się irytują albo, co gorsza, biorą to na serio i popierają. Cokolwiek idiotycznego wyjdzie z ust polityków, to i tak zawsze znajdzie się grupa, która będzie im przyklaskiwać. Smutne.

– Wspomniałeś, że uwielbiasz podróże. Ale większość twoich powieści rozgrywa się jednak w Polsce...

– Próbowałem kiedyś przenieść akcję jednej z książek do Grecji i efekt taki, że jest to najgorzej sprzedająca się moja powieść. A sam uważam ją za jedną ze swoich lepszych. Mowa o „Morderstwie na Korfu”. Byłem zadowolony, że udało mi się w niej oddać to, za co się Greków i kocha, i nienawidzi – leniwą bez troskę, stoicyzm i absolutny brak odpowiedzialności. Zrażony

niepowodzeniem tej pozycji, oddałem słuszną odpowiedź, że „bliższa koszula ciału”. A poza tym Polska jest fascynująca. Mam ogromną przyjemność i przywilej odwiedzania miast i miasteczek w czasie tras autorskich i właściwie w każdym z miejsc, które odwiedzam, jest coś, co można opisać w książce. W mojej nowej powieści „Teściowe muszą zniknąć” akcja toczy się będzie między innymi w klasztorze na Jasnej Górze, który niedawno kolejny raz zwiedzałem. Gdy pojechałem do Opatowa i o północy otworzono dla mnie podziemia miasta, też zachwyciłem się i od razu wymyśliłem fabułę powieści. Skoro Polacy lubią czytać o Polsce, a ja też lubię nasz kraj, to nie ma co na siłę przenosić akcji gdzieś indziej. Ale Paryż, Rzym i Berlin to trzy moje ulubione miejsca na globie i pewnie w którejś mojej książce się pojawią. Marzy mi się napisanie powieści w stylu „Całe zdanie nieboszczyka” Joanny Chmielewskiej, gdzie akcja rozgrywa się w kilku miejscach w Europie, a kończy w Polsce.

– Skoro już wspomniałeś o Joannie Chmielewskiej – jacy jeszcze twórcy cię inspirują?

– Uwielbiam literaturę czeską. Gdybym miał zabrać tylko jedną książkę na bezludną wyspę, to niewątpliwie byłyby to „Przygody dobrego wojaka Szwejka” w znakomitym przekładzie Pawła Hulki-Laskowskiego. To skarbnica ludzkich charakterów, zachowań, do tego świetny język, a przy okazji też ukazana jest kwintesencja Czechów – jaka by wojna nie wybuchła, to oni od razu się poddają. To zostało pięknie nakreślone przez Haška, językiem trafiającym do wszystkich. Ostatnio zakochałem się też w cyklu Evžena Bočka o perypetiach amerykańskiej rodziny, która dziedziczy po przodkach zamek w Czechach. Pierwszym jego tomem jest „Ostatnia arystokratka”. A jeśli chodzi o literaturę kryminalną, to wychowałem się na powieściach Erle’a Stanleya Gardnera i oczywiście Agathy Christie. Ona to narobiła nam, kryminalistom niezłego kłopotu! Bo jak byśmy się nie starali wymyślić czegoś oryginalnego, to pewnie ten sam motyw zbrodni znalazł się już w jednej z jej powieści.

ROZMAWIAŁA EWA TENDERENDA-OŻÓG

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 5/2020/

Pszczoły i ludzie

ROZMOWA Z ARTUREM BORATCZUKIEM

– Chociaż autor anonduje „Wskresinę” zdaniem: „Musiałem określić swój stosunek do Boga”, nie jest to powieść religijna...

– Ależ skąd! Sam uznać, że wierzę w Boga, mogłem dopiero, gdy odrzuciłem to, co wpajała mi religia. Stary komuch, młoda puszczańska, Bóg i pszczoły – o tym jest „Wskresina”. To powieść społeczno-obyczajowa rozgrywająca się współcześnie w realiach Polski prowincjonalnej, które pozwalają uwypuklić główny temat, jaki mnie nurtował, temat walki o prawo do podlewania metafizycznych korzeni rzeczywistości toczony między chrześcijaństwem i New Age. Bo musiałem też odrzucić różne mętne newage’owe koncepcje, a także psychologizację doświadczeń mistycznych w stylu Junga. Pozostało mi jednak głębokie przekonanie, że te korzenie istnieją i że każdy dotrzeć może do nich indywidualnie, ufając swojemu instynktowi.

– Odebrałem ją również jako krytykę tak modnego przed pandemią hedonizmu.

– Uważam, że każdy człowiek powinien czerpać z życia jak najwięcej frajdy, ale dokonać tego może tylko wtedy, gdy samodzielnie określi, co jest dla niego przyjemne. Współczesny hedonizm, o jakim pan mówi, opiera się na definicjach przyjemności podsuwanych przez media i rynek. Ludzie do jej zaznawania nie są nawet zachęceni, ale przymuszani, zapędzani. Mówi im się, jak mają to robić, gdzie i kiedy. Ale ciekawe, że wspomniał pan o pandemii. Gałan, jeden z bohaterów „Wskresiny”, rozmyślając o swoich przodkach, osadnikach rzuconych z przedwojennych Kresów na Ziemię Odzyskaną, gdzie musieli zaczynać życie od zera, zazdrościł im i marzył o wydarzeniu, które współcześnie zresetuje ludzkie losy i pozwoli określić się na nowo. I oto mamy niezwykłą okazję przyglądać się, jak wstrzymanie z powodu koronawirusa produkcji przemysłowej sprawiło, że oczyściła się atmosfera nad całym



kontynentami. Czy tak samo oczyści się coś w naszych duszach? Jest to bądź co bądź świetna okazja do przededefiniowania pojęcia przyjemności. Jeśli komuś w tym pomoże moja książka, byłbym bardzo szczęśliwy.

– Fraudencja uosabia jakąś miejscowość? Pytam, bo realia topograficzno-przyrodnicze mile zaskakują drobiazgowością...

– Osada jest fikcyjna, ale ulokowana bardzo konkretnie, poprzez wskazanie kilku prawdziwych miejscowości na terenie dawnej Nowej Marchii, czyli wschodniej zaodrzańskiej części Brandenburgii, która po roku 1945 przypadła Polsce. To gdzieś niedaleko Odry na pograniczu województwa lubuskiego i zachodniopomorskiego. Fraudencja to reprezentantka leżących tam niezwykle urokliwych miasteczek, gdzie pachnie średniowieczem, XIX wiekiem i Gomułką. Im jestem starszy, tym bardziej doceniam niezwykłość i odrębność od reszty Polski (a i Niemiec) tego rejonu. Tu się urodziłem, wychowałem i nie planuję nigdzie się stąd ruszać. To moje Macondo, Yoknapatawpha i Combray w jednym.

– Postacie w tej prozie też są utkane z rzeczywistych?

– Tak, każda z nich to przede wszystkim ja. Autentyczność osób kreowanych w powieści gwarantuje tylko oddanie im części siebie przez autora. Ale nie wykluczam, że literacki proces twórczy budzi jakieś nieznanne interpersonalne predyspozycje umysłu, wykraczające poza zwykłą empatię i wyobraźniowe wczuwanie się w innych. Tworząc postacie literackie, mam bowiem wrażenie, że poza moją kontrolą i nieraz wolą powstają nie tylko ze mnie, ale też z tych, o których ocieram się w życiu, a na końcu, po napisaniu książki, sam czuję się wzbogacony nie tylko o to, co stworzyłem, ale też o tych, którzy nieświadomie współtworzyli moich bohaterów.

– Oprócz ludzi bohaterami książki są pszczoły. Skąd u Artura Boratczuka tak dogłębna znajomość tych owadów?

– Prowadzę małą pasiekę i jestem właścicielem firmy produkującej ule dla pszczół. Odkąd zajmuję się pszczołami, fascynują mnie nie tyle one same, ale to, dlaczego są obiektem fascynacji tak wielu ludzi. Świat pszczół jest okrutny, straszny. Na przykład coroczne pszczołobójstwo, rzeź trutni dokonywana późnym latem przez robotnice. A jednak lubimy tworzyć pochlebne metafory

i porównania z pszczołami w roli głównej: społeczeństwo jak ul, ludzie pracowici jak pszczoły. To mi uzmysławia, jak powierzchowne i fundamentalnie nieprawdziwe potrafią być ludzkie metafory, jak nie powinno się ufać zastanemu językowi i tym bardziej dążyć do indywidualnego wglądu i jego wyrażenia.

– Jest pan miłośnikiem gier komputerowych?

– Kiedyś lubiłem stare bezpretensjonalne platformówki, ale ile można w nie grać? Ogólnie gry mnie śmiertelnie nudzą. W kontakcie z najnowszymi, które filmową grafiką udają znaną rzeczywistość albo jakąś tam kreują, mam zawsze poczucie straty czasu i że jestem robiony w balona. Ostatecznie każdego ludzika z gry można wpędzić w sytuację, gdzie albo bezsensownie chodzi w kółko, obja się o przeszkody, podskakuje i powtarza w kółko kilka fraz. Nie jestem w stanie utożsamić się z czymś takim. I dlatego nie boję się ziszczenia Matriksa. Rzeczywistości nie da się imitować, bo jej do końca nie znamy i nie rozumiemy. Zmierzając do jej wirtualnego ucieleśnienia, osiągniemy co najwyżej poziom cyfrowego balu maskowego. „Jaźń”, gra, którą wymyśliłem we „Wskrzesinie”, to całkiem coś innego. To rodzaj elektronicznego narkotyku, ale nie do oszołamiania się i poprawy humoru, lecz do podróży w głąb siebie, jak u zarania rewolucji hippisowskiej podchodzono do LSD i psylocybiny. Zakładam, że informatyka pozwoli każdemu z osobna selektywnie docierać do tych indywidualnych stref umysłu, w które środki psychodeliczne wprowadzały w sposób chaotyczny i niekontrolowany. Tam jedni wpadali w obłąd, ale inni spotykali Boga i to doświadczenie zmieniało ich życie na lepsze. Najnowocześniejsza technologia będzie renesansem metafizyki i orgią transcendencji.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ZB. ZAPERT

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 5/2020/

Młodzi mają Power

ROZMOWA Z JUSTYNĄ SUCHECKĄ

– Skąd pomysł na książkę? Skąd bohaterowie? Szukała ich pani specjalnie czy trafili tu przez przypadek?

– To jest pytanie bardzo dobre na początek, ale też dla mnie bardzo trudne. Pomysł na książkę nie narodził się nagle i niestety nie mam jakiegoś „mitu założycielskiego”. Nie mogę powiedzieć, że wstałam rano i ją sobie wymyśliłam, albo któregoś dnia przeprowadziłam wspólny wywiad i po nim stwierdziłam, że trzeba z tego zrobić książkę. Było trochę inaczej. Przez ponad dziesięć lat pracowałam w „Gazecie Wyborczej”, gdzie pisałam głównie o edukacji. Wówczas często miałam formalne zadania: artykuł o likwidacji gimnazjów, zmianie przepisów, związkach zawodowych, Karcie Nauczyciela itd., itp. Ale też starałam się jak najwięcej pisać o młodzieży, o dzieciach, o ich talentach. Edukacja to jest obszar, który dotyczy młodych ludzi, ale żeby pisać o młodych, trzeba z nimi rozmawiać. Staralam się to robić jak najczęściej. Sporo pisałam też o młodych naukowcach i o olimpijczykach, takich szczególnie, którzy startują w międzynarodowych olimpiadach przedmiotowych. Spotykają się tam najlepsi młodzi ludzie z całego świata. Któregoś razu, po opisaniu kolejnej takiej olimpiady i kolejnych spektakularnych sukcesów tych młodych ludzi, zwróciło się do mnie wydawnictwo Znak, a dokładnie Rafał Czech, który tam pracuje. Zaproponował mi napisanie książki o młodych geniuszach z Polski. Na początku planowałyśmy to robić z przyjaciółką, ale obie miałyśmy wtedy inne zajęcia. Nie przestałam oczywiście pisać o młodych, ale pomysł książki wydawał mi się szalenie odległy.

Aż wiosną zeszłego roku zmieniałam pracę i wydawnictwo znowu się do mnie odezwało. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać, zmienił się trochę pomysł na książkę. Bohaterami mieli być ludzie, którymi łatwo się zainspirować, ale jednocześnie tacy, którzy są „dostępni dla wszystkich”. Dlatego zdecydowałam, że będzie to książka nie tylko o talentach naukowych, ale też sportowych, artystycznych, o młodych społecznikach. Bo każdy z nas ma jakąś



fantastyczną pasję, coś wartego zainteresowania i niekoniecznie trzeba mieć szóstkę z fizyki, żeby mieć coś do powiedzenia. W ten sposób zaczęłam szukać bohaterów. Część już znałam wcześniej. Dodatkowo napisałam na Facebooku, że szukam ludzi, o których warto opowiedzieć. Zaczęli się do mnie zgłaszać rodzice, nauczyciele i sami bohaterowie z całej Polski. Ostatecznie wybrałam trzydzieści historii, chociaż tak naprawdę jest ich trzydzieści jeden.

– Ile czasu poświęciła pani na przygotowanie pojedynczego reportażu?

– To są bardzo różne i nierówne historie. Nie znam się za bardzo na tenisie, a bardzo zależało mi na porozmawianiu z Igą Świątek. Musiałam zrobić spory research, żeby nie wyjść na ignorantkę. Wywiad z Michałem Karbownikiem z Legii też wymagał przygotowania, bo na co dzień kibicuję Lechowi Poznań, a to nie są drużyny, które się najbardziej lubią. Ale były też rozmowy, do których – muszę się przyznać – szłam na żywioł. Wiedziałam, że Kalina, Julia i Mateusz zajmują się usuwaniem leków z wody i że zbudowali reaktor, który został nagrodzony w konkursie. Przeczytałam dosłownie trzy zdania, bo nikt ich projektu szerzej nie opisał. Przekonywałam ich, że muszą mi to wytłumaczyć bez trudnych słów, jakby tłumaczyli ośmioletniemu rodzeństwu albo babci. Bo ja muszę tekst napisać tak, żeby go zrozumiały ośmiolatki. Mało tego, ja sama muszę to zrozumieć, a nie jestem utalentowaną fizyczką.

Praca nad książką ruszyła we wrześniu, a pisanie skończyłam w styczniu. Moją ostatnią rozmówczynią była Viki Gabor, która została 31. „bonusową” bohaterką. Książka nie wydaje się super obszerna. Może się wydawać, że to nic wielkiego zrobić 30 wywiadów, ale każdy wywiad to jest co najmniej godzina rozmowy, często dużo więcej, czasami e-maile, wyjazdy w różne miejsca. Staralam się unikać rozmów tylko przez telefon, bo chciałam poznać bliżej moich bohaterów. A potem jeszcze spisywanie wywiadów, ich autoryzacja, rozmowa z rodzicami, dopytywanie nauczycieli... To wszystko zajmowało dużo czasu.

– Czy jest jakaś cecha, która łączy wszystkich bohaterów?

– Wydaje mi się, że tak – nieustępliwość oraz olbrzymia ciekawość świata i innych ludzi. Moi bohaterowie, bez względu na to, czym się zajmowali,

uważają, że mogą próbować, że nic im nie stoi na przeszkodzie, a nawet jeśli coś się nie uda, to samo poszukiwanie i poznawanie nowych ludzi, miejsc i sposobów jest ważne i warte zaangażowania.

– Młodzi mają faktycznie Power? Częściej się teraz o tym mówi w kontekście depresji...

– Tak się składa, że moi bohaterowie sporo o tym mówili – o presji, którą wywiera na nich świat, o przemęczeniu. Staralam się, aby ta książka była optymistyczna, ale to nie jest tak, że zapominamy o problemach. Fajnie o tym mówi przywołana już przeze mnie Iga Świątek. Co prawda odnosi pomoc psychologiczną do sportu, ale podkreśla, że wszystko zaczyna się w głowie.

– Za każdym z tych dziecięcych sukcesów stoją jednak jacyś dorośli...

– Tak, to prawda. Dorośli są bardzo ważni w tych historiach, bo dają młodym wsparcie, i to wsparcie na wielu poziomach. To są zwykle rodzice, którzy choć czasami upominali: „nie hałasuj, nie biegaj, nie przeszkadzaj”, to generalnie skupiali się na tym, żeby ich dzieci mogły „robić swoje”. Drugą, bardzo ważną grupą są nauczyciele, trenerzy czy psychologowie sportu. Na przykład Daria, która zajmuje się Igą Świątek i jest bardzo ważną dla niej osobą. Nauczyciele, którzy zadawali trudne pytania, którzy pozwolili rozwiązywać zadania domowe niezgodnie z „kluczem”, na swój sposób. Nauczyciele, którzy mówili: „dobrze, w tym tygodniu możesz sobie odpuścić sprawdzian z historii, bo wiem, że robisz eksperyment z biologii i on powinien być dla ciebie najważniejszy”. Dorośli wspierający, nie podcinający skrzydeł, tacy, którzy moim bohaterom często odpowiadali: „tak, możesz”. Wiem, że to brzmi patetycznie, ale to jest imponujące, kiedy 15-latkę pisze do szefa kliniki kardiochirurgii: „Chciałabym przyjechać do pana na staż”, a on odpisuje: „Tak, zapraszam. Kiedy chciałabyś zacząć?”. Dorośli, którzy traktują młodych ludzi poważnie, nawet kiedy muszą im odmówić. Nie dlatego, że człowiek jest za młody, tylko ze względu na przeszkody techniczne. Ale nawet kiedy odmawiają, to doradzają: „Spróbuj tego albo tego. Coś możesz zrobić inaczej”. Albo: „Ja nie mogę ci pomóc, ale skieruję cię do pewnego profesora albo nauczyciela, albo do rówieśników, którzy robią coś podobnego”.

– Czy nie obawia się pani, że bohaterowie książki będą wpędzać w kompleksy „zwyczajnych” rówieśników?

– Myślałam o tym. Dlatego starałam się wybierać takie pasje i zainteresowania, które są dostępne dla wszystkich. Sukcesem jest nie tylko medal z matematyki na międzynarodowej olimpiadzie, ale można też zostać mistrzem Polski w jeździe na rolkach. Maja Softysik opowiada mi o tym, jak czyta książki i prowadzi bloga „CzyTa Maja”. Pasje nie muszą oznaczać rywalizacji, bo Majka nie startuje w konkursie. Dziesięcioletka Maja Mulak, najmłodsza, o której piszę, założyła klub ochrony orangutanów. Osiągnięciem Mileny Matulewicz było to, że zauważyła, że w parku na Ochocie, obok którego mieszka, brakuje karmnika dla ptaków. Stwierdziła, że świetnie by było, jakby taki karmnik powstał. Z pomocą taty złożyła wniosek do budżetu obywatelskiego dzielnicy. Chodziła i namawiała sąsiadów na piknikach. I taki karmnik został wybudowany. Nie trzeba lecieć w kosmos, żeby robić coś fajnego, żeby zmieniać świat i informować o tym ludzi.

Moi bohaterowie mają wyjątkowe talenty, ale też pokonują takie same przeszkody, a czasem nawet większe niż inni. Jestem dumna z tego, że jednym z bohaterów jest Janek Gawroński z Łodzi. Janek jest narażony na brak tolerancji z tego powodu, że jest osobą autystyczną. Nie lubi hałasu, pewne rzeczy sprawiają mu trudność, nie zawsze używa właściwych słów, ale to nie oznacza, że nie chce żyć pełnią życia. Mało tego, pomaga innym. Został „samorzecznikiem” i interweniuje w sprawie osób z niepełnosprawnościami, nie tylko z autyzmem. A ma zaledwie 13, za moment 14 lat!

– Jak bohaterom książki udaje się znaleźć złoty środek pomiędzy ciężką pracą, niezbędną do rozwoju ich pasji, a szczęśliwym, beztróskim dzieciństwem? Czy nie zostaje im za mało czasu na wypoczynek? Czy nie wypalają się za młodu?

– Trudno ocenić to teraz, bo bohaterowie są w wieku 10, 13, 15, 18 lat i mają mnóstwo energii i czasu. Może tak być, że spotka ich jeszcze więcej rozczarowań, ale jak na razie mam wrażenie, że właśnie ich siłą jest to, że zachowują zdrowy balans. Że działają nie tylko dla wyniku. Z porażek wyciągają wnioski. Dla mnie ciekawym przykładem jest Ania Skierska, która w dużym uproszczeniu tworzy baterię słoneczną z buraka. Opowiadała, że przez cztery lata jeździła na konkurs naukowy, rozwijając swój projekt, i nic nie wygrywała. Ale

to jej nie zniechęcało. Robiła baterie po to, żeby znaleźć optymalne rozwiązanie problemu, który przed sobą postawiła, czyli żeby znaleźć tani sposób na wytwarzanie prądu. Tania i ekologicznie.

Inny przykład to Oliwka, mistrzyni w pływaniu. Pytałam, czy nie żałuje, że tak dużo czasu spędza w wodzie, a nie z koleżankami. Zapytała mnie: „A dla kogo ja siedzę w tym basenie? Przecież dla siebie”. Myślę, że jest to najlepsze podsumowanie. Jeżeli to jest rzeczywiście ich pasja, a nie jakiś przymus, to trudno, żeby się wypalili. To raczej daje im energię i napęd do dalszego działania, niż odbiera tlen. Oczywiście, tam, gdzie pojawia się rywalizacja, np. w sporcie, istotna jest pomoc psychologiczna i wsparcie rodziców. Ważne jest także, żeby znajomi zrozumieli, że kiedy nie masz czasu wyjść na boisko albo zagrać z nimi w grę, to nie dlatego, że jesteś nietowarzystki, tylko dlatego, że robisz teraz coś innego. Myślę, że jest to możliwe i mam nadzieję, że moi młodzi bohaterowie będą przykładem dla rówieśników, jak to robić mądrze oraz gdzie jeszcze szukać wsparcia.

Często mówię w tej książce, jak ważną rolę odrywa Krajowy Fundusz na rzecz Dzieci, bo wielu bohaterów to stypendyści tego funduszu. Stypendyści w metaforycznym sensie, bo to nie jest instytucja, która daje pieniądze, tylko zajmuje się obozami naukowymi, pośredniczy w kontaktach z naukowcami, wspiera uzdolnione dzieci. I tak to powinno działać. Myślę, że dla niektórych z nich to jest olbrzymia szansa.

– Jaki stosunek do polityki mają bohaterowie książki „Young power”? Niektórzy są aktywistami, ale czy też myślą o tym, żeby zmieniać świat w przyszłości poprzez działania polityczne?

– Dla nich polityka oznacza coś innego niż dla nas. Jednym z bohaterów tej książki jest Tymon Radzik, który był przez jakiś czas społecznym doradcą minister cyfryzacji Anny Streżyńskiej. Przygoda z polityką dla Tymona rozpoczęła się wtedy, gdy jako 15-latek zaczął walczyć o dostęp do informacji publicznej dla osób niepełnoletnich. Jego sprawa ma swój finał przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. Tymon jest już pełnoletni, ale nadal walczy. Dzisiaj widziałam, że postanowił swoją wiedzę prawniczą nabytą przez lata wykorzystać w walce o termin matur i myślę, że minister edukacji będzie miał z nim problemy. Dla młodych polityka to nie są barwy partyjne. Mało wiem o tym, czy bohaterowie są bardziej za lewicą, czy za prawicą, czy

w ogóle ktoś na scenie politycznej im imponuje. Dla nich polityka ma wymiar działalności obywatelskiej. Tymon mówi, że prawa człowieka, którymi się zajmuje, nie mają barw politycznych. Nie sposób się z nim nie zgodzić.

– Co zmieniłaby pani w oświacie?

– Na pewno dałabym więcej swobody szkołom, więcej autonomii. Wiem, że jest to słowo wytrych, lubią go używać urzędnicy, ministrowie, politycy, ale taka jest prawda. Gdybyśmy mieli dzisiaj większą autonomię w edukacji, nauczyciele w czasie koronawirusa nie musieliby wypełniać tysięcy tabelk i mieliby faktycznie dużo czasu, żeby fajnie uczyć zdalnie. Wiem, że w wielu miejscach się to udaje, ale tylko dlatego, że dyrektor stwierdził, że nie warto zajmować się tabelkami, bo nie to jest celem. Teraz ważne jest to, żeby mieć kontakt z uczniami i dbać o ich dobrostan i zdrowie psychiczne.

– Widzimy, że młodzież nie jest taka zła, jest jednak jakąś nadzieją na przyszłość. Co Pani o tym myśli?

– Zdecydowanie myślę, że młodzi ludzie są nadzieją przyszłości. Mamy fajnych nauczycieli i nefajnych, mamy fajnych dziennikarzy i nefajnych. Tak samo jest z nastolatkami. Dzieci w wieku szkolnym jest 4,5 mln, są tam też straszne jednostki. Myślę, że tych fajnych, interesujących, których warto poznać, których oprowadzałam po redakcjach, w których pracowałam, albo z którymi się spotykałam na zajęciach – jest więcej.

– Czy często pani bohaterowie spotykają się z zawiścią bliźnich? Przecież odnoszą sukcesy.

– Sami niechętnie o tym mówią, co jest zrozumiałe, bo nie chcą narzekać. Ale tak, spotykają się. Czasem nawet usłyszeli od swoich nauczycieli: „Jak będziesz robić wszystkie te rzeczy, to ci matura nie pójdzie”. Nie jest to fajne i nie jest to sprawiedliwe. Czasem rówieśnicy ich nie rozumieją. Jedna z bohaterek mówiła, że w gimnazjum się z niej śmiali, a kiedy poszła do szkoły średniej, to usłyszała, że to, co robi, jest super. Zawiść i niezrozumienie zdarzają się, jak to w prawdziwym świecie. Każdy z nas czasem spotyka się z zawiścią. Staram się nie myśleć o takich emocjach, moi bohaterowie też, bo są to uczucia, które powinniśmy w sobie zwalczać i piętnować. Raczej należy się cieszyć cudzymi osiągnięciami, niż ich zazdrościć. A jak zazdrościć, to raczej

zdrowo, na zasadzie: „Wow, chciałbym tak jak ty. Powiedz mi, jak to się robi”. Tego wszystkim życzę.

– Jak wspomina pani doświadczenie pisania książki? Pisała pani według ustalonego grafiku?

– Pewnego razu zażartowałam sobie, że jak już ukaże się ta książka, to muszę zanieść ją do kawiarni. Najczęściej pisałam w weekendy i spisywałam wywiady właśnie w kawiarni za rogiem, dosłownie 50 m od mieszkania. Robiłam wszystko, żeby wyjść, bo jak zostawałam w domu, to „skakał” nade mną Netflix i różne atrakcyjne rozwiązania, inne niż pisanie. Sporo pisałam wieczorami, to znaczy po pracy. Piszę zawodowo, więc cierpiałam na coś, co nazywam „wordowstrętem” i miałam niechęć do pisania kolejnych rzeczy. Po przeprowadzeniu wspaniałego wywiadu potrzebowałam kilku dni, żeby w ogóle usiąść i go spisać. Nie dlatego, że rozmowa była nieciekawa. Po prostu nie mogłam patrzeć na ekran.

Wspominam więc to doświadczenie jako trud i znój. Pisanie książek nie jest przyjemne, ale było warto.

– Jakie książki czyta pani dla przyjemności?

– Jestem psychofanką Eleny Ferrante. Jeżeli ktoś jeszcze nie czytał „Genialnej przyjaciółki”, to uważam, że powinien. Bardzo lubię Agnetę Pleijel i jej „Zapach mężczyzny”. To jest genialna książka. Moja najlepsza, najulubieńsza na świecie książka to „Zanim dopadnie nas czas” Jennifer Egan. Bardzo lubię realizm magiczny, więc Marquez i literatura latynoamerykańska. Z polskich autorek polecam Annę Cieplak i Dominikę Słowik. Przyznaję się bez bicia – bardzo mało czytam literatury faktu, ale pewnie dlatego, że sama zajmuję się newsami i informacjami. Literaturę traktuję jako odpoczynek, ucieczkę do innego świata. Natalia Szostak na pewno podpowiedziałyby, kogo jeszcze lubię, a o kim zapomniałam. Z Natalią prowadzimy kanał, który nazywa się „Krótka przerwa” i mówimy tam o książkach. Trzy lata temu nagraliśmy filmik „30 najważniejszych książek, które przeczytałyśmy przed trzydziestką” i to jest takie podsumowanie tego, co czytam. Zawsze pod koniec roku i na koniec czerwca nagrywamy film o najlepszych książkach, które przeczytałyśmy w ostatnim czasie. To też dużo mówi o moich gustach literackich.

– Uważa się pani za osobę spełnioną?

– Zawsze chciałoby się czegoś więcej. Ja jestem z tych, którzy zawsze mają apetyt na coś jeszcze, bo jeszcze gdzieś nie byli, czegoś nie przeżyli, kogoś nie poznali. Ale generalnie uważam się za osobę bardzo szczęśliwą, nawet jeżeli mam czasem gorszy dzień albo kiedy się z czymś zmagam. Tak, jestem osobą spełnioną, nie tylko zawodowo.

– Jakież nowe pomysły? Nowa książka?

– Na razie skupiam się na bieżącej pracy. Cały czas jeszcze nie wierzę, że książka „Young power” debiutuje na rynku wydawniczym. I nie uwierzę, dopóki nie będę miała jej w ręku. Jak ją zobaczę, złapię i otworzę, zacznę myśleć, co mogę robić dalej. Mam taką nadzieję. Chociaż marzę też o urlopie.

Spotkanie online z dziennikarką Justyną Suhecką odbyło się 6 kwietnia 2020 roku w ramach facebookowej grupy „Czytamy! – Kwarantanna z książką”, w której organizowany jest cykl spotkań autorskich „Kwarantanna z pisarzem”. Organizatorem wideoczatów jest Miejska Biblioteka Publiczna w Witnicy.

**ROZMOWĘ SPISAŁA MARCELINA SZUCIAK
OPACOWANIE: WŁADYSŁAW WRÓBLEWSKI**

/Magazyn Literacki KSIĄŻKI 5/2020/